

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/26

1949



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

R. WRAGA — Pacyfikacja polskiego komunizmu • A. KOESTLER — Półdziewice i upadłe anioły • M. SPERBER — Głębsze niż otchłań • J. BURNHAM — Walka o świat • W. LEDNICKI — O prozie Puszkina • W. TARNAWSKI — Uwagi o formie artystycznej Conrada • K. S. DZIURMAN — Jeden rejs • *ARCHIWUM POLITYCZNE*; T. SOŁOWIJ — Życie ekonomiczne w Polsce • *NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI* • *KRONIKA KULTURALNA* • *BIBLIOGRAFIA* • *LISTY DO REDAKCJI*

SPIS RZECZY

Ryszard Wraga:	<i>Pacyfikacja polskiego komunizmu</i>	5
Arthur Koestler:	<i>Póldziewice i upadłe anioły</i> ...	13
Manes Sperber:	<i>Głębsze niż otchłań</i>	18
James Burnham:	<i>Walka o świat</i> (autoryzowany przekład Józefa Ursyna) ...	27



Wacław Lednicki:	<i>O prozie Puszkina</i>	57
Wit Tarnawski:	<i>Uwagi o formie artystycznej Conrada</i>	74



K.-St. Dziurman:	<i>Jeden rejs</i>	87
------------------	-------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Tadeusz Sołowij:	<i>Życie ekonomiczne w Polsce</i> ..	109
------------------	--------------------------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Janusz Kowalewski:	<i>Gdy ministrowie byli wywrotowcami</i> (Cz. II.)	125
--------------------	--	-----

SPRAWY I TROSKI

R. Królikowski:	<i>Polacy w Afryce Wschodniej</i> ..	138
-----------------	--------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Xawery Glinka:	<i>Polacy pod cedrami libańskimi</i> .	145
Aleksander Janta:	<i>Przypisy do przewodnika dla piszących Polaków</i>	151

BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie od 1. IX. 1939 do 31. XII. 1948 r.</i> ...	155
--------------	---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Aleksander Janta:	<i>List do Redakcji</i>	160
-------------------	-------------------------------	-----

Pamięci

Johna Wardena

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1949

INSTYTUT



LITERACKI



Pacyfikacja polskiego komunizmu

Reakcja emigracji polskiej na ostatnie wypadki w Polsce jest smutnym dowodem tego jak dalece przestaliśmy nie tylko rozumieć, ale nawet wyczuwać to, co się w Kraju dzieje. U podstaw coraz powiększającego się oddalenia leży niewątpliwie ta uproszczona formuła, której użyliśmy i której wciąż używamy dla scharakteryzowania sytuacji w Polsce: "Polska jest pod okupacją; rząd i administracja warszawskie są obcą agenturą; proces sowietyzacji pogłębia się z dnia na dzień i doprowadzić musi do całkowitego scalenia Polski ze Związkiem Sowieckim".

Formuła ta — w zasadzie słuszna, zupełnie wystarczała i wystarcza do zajęcia zasadniczego stanowiska politycznego i do określenia celu walki, ale — jak każde uproszczenie — jest niewystarczająca dla wyboru tej czy innej taktyki zarówno w stosunkach emigracji z krajem, jak też i w działaniu politycznym emigracji na terenie międzynarodowym. Formuła ta — powtarzam: obiektywnie słuszna — ma poza tym ten ogromny minus, że jest nawskróś pesymistyczna i dokumentuje nie wolę o niepodległość, lecz rezygnację, postuluje nie postawę czynną i ofensywną, lecz bierność i zgubny fatalizm.

Nie będzie przesadą jeżeli stwierdzę, że uporcezywe powtarzanie sobie samym tej formuły, zwalniającej od stałej analizy aktualnej sytuacji w kraju, musi wpędzić polską myśl polityczną na drogi wiodące do agentury, do podporządkowania polskiego programu i polskiej taktyki obcym stanom. Z tej to formuły wynikają koncepcje bezkompromisowego oparcia o obce potęgi, wynika defetyzm polityczny, coraz większe zagrożenie i niewiara we własne siły. Coraz bardziej oportunistyczna taktyka zastępuje program polityczny. Mowy już nie ma o wpływaniu na koniunkturę, bo taktyka skierowana jest wyłącznie na wygrywanie koniunktur powstałych bez naszego udziału i wpływu.

Do czego doprowadza ta formuła przyjmowana i traktowana już niemal jako dogmat, świadczy ostatnie oświadczenie Premiera Tomaszewskiego o nominacji Rokossowskiego. Dając nawskróś błędną i szkodliwą (dla stosunków w kraju przede wszystkim!), ocenę tej nominacji, ocenę, idącą całkowicie po linii tendencji Moskwy i Warszawy, premier Tomaszewski

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

oświadcza, że właściwie wszystko to, co się w Polsce dzieje, jest najzupełniej w porządku rzeczy, a również nominacja Rokossowskiego nie powinna nikogo dziwić, jako logiczne elementy "dalszego ciągu sowietyzacji".

Potraktowanie nominacji Rokossowskiego jako faktu oderwanego i zwłaszcza pod kątem widzenia znaczenia "wojskowego" jest w oświadczeniach, już nie tylko rządu, ale w ogóle poważnego polityka, niedopuszczalną łatwizną publicystyczno-propagandową, świadczącą o całkowitym niezrozumieniu istoty tego straszliwego okresu, w jaki wszedł kraj. Okres ten nie jest bynajmniej "konsekwentnym ciągiem dalszym sowietyzacji". Jest on ostrym zakretem, który może pociągnąć za sobą nieobliczalne wręcz następstwa. I przykro jest, że cały szereg publicystów anglosaskich czy francuskich zdobyło się na ocenę trafniejszą i głębszą od ocen polskich.

Do naczelnych, a przy dzisiejszych naszych możliwościach technicznych i materialnych, kto wie, czy nie jedynych obowiązków polskiej emigracji politycznej, należy dokładne i rzetelne informowanie opinii międzynarodowej o sytuacji w Polsce. Wiemy, chociażby ze smutnych doświadczeń kapitulantów, jak każdy błąd w ocenie tej sytuacji ustokratnia się w reakcjach polityki międzynarodowej. Wiemy, że to właśnie te błędy potrafią przestawić koniunkturę w najgubniejszym dla nas kierunku, wpływają na wybranie najfałszywego kierunku politycznego wielkich mocarstw, powodują najtragiczniejsze w skutkach decyzje.

Ze wszystkich emigracji politycznych, jeżeli chodzi o ocenę sytuacji we własnym kraju, nasza emigracja jest najbardziej lekkomyślna i powierzchowna. Ocena sytuacji w kraju stała się u nas obiektem spekulacji poszczególnych polityków i domena, w której żerują domorośli, przeważnie bez żadnego wykształcenia i przygotowania politycznego "eksperci", ograniczający się do propagandowych referatów. Emigracja rosyjska, ukraińska, czeska czy rumuńska posiadają zorganizowane poważne biura studiów problemów związanych z ich krajami. U nas takich studiów nie było nawet w tym okresie, kiedy były po temu możliwości. Tymczasem sytuacja w krajach satelickich, a w Polsce w szczególności, z miesiąca na miesiąc staje się coraz trudniejsza do obserwacji, analizy i oceny.

Wbrew utartemu pogładowi lansowanemu przez wzmiankowanych, domorośłych ekspertów i różnych politykomanów i polityków, poziom życia politycznego we wszystkich krajach okupowanych jest w sensie intelektualnym stosunkowo wysoki. Sam zresztą "stalinizm" jako doktryna socjalna i teoria polityczna, nie jest łatwy i wymaga od obserwatora dużego przygotowania teoretycznego. Przemówienia sowieckich i satelickich przywódców politycznych są nieraz na najwyższym poziomie dialektyki, a zawsze są świetnie przygotowane i uzasadnione. Dyletanci — politycy czy publicyści zachodnio-europej-

scy czy amerykańscy — nie wiele z nich rozumieją i cenią ją je z reguły powierzchownie. Utało się wśród nich jak najbardziej fałszywe przekonanie, że bolszewizm i sowietyzacja to wyłącznie zagadnienie siły i przymusu, że strona doktrynalna stalinizmu jest prymitywna i nie warta uwagi czy studiów. A tymczasem chociażby takie zagadnienie jak stalinińska koncepcja budowy socjalizmu (a obecnie i komunizmu), w odrębnym państwie, jak stalinińska teoria państwa jako narzędzia rewolucji, jak leninińsko-stalinińska teoria kryzysów — niezależnie od ich wartości postępowej — to teorie skomplikowane i trudne, chociażby już dla swej kazuistyki.

Wypadki, które ostatnio zachodzą w Polsce: generalna czytka w PZPR, listopadowe plenum komitetu wykonawczego partii i ściśle związana z nimi **nawskróś polityczna** nominacja Rokossowskiego nie leżą na normalnej pochyłej stopniowej sowietyzacji Polski. Ich geneza leży gdzie indziej, istota ich jest bardziej skomplikowana.

Mówiąc o tym trzeba stwierdzić na wstępie, że względna łatwość z jaką Moskwa dokonała pierwszego etapu sowietyzacji krajów satelickich wynikała przede wszystkim z powszechnego niezrozumienia istoty bolszewizmu ani jako doktryny, ani jako metody politycznej. Powszechne było przekonanie, że bolszewizm, wyszedłszy poza granice Związku Sowieckiego, straci ogromnie na aktywności i że, w samym Związku Sowieckim nastąpi poważna ewolucja w kierunku demokracji i liberalizmu. Nie tylko nasi kapitulanci krajowi i emigracyjni, lecz i poważne sfery polityczne w innych krajach, okupowanych przez Związek Sowiecki, były głęboko przekonane, że w stosunkach z okupantem uda się osiągnąć pewien margines, na którym utrzymają się bodaj okrojone, lecz tym nie mniej żywe zasady suwerenności i niepodległości. Wydawało się, że wystarczy dokumentować jedynie lojalność polityczną, zapłacić pewien haczyk na odcinku gospodarczym a Moskwa pozwoli nie tylko na swobodny układ stosunków wewnętrznych, ale nawet na rozwój "ludowo-robotniczej demokracji" czy na "budowę socjalizmu" we własnym zakresie. Wynikająca z tych błędnych i na pobożnych życzeniach opartych założeń polityka kapitulacyjna, przyniosła wszędzie, jak wiadomo, wielkie szkody i poczyniła straszliwe spustoszenia w życiu moralnym, politycznym, społecznym i gospodarczym kraju. Ujawniła ona istotny stan możliwości narodu, jego zdolności oporu, ujawniła słabe i mocne punkty w organizacji życia narodowego. Przede wszystkim zaś polityka ta zatamizowała doszczętnie i bez tego rozbite społeczeństwa, wyniszczona z sił żywotnych bądź przez okupację niemiecką, bądź (częstokroć w niemieckim stopniu) przez kolaborację z Niemcami.

Polityka sowiecka zarówno w stosunkach zewnętrznych jak i wewnętrznych najbardziej ceni sobie w pewnych okresach nie jednomyślnych ideowo kombatantów politycznych, lecz "po-

putezyków" — fellow-trawellersów. Te to "poputezyki" w swej naiwnej nadziei na zachowanie względnej podaj niezależności politycznej stanowią najgroźniejszą agenturę bolszewicką, znacznie wydatniejszą od partii komunistycznych i jawnych bolszewików.

I znowu trzeba stwierdzić, że "poputezyków" tych bolszewicy znaleźli w społeczeństwie polskim ogromną ilość, relatywnie większą niż np. na Węgrzech, w Rumunii czy w Jugosławii. Wiele się na to składało przyczyn zarówno historycznych, jak też aktualnych, powstałych już w latach wojny i okupacji. Na tym miejscu wspomnę tylko o jednej: o niewyżyciu się rewolucyjnym narodu polskiego i o przewadze w tej dziedzinie namiętności nad wyrobieniem i doświadczeniem politycznym, nad mądrością polityczną i politycznym przygotowaniem.

Wydaje się, że wbrew temu wszystkiemu co chętnie mówimy i w co jeszcze chętniej chcemy wierzyć, pierwszy etap sowietyzacji Polski poszedł bolszewikom łatwiej niż w innych krajach satelickich, chociażby w Rumunii czy w Czechosłowacji. I w tym względzie również wiele było przyczyn, które wymagałyby szczegółowej analizy, przyczyn — w wielu wypadkach — niezmiernie ważnych i istotnych.

Tak czy inaczej, w tym pierwszym okresie sowietyzacji Polski bolszewikom udało się rozbić możliwości organizacyjne oporu ze strony społeczeństwa polskiego. Nie znaczy to bynajmniej, by zanikła wola oporu, by zmienił się zasadniczy stosunek do okupanta. Wprost przeciwnie: wola ta wzrastała i wzrasta z dniem każdym a, w miarę rozplływania się początkowych nadziei na możliwą współpracę z okupantem, rośnie coraz większa nienawiść do Rosji Sowieckiej. Ale cóż po woli samej, cóż po nienawiści, skoro brak jest zdrowej i jednomyślnej koncepcji politycznej, skoro przez nas samych, naszymi własnymi reakcjami, zniszczone zostały obiektywne przesłanki do organizacji jedności narodowej. Namiętności zatowizowanego społeczeństwa nie większą mają wartość, niż namiętności jednostki, pozbawionej rozsądku i zdolności do konsekwentnego czynu.

Utarło się, słuszne w założeniu, przekonanie, że wszystko to, co współpracuje z bolszewizmem — jest jego agenturą. Z tego tytułu nie ma większej różnicy pomiędzy tym aparatem politycznym i administracyjnym, który okupant przywiózł ze sobą z Rosji, a pomiędzy tymi współpracownikami tegoż aparatu, których sobie dokooptował on w kraju czy wśród emigracji. Ale jeżeli i ta formuła jest słuszna jako zasada, jako podstawowe kryterium w ocenie sytuacji, to oczywiście, jako zbyt uproszczona, nie może ona służyć do obiektywnej oceny analizy rzeczywistości w kraju. W istocie, cały, coraz bardziej rozbudowywany polityczny i administracyjny aparat okupanta w kraju jest bardzo niejednorodny i skomplikowany politycznie.

Rzeczywistość wykazała, że najbardziej groźnymi dla interesów bolszewizmu w Polsce byli nie walenrodzujący czy zwy-

czajni oportuniści, nie naiwnie formułujący swój odrębny program kapitulanci i nawet nie jawnie czy konspiracyjnie działający zdecydowani wrogowie systemu, lecz te wszystkie elementy, które przysły do partii względnie do komunistycznych związków młodzieżowych z zamiarem tworzenia własnego programu socjalistycznego czy komunistycznego, w nadziei budowania odrębnej od Związku Sowieckiego czerwonej Polski, z myślą regulowania i układania stosunków w Polsce nie według narzucanych przez Moskwę zasad, lecz według własnych polskich możliwości.

Rzeczywistość wykazała, że bolszewicy obawiają się najbardziej nie jawnego czy skrytego oporu politycznego, tych wszystkich ruchów ideowych i społecznych, które stoją na gruncie obrony przed bolszewizmem, lecz, że przeraża ich najbardziej możliwość powstania i organizowania się w Polsce odrębnego życia politycznego, odrębnej ideologii, odrębnego programu, chociażby wynikały one z tego samego źródła, co ideologia i program bolszewizmu.

Trzeba stwierdzić, że pod tym względem właśnie w Polsce zaistniały warunki powstania ruchu najgroźniejszego dla bolszewików, ruchu stokroć groźniejszego od "titoizmu", na przykład.

"Titoizm" w założeniu swoim i z punktu widzenia doktrynalnego — jest czystej wody stalinizmem a sam Tito najbardziej konsekwentnym stalinowcem, bardziej konsekwentnym od samego Stalina. Titoizm przyjmuje bez najmniejszych zastrzeżeń czy poprawek stalinowską teorię o możliwości budowy socjalizmu i komunizmu w odrębnym państwie, stalinowską teorię roli państwa w budowie socjalizmu, wszystkie stalinowskie teorie i doświadczenia w dziedzinie polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Różnice pomiędzy "titoizmem" i stalinizmem są wyłącznie natury politycznej i wynikają z faktów, że sam Stalin w praktyce sprzeniewierzył się swym podstawowym hasłom, dorabiając dla celów imperialistycznych, nawskroś polityczno-państwowych, tezę o konieczności podporządkowania się Związkowi sowieckiemu wszystkim innym państwom, budujących socjalizm. Tę to właśnie formułę i tylko ją jedną odrzuca Tito, pod każdym innym względem stosując się ściśle nie tylko do doktryny, ale i doświadczeń bolszewickich.

Z tego tytułu niebezpieczeństwo "titoizmu" dla Związku Sowieckiego i dla stalinizmu jest względnie ograniczone. Jest to niebezpieczeństwo czysto polityczne. Nie zachodzi obawa by "titoizm" stał się konkurencyjną ideą w stosunku do bolszewizmu, by wniósł nowe regeneracyjne prądy do międzynarodowego ruchu rewolucyjnego. "Titoizm" jest w części doktrynalnej i programowej nieskończenie bardziej ubogi od tych prądów, które w swoim czasie panowały w poszczególnych narodowych partiach bolszewickich: ukraińskiej, białoruskiej, gruzińskiej, azerbejdżańskiej czy uzbeckiej. Nie ma on w sobie nic z

międzynarodowej atrakcyjności trockizmu i w gruncie rzeczy jest uproszczonym separatyzmem politycznym o ograniczonych a nie uniwersalnych celach.

Inaczej rzecz się ma w Polsce. Polska partia komunistyczna jeszcze przed rewolucją październikową była prawdziwym "enfant terrible" w bloku socjal-demokracji, nad którym usiłowała panować wszechwładnie leninowska dyktatura. Po rewolucji, za czasów Kominternu, polscy komuniści, mimo swej niewielkiej liczebności, sprawiali moskiewskim dyktatorom najwięcej kłopotu, znacznie więcej od komunistów niemieckich, nie mówiąc już o francuskich czy brytyjskich. I ten temat wymagałby osobnego omówienia. Ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że to właśnie polscy komuniści byli najmniej skłonni do przyjmowania stale modyfikującego się leninizmu, a później stalinizmu, jako uniwersalnej doktryny komunistycznej, do ślepego wzorowania się na doświadczeniach bolszewickich, które Moskwa coraz natęczywiej narzucała Kominternowi, jako wzór obowiązujący wszystkich komunistów. Polscy komuniści tylko nie stanęli na gruncie trockizmu. Ich stosunek był równie wrogi i nieufny do stalinizmu jak i do trockizmu. Komuniści polscy szli z głębokim świadomym i podświadomym nurtem rozwoju narodu polskiego. Traktując komunizm rosyjski wyłącznie jako oparcie polityczne, szukali natchnień dla swych teorii i programów tam, gdzie go niezmiennie szukał, szuka i szukać będzie naród polski — na zachodzie Europy.

To właśnie było dla bolszewików najgroźniejsze. Ta polska orientacja na Zachód nie tylko nie pozwalała na ujarzmienie rewolucji w Polsce, ale i była coraz bardziej zaraźliwa dla innych narodów już ujarzmionych politycznie i gospodarczo przez Moskwę, jak Ukraińcy, Kaukaszczycy, Białorusini czy Tatarzy. Toteż w ciągu ostatnich kilku lat przedwojennych bolszewicy poświęcili masę czasu i energii na rozgromienie buntowniczej polskiej partii komunistycznej i na stworzenie zastępu wiernych stalinizmowi pretorianów i janczarów w rodzaju Bieruta, Bermiana, Zambrowskiego, Ochaba, Witolda-Józwiaka i in.

Lecz nawet ten duży ilościowo nie przeciętny jakościowo aparat wiernych stalinowców nie był w stanie zapobiec temu ruchowi ideowemu i kierunkowi politycznemu, które niemal z punktu jeszcze za czasów okupacji niemieckiej zaistniały w PPR, a przede wszystkim wśród komunistycznej, komunizującej i rewolucyjnej młodzieży. Ruchy te były już w swym założeniu wrogię stalinizmowi i to w jego najbardziej czułym, bo w czysto doktrynalnym punkcie. Polscy komuniści i młodzież komunizująca, nie wychowani w szkole Kominternu i nie spreparowani przez NKWD, z miejsca nawiązali do tradycji dawnej socjal-demokracji polskiej, do tradycji przedwojennej polskiej partii komunistycznej. Było w tym więcej żywiołowości niż przemyslenia czy nawet świadomości. Faktem jest jednak, że to właśnie najpierw w PPR, a później w PZPR zaczęły powstawać

liczne, częstokroć sprzeczne ze sobą, niekiedy bardzo zawołowane i nieśmiałe teorie, które można z grubsza nazwać próbą rewizjonizmu marksizmu, próbą szukania dla polskiego socjalizmu i komunizmu innych, nie-stalinowskich dróg. Rewizjonizm ten daleki był od ostatecznych sformułowań. Pełno w nim było sprzeczności i nieodwołanego w tych warunkach infantylnizmu. Ale już w tym stadium stanowił on dla bolszewików ogromne niebezpieczeństwo. Nie tylko mógłby on być zaraźliwy dla komunistów innych krajów satelickich, ale mógłby on łatwo przerzucić się do wnętrza samej Wszechzwiązkowej Partii Bolszewickiej, w której w czasie wojny zarysowały się również, słabe wprawdzie, ale jak najbardziej wyraźne tendencje do rewizjonizmu. To zaś co było w tym polskim myśleniu komunistycznym najgroźniejsze dla bolszewików — to chęć szukania źródeł natchnienia i oparcia ideowego nie o bolszewizm i doświadczenia sowieckie, lecz o potencjalny ruch rewolucyjny na Zachodzie.

Wyraźną cechą polskiego ruchu opozycyjnego była **polityczna** lojalność polskich komunistów w stosunku do Moskwy. Polscy komuniści szli na jak najdalej idące ustępstwa polityczne i gospodarcze, szli na całkowite podporządkowanie polityki zagranicznej polskiej interesom Moskwy. Pod tym względem różnili się oni od Tito i "titoistów", nie uznających supremacji politycznej moskiewskiej. Polscy komuniści popełnili ten sam błąd wyjściowy co i inni polscy kapitulanci z innych ugrupowań politycznych. Liczyli oni mianowicie, że za tę bezwzględną lojalność polityczną i gospodarczą kupią sobie poważny margines względnej wolności, nie kontrolowanej przez Moskwę, na którym to marginesie będą mogli konstruować teorię i praktykę budowy socjalizmu i komunizmu innymi, nie sowieckimi metodami.

Gdyby polska partia komunistyczna nie była przed wojną tak doszczętnie rozbita i zniszczona przez samych bolszewików, gdyby posiadała więcej jednostek o międzynarodowym autorytecie rewolucyjnym, niebezpieczeństwo wynikające stąd dla Moskwy byłoby niezmiernie groźne. Ale i bez tego w tym stanie rzeczy jaki był w Polsce i w PPR idee opozycyjne zaczęły być niezmiernie atrakcyjne, zwłaszcza wśród młodzieży uniwersyteckiej i zawodowej, a **przede wszystkim w wojsku**. Powstawały coraz to nowe koncepcje, czasem bardzo naiwne, w których niezmiernie polskie tendencje do mocarstwowości kojarzyły się niekiedy przedziwnie z ambicjami rewolucyjnymi, z kosmopolityzmem, nawiązującym do "Wiosny Ludów". Szkoły i wojsko stały się domenami, w których kiełkowały nowe prądy rewizjonizmu nie tyle już marksizmu, co rewizjonizmu doświadczeń bolszewickich. Zaczęły być popularne koncepcje o odrębnych drogach rozwoju Polski a Rosji, o łączności intelektualnej z Zachodem, zainteresowania zachodnimi teoriami i ruchami rewolucyjnymi. Co ważniejsze — myśli te przenikały do szero-

kich mas społeczeństwa. Powstała sytuacja paradoksalna: Polska była coraz bardziej antyrosyjska i coraz bardziej... czerwona.

Importowana agentura stalinowska przy całej swej sprężystości i aktywności nie była w stanie sobie z tym poradzić. Polska wyraźnie stawała się już nie tylko politycznym, ale i ideowym (w sensie komunistycznym) przeciwnikiem Związku Sowieckiego, stanowiąc poważne źródło konkurencyjnej doktryny rewolucyjnej, teren możliwego rewizjonizmu stalinizmu i samodzielny pomost z rewolucyjnym ruchem międzynarodowym. Przede wszystkim zaś Polska wypadła z kalkulacji mobilizacyjnych potencjału sowieckiego. Militarizm sowiecki, jak wiadomo, jest nawskróś imperialistyczno-politycznego typu. Jest on częścią składową konsekwentnego i coraz bardziej zacieśniającego się systemu totalnego, konsekwentnie wchłaniającego w siebie każdy nowozdobyty czy okupowany teren.

Sowietyzacja Polski nie okazała się rzeczą tak łatwą jak się początkowo zapowiadała. Utknęła ona w punkcie najmniej oczekiwany, a dla bolszewików najbardziej czułym: na samej polskiej partii komunistycznej. Moskwa zdecydowała się na kroki jak najbardziej radykalne. Masowe czystki w całej partii, w całym aparacie biurokratycznym, a przede wszystkim w wojsku i w szkołach — to jedyne wyjście jakie Moskwa widzi w tej sytuacji. Nominacja Rokossowskiego wykazuje, że Moskwa nie ma nadziei, by importowany aparat stalinowski w jego dotychczasowym składzie mógł dokonać tej czystki do końca i bez reszty, w sposób odpowiadający interesom Moskwy. Odcinki najważniejsze muszą zająć nowi ludzie, ludzie nawskróś sowieccy, jakim jest w tym wypadku sowiecki marszałek Konstanty Rokossowski.

Nominacja ta ma znaczenie całkowicie polityczne i pociągnie za sobą — oczywiście — najdonioślejsze przeobrażenia strukturalne, gospodarcze i społeczne. Wojsko polskie pod bezpośrednim dowództwem sowieckim to nie tylko ujednostajnienie systemu militarnego, nie tylko zwiążanie Polski ze Związkiem Sowieckim na zasadzie zwykłego okręgu wojskowego. To przede wszystkim przeniesienie na teren Polski metod organizacji wojennej sowieckiej, a metody te jak wiemy, opierają się na trzech zasadniczych podstawach: jednolitej koncepcji ideowo-politycznej, bezgranicznej eksploatacji robotnika i powszechnej bezkompromisowej kolektywizacji.

Ryszard WRAGA.

Półdziewice i upadłe anioły

“On jest mimo wszystko uczciwy”. “Jeżeli zdradził, to tylko z wierności”, stwierdza — mówiąc o pewnym komuniście — jedna z postaci książki *Et le buisson devint cendre*. “Zawsze kiedy nie człowiek, lecz epoka dojrzewa do wielkich decyzji, w grę wchodzi ta szczególna wierność”.

“Ani komunista ani antykomunista” — to właśnie, jak się wydaje, jest ta sama szczególna wierność, która inspirowała nową formułę zdrady klerków. Nie ma wielkiej różnicy czy nasi klerkowie tak zwanej lewicy (za chwilę wytłumaczę dlaczego piszę tak zwanej) używają tej formuły jak dobitnego sloganu, czy pozwalają się wciągać przez nią — bardziej lub mniej nieświadomie — do biernej współwiny czy rewelacyjnego milczenia. W dziedzinie prawdy grzechy zaniedbania są najbardziej perfidne”.

“Ani faszysta ani antyfaszysta”, w 1939 było to *molto* zdrady czystej i prostej. “Ani komunista ani antykomunista”, to jest zdrada przez wierność. Wierność czemu? Po pierwsze złudzeniu, tym bardziej pociągającemu, że nigdy nie stało się ciałem dla tych, którzy je miłują; niezrealizowane pragnienia mają smak mdłej nieśmiertelności. Po drugie wierność buntowi młodych przeciwko rodzinie i społeczeństwu: wierność chorobie wiecznego dojrzewania, przekształconego we frazeologię walki klas. Po trzecie wierność swego rodzaju masochizmowi, rysowi niezbędnemu każdemu artyście czy intelektualście, a który zjawia się w środowisku klerków lewicy pod postacią negacji ich dziedzictwa intelektualnego oraz podłego, ślepego pokłonu przed proletariatem; — naturalnie nie przed prawdziwym proletariatem, ofiarą niesprawiedliwości społecznych, ale przed proletariatem apokryficznym i legendarnym, wyniesionym do roli pół-boga, mieszaniny Mesjasza z Buffalo Bill'em.

Mówiłem o “lewicy” w cudzysłowach, ponieważ semantyczne pogmatwanie jest jedną z największych gróźb naszych czasów. Kominform stworzył czarny rynek ideałów, gdzie sprzedaje się slogany jak denaturat z fałszywymi etykietami: “Front Po-

Manes Sperber, *Et le buisson devint cendre*. Calmann-Levy, Paris 1949. Str. 560.



koju", "Demokracje Ludowe", "Suwerenność narodowa" — ko-
rzystajcie z naszych okazji po cenach zniżonych... Można wy-
baczyć, że upijają się tym nieświadomi; ale że klerkowie, zna-
jący się na etykietach robią to samo, to tłumaczy się jedynie
ich zdradą z wierności, albo ich wiernością dla zdrady. To
glupstwo, że etykiety zmienia się co sześć miesięcy; czy Fran-
cuska Partia Komunistyczna pójdzie do najbliższych wyborów
ze sloganem: "Cały świat pod ścianę", czy "Uśmiech, Zdrowie,
Słońce", zatrucie dialektyczne jest o wiele trudniejsze do ule-
czenia niż narkomania. "Ponieważ" — aby zacytować słowa in-
nej postaci Sperbera — "jeżeli dziś zamyka się oczy na podobne
kłamstwa, nie można się już na tej drodze zatrzymać, przełknie
się wszystko".

Żeby wyjść z tego semantycznego pogmatwania należy mieć
odwagę żmudnych precyzji. Tak długo jak utożsamianie się z
G.P.U. jest uważane jako postawa skrajnej lewicy, słowo "le-
wica" pozostanie pustym dźwiękiem. Uznanie za prawdę istnie-
nie tego widma które łączy lewicę "skrajną" i "umiarkowaną"
jest współudziałem w winie i dwuznacznością, jest wzięciem
udziału w czarnej mszy logiki. Atmosfera lewicy tylko w tym
jedynym wypadku będzie na nowo oddychalna, gdy przeniesie
się wyznawców Stalina na skrajnie prawe skrzydło półkolistej
sali w Palais-Bourbon, tam, gdzie zasiadali niedawno wyznawcy
"św. pamięci" Hitlera. Aż do tej chwili atmosfera ta pozostanie
zarażona radioaktywnymi promieniami, idącymi z Kremla, tego
laboratorium moralnego i intelektualnego rozbijania.

Nawet ci, którzy przeżyli doświadczenie na własnej skórze,
nie zrozumieli, w całej głębi i w całej doniosłości faktu, że w
ciągu ostatnich dwudziestu lat stalinizm przekształcił się w
ruch skrajnie prawicowy. Ruch ten odpowiada wszystkim kla-
sycznym przesłankom słów: szowinizm, ekspansja imperialis-
tyczna — posunięte do ostatnich granic; reżim policyjny bez
habeas corpus, monopolizacja środków produkcji przez skor-
rumpowaną i dziedziczną oligarchię, ucisk mas, zgniecenie ca-
łej opozycji, niesienie wolności obywatelskich i kulturalnych.
My, którzy byliśmy członkami partii, "jesteśmy wędrownymi
cmentarzyskami naszych pomordowanych przyjaciół; ich ca-
łuny będą naszymi sztandarami". Inni, ci, którzy jedynie brali
słoneczne kąpiele w zwodniczych promieniach, nie rozumieją
nigdy całej prawdy. Zrozumieją najwyżej połowę, najwyżej
ćwierć, ponieważ nigdy nie dali z siebie więcej niż połowę, niż
czwartą część. Pozostaną półdziewicami totalitarnych flirtów,
lubieżnymi obserwatorami, przyglądającymi się rozpucie his-
torii przez dziurkę w murze, szydełkującymi swoją dialektyczną
tkaninę w biurach redakcji, w cieniu Lubiński. I "podczas gdy
my, pozostali, upadłe anioły, krzyczymy, ponieważ miażdży się
kości naszych wczorajszych towarzyszy w tym raj, przemie-
nionym na ciemną i olbrzymią salę tortur, oni, te półdziewice,
patrzają na nas z nikłym uśmiechem krótkowidza i niewiniątka

i tłumaczają nam, że przesadzamy, że upadek nadwyreżył nam
nerwy, że najlepszą dla nas rzeczą, byłby odpoczynek i milcze-
nie. Odpowiada się im: "Ależ, mój biedny przyjacielu, ty bę-
dziesz wśród pierwszych, których zwiążą, wywiożą, zlikwidują".
Wtedy oni wam tłumaczają, że naturalnie, że to się samo przez
się rozumie, że każda rewolucja ma swoje okrutne wymagania,
że nie można zrobić omletu nie tłukąc jaj, itd., itd. Ah! mali
masochiści w podstarzałym wieku, jakżeż oni niecierpliwie cze-
kają, żeby ktoś ich zgwałcił!...

W każdym razie, zanim ten przykry wypadek im się zdarzy,
dobrze by było, żeby, mimo wszystko, przeczytali książkę Sper-
bera. Gdyż my milczeć nie będziemy, a oto nowy głos łączy się
z naszym, głos silny, inteligentny i czysty. Znajdą tam całą
game doświadczeń, których unikneli, a także doświadczeń, które
— niech dobry Bóg ich od tego strzeże — czekają ich jeszcze.
Mówię całą game, ponieważ niezrównana wartość tej książki
polega na tym, że jej autor jest z urodzenia europejczykiem ze
Wschodu, a z zawodu psychoanalitykiem, i że przez dziesięć lat
był z przekonania i namiętności komunistą, wirtuozem dialek-
tycznych łamańców heglo-marxistowskich. Akcja toczy się po-
miedzy Berlinem, Wiedniem, Praga, bezkresnymi równinami
Polski i Jugosławii podczas decydujących lat 1930-1938. Anons
wydawcy określa książkę jako "szeroki fresk, który graniczy z
epopeją..." I tym razem wydawca miał rację. Krótko mówiąc,
jest to powieść-saga o Kominternie, i to pierwsza tego rodzaju,
a więc zdarzenie kapitalne.

Można, niewątpliwie, znaleźć w niej punkty słabe, które tym
bardziej uważam za wybacalne, że są identyczne z moimi:
myśli w niej ważniejsze są niż osoby, które je wypowiadają, zaś
sytuacje bardziej realne, niż istoty, które biorą w nich udział
— zwłaszcza jeżeli idzie o osoby płci żeńskiej. Zdaje się jednak
— dzięki Bogu! — że zarówno czytelnicy jak i krytycy stali się
bardziej wyrozumiali na te błędy, które dwadzieścia pięć lat te-
mu wydawałyby się im niewybaczalne.

Jednym słowem uważam, że *Et le buisson devint cendre* jest
dziełem o wyjątkowej głębi i rozpiętości. Znajdujemy w tej
książce, tak jak w odbiciu, widzianym przy pochyleniu się nad
rzeką, płynny i drżący obraz najdziwniejszej — od czasów Ko-
ściół średniowiecznego — przygody ludzkiego umysłu. Ponie-
waż wydaje się, że niekiedy...

...potrzeba absolutu przemienia ludzkość w kloakę,
zmienia religie w Kościoły, idee w instytucje policyjne.
Ten Josmar, zdolny do stawienia czoła wszystkim niebez-
pieczeństwom, nie będzie opierał się ani chwili, jeżeli nie
będzie posiadał pewności absolutu. I to jest przyczyną, że
on i jemu podobni skorrumpowali i zrujnowali ruch... Ja
nie odmówiłbym przyjścia z pomocą temu Josmarowi, ale

nie odczuwam żadnej skłonności do okazywania litości bezlitosnym.

Słowa te wypowiada stary profesor historii, patrycjusz wiedeński, ostatni melancholijny dinosaur wieku liberalizmu. Jeżeli, w zasadzie, odmawia litości bezlitosnym, w praktyce ich toleruje; jest bezlitosny jedynie w stosunku do siebie samego:

Mając dwadzieścia lat należy znaleźć cel swego życia, mając trzydzieści lat — kobietę swego życia, czterdzieści — swoją własną prawdę; mając lat pięćdziesiąt należy uspokoić swój głód powodzenia, w sześćdziesiątym roku stworzyć dzieło większe od siebie, w siedemdziesiątym dać dowód skromności w stosunku do najskromniejszego ze swoich bliźnich i arogancji w stosunku do nieba. Ale okresy swego życia rozpoznaje się dopiero wtedy, gdy już dawno minęły... Sformułowałem te przepisy mając dwadzieścia pięć lat. Większość ludzi uznaje wielki plan dopiero wtedy, kiedy go definitywnie przegrali. Jeśli idzie o mnie, odkryłem go o tyle na czas, że zawsze naprzód znałem godzinę odjazdu pociągu, na który się spóźniłem.

Tak, ale on należy do innego wieku, do wieku, w którym można było sobie pozwolić z uśmiechem na przegapienie pociągów. Dzisiaj pociąg na który się spóźniamy, jest zawsze ostatni. A mimo to "większość ludzi nie osiąga nigdy doświadczenia politycznego, ponieważ rozumie przeżywane wypadki dopiero wtedy, gdy stały się one już przeszłością... Zbliża się czas, w którym łaska drugiego ostrzeżenia będzie jedynie udziałem szczęśliwców bardzo szczególnego rodzaju".

Czy zrozumieliście nareszcie, wy, panienki z zakładu dla dobrze wychowanych dziewcząt? Tak i nie, odpowiadają. U nich jest zawsze "tak i nie", albo raczej "Ależ nie i nie". Ani okupacja rosyjska, ani pakt atlantycki. Ani poddanie się, ani obrona. Ani śmierć, ani życie. One tylko wtedy dobrze się czują, gdy wykonywując dialektyczne plruety na wyprężonym sznurze, przewieszonym nad *no man's land'em*. kołyszą się między niebem a ziemią. One nigdy nie rozumieją, że w reżimie Dżugaszwilego nie będzie neutralności i nie będzie *no man's land'u*.

I jakież jest morale, jakież posłannictwo nadziei, którym powinna się kończyć każda książka lewicy, tak jak się kończy każda powieść z kolekcji *Bibliothèque rose*? Och, nie wielkiego. Dwa upadłe anioły, z których jeden wyszedł z więzienia niemieckiego, a drugi z rosyjskiego, siedzą na małym skwerze, obok Notre Dame:

Nie czuli, że spadły pierwsze wielkie krople, złapała ich ulewa. Byli sami na skwerze. Przechodnie, którzy

schronili się do bram, patrzyli rozbawieni i życzliwi na dwóch moknących osobników.

— Oto jest przewaga tutejszej wolności, powiedział Dżura. W kraju totalitarnym byłoby niemożliwe pozostawanie tutaj bez obudzenia podejrzeń. Demokracja mieszczkańska pozwala człowiekowi na to, że może być nieszczerliwy na swój własny sposób.

Sądźcie pewnie, że to nie wiele? Zapytajcie naszych towarzyszy na Syberii. Może uważacie, że to jest zaparcie się naszych ślubów rewolucyjnych? Tu prawie macie rację. Myśmy zdradzić partię. Wy zdradzacie tylko ludzkość.

Artur KOESTLER

Autoryzowany przekład Zofii Hertz

Głębsze niż otchłań

Deszcz padał bez przerwy dwie noce i jeden dzień. Potem słońce pokazało się znów, ale było niewidoczne, że lato już się skończyło. Stetten z wnuczką wrócił do miasta. Doino miał zostać dłużej; mógł mieszkać tu nawet przez zimę, jeżeli mu to dogadzało.

Miał teraz całą wąską dolinę, na końcu której stał dom, tylko dla siebie. Ciszę przerywał jedynie szelest kamieni strąconych przez kozice i coraz rzadszy, odległy głos dzwonek pasących się krów. Masyw skalny zamykał dolinę z trzech stron tak dokładnie, że o szeroko otwartym wyjściu i bliskości świata można było przy pewnym staraniu zapomnieć. Samotność była tu zarazem wymowna i niema, bo rozmowa z górami jest monologiem.

Raz na dzień, zazwyczaj pod wieczór, przychodził listonosz. Doino otwierał listy tylko dla sprawdzenia czy nie zawierają wiadomości od Dżury, Mary lub Alberta. Listów nie pisał więcej i nie czytał, z wyjątkiem listów od Stettena. Dniem czekał nadejścia zmroku, nocą czekał brzasku. Raz na tydzień schodził do wsi po zakupy. Siadał wówczas w karczmie koło szkoły i czekał na lekcję śpiewu. Wracał dopiero po skończeniu lekcji. Wieczorem, siedząc z zamkniętymi oczami, mógł słyszeć śpiew dzieci. Czasami słyszał ich głosy we śnie, ale wiedział, że to tylko sen. Raz słyszał w snach francuską piosnkę o ptaszkach, który z suchej gałązki pomarańczowego drzewa spadł na ziemię i zranił się śmiertelnie. We śnie zobaczył potem smutną wydłużoną twarz, obracającą się powoli w prawo i w lewo, jak gdyby na znak przestrogi: «*Jamais de la vie, je n'en reviendrai — je n'en re... à la volette, je n'en re... à la volette, je n'en reviendrai*». W tym miejscu obudził się i zaczął patrzeć w mrok, jak gdyby chciał w nim odnaleźć zamordowanego przyjaciela. Vasso ukazywał mu się w niezliczonych postaciach, przemawiał doń niezliczonymi językami.

Dopiero po kilku tygodniach zdecydował się otworzyć skrzynię. Odjeżdżając, Stetten powiedział mu: «Przy okazji niech

Fragment powyższy jest 2-gim rozdziałem dalszego ciągu *Et le buisson devint cendre*, nad którym autor obecnie pracuje. Całość ma składać się z trzech tomów.

pan przeczyta papiery, które tam chowam. W testamencie napisałem że po mojej śmierci będzie pan mógł nimi swobodnie rozporządzać».

W skrzyni znalazł starannie ułożone teczki; na każdej znajdował się tytuł. Wybrał «Dziennik podróży». Na pierwszej stronie znajdowały się następujące słowa: «Dziś, 2 lipca 1928, wybieram się w podróż, po raz pierwszy od wielu lat. Jadę aby odwiedzić wszystkich, którzy spędzili z moim synem Einhardem ostatnie tygodnie jego życia. Jadę obejrzeć miejsce, gdzie granat rozerwał go na strzępy «tak że tylko drobne kończyny udało mu się odnaleźć». Dwanaście lat i osiem miesięcy, które upłynęły od tego dnia nie przyniosły mi żadnej pociechy. Nie znalazłem i nie szukam zresztą dobroczynnego zapomnienia. Tak długo żyję już bez mego syna i wciąż wydaje mi się, że żyć bez niego nie potrafię».

Stetten musiał swą podróż starannie przygotować, zebrawszy nazwiska i adresy wszystkich podoficerów i żołnierzy z kompanii Einharda. Wóz prowadził wówczas jeszcze sam. Opuszczając Wiedeń, nie zdradził swej żonie ani starszemu synowi, Walterowi, celu swej podróży i przez trzy miesiące nie dał im żadnego znaku życia.

Z pierwszych stron dziennika nie widać jasno, czego właściwie szukał Stetten, mający wówczas 58 lat. Czy spodziewał się istotnie, że przygodni towarzysze wojenni potrafią po tylu latach opowiedzieć mu o synu coś, czego dotąd nie wiedział? Stetten, który oskarżał wszystkich o brak pamięci, miałby teraz szukać w pamięci obcych i obojętnych jakiegos świadectwa? Świadectwa czego? I czemu tak późno?

Na pierwszych stronkach Stetten notuje w krótkich słowach swe rozczarowania. Odwiedzani bądź nie pamiętali Einharda, bądź też zachowali o nim wspomnienia tak mgliste, że nie pewnego powiedzieć nie mogli. Byli wśród nich też ludzie głupi i próżni, którzy z największą pewnością siebie wszystko najdokładniej pamiętali. Dopiero z szczegółów, jakimi zasypywali Stettena, okazywało się, że mieszają Einharda z jakimś innym, lub nawet z kilku innymi kolegami. Jeden z nich twierdził nawet z całą pewnością, że Einhard bynajmniej nie zginął, na dowód czego przytaczał, że zimą 1920 spotkał go w Grazu na dancingu.

Dla samotnego podróżnika były to smutne dni i ciężkie noce. W dzienniku notuje kilkakrotnie melancholię pokojów hotelowych. Stetten postanowił w podróży nie czytać, nawet gazet nie brać do ręki. Był więc tym pewniej «wydany na łup przygnębieniu, jakie zdawało się wchodzić z tych nieudanych przedmiotów, z wilgotnych prześcieradeł, zardzewiałych prętów umywalni, zielonkawej brody Chrystusa nad łóżkiem i słabego, drżącego światła upstrzonej przez muchy żarówkipi».

Powoli zapisy stają się jednak dłuższe. Einhard występuje w nich coraz rzadziej. Stetten wypełnia natomiast całe strony życiorysami i opisem warunków egzystencji różnych osób. W

niektórych miejscowościach zatrzymuje się na dwa lub trzy dni. W jednym miejscu notuje obszernie rozważania na temat wspomnień wojennych, jakie w niespełna 10 lat pozostają jeszcze w pamięci żołnierzy frontowych.

«I ten J. W. podobny jest do wszystkich innych. W pamięci jego zachowały się zdumiewająco liczne, ale jedynie nieistotne, szczegóły. Ogólne zarysy, całość wojny została przezeń — jak i przez innych — zapomniana. Pamiętamy, że życie ludzkie upływa w epizodach, których początek uchodzi zazwyczaj uwagi lub zostaje spostrzeżony za późno. Życie jest pojęciem abstrakcyjnym, wojna też. Ponieważ nie możemy przeżywać abstrakcji, historia jest fałszerstwem perspektywicznym. Te same płace, to samo jedzenie i wojna pójdzie w zapomnienie! Tak jest!»

Wkrótce jednak i tematy wojenne znikają ze stronicy dziennika. Stetten, jak gdyby po raz pierwszy odkrył życie ludzi prostych, wypełnia całe stronice szczegółowymi opisami banalnych egzystencji. Jeden z tych opisów kończy się następującą uwagą: «Życie ma formę nie dramatyczną lecz epicką. Krwawe wojny, epidemie, rewolucje nie zmieniają nic prawie, są właściwie nieistotne. Ważne natomiast są wynalazki, zmieniające i ułatwiające technikę życia codziennego. Ważne jest czy wodę trzeba wozić z odkrytej studni, czy z pompy w podwórku, czy też wreszcie można ją mieć z kranu w własnym mieszkaniu. Gdy chodzi o egzystencję i rzeczywiste interesy ludu, wynalezienie wozu było rzeczą nierównie donioślejszą niż wszystkie wielkie idee i arcydzieła sztuki, które razem wzięte są warte tyle co garść zeschniętego krowieńca. — Czy ja sam należę do ludu?»

Wreszcie w szóstym tygodniu podróży odnalazł w Karyntii kowala wiejskiego, Alojzego Furtnera. Ten istotnie pamiętał chłopca. Einhard zaprzyjaźnił się z nim, rozmawiał podczas wspólnych patroli i dał mu swoją fotografię. Furtner miał ją przy sobie. Przedstawiała ona Einharda w wieku lat 14, na wspólnej wycieczce z ojcem. Za nim widać było wodospad, którego nazwę można było przeczytać na odwrotnej stronie fotografii: *Das tote Weib*.

Stetten zapisał dokładnie, bez komentarzy, wszystko co posłyszał od kowala. Trudno było rozemnieć, co właściwie zbliżyło dorosłego już wówczas Furtnera do 17-letniego młodzieńca. Einhard był odważny fizycznie, ale bardzo wrażliwy. Wzywająca tępotą rutyny wojskowej przygnębiała go więcej jeszcze niż okropność samych wypadków. Jako podchorąży, rozkazywał ludziom często dwukrotnie starszym od siebie. Było to jego pierwsze spotkanie z ludem. Furtner zaopiekował się nim, nie spuszczał go z oczu. «Był to bardzo delikatny młody człowiek, i kiedy nieszczęście się już stało, mówiłem sobie, że to się musiało tak skończyć, bo był za dobry dla życia. Bo to już tak jest. Mówił mi wciąż o wielmożnym panu. Ale pan być może nie wiele się o niego troszczył. Może nawet go pan wcale nie

kochał. Tak — niech się pan nie gniewa — też bywa».

«Czy Einhard to panu powiedział?».

«Wprost nie, ale wydawało mi się, że tak myśli.».

Stetten spędził w tej wsi sześć dni, notując jeszcze wiele szczegółów. W parę dni później napisał w dzienniku: «Więc nawet i to, że naprawdę kochałem Einharda, nie jest pewne».

W ciągu następnych dni zanotował jeszcze kilka rozmów z przyjacielem syna, zawsze bez komentarzy. Dzięki dokładnym wskazówkom Furtnera, znalazł też miejsce, gdzie Einhard został zabity. Przeszedł tam wczesnym rankiem i przesiedział do wieczora. Trzeba było wiedzieć, którędy przechodziły okopy, żeby móc odnaleźć ich słabe ślady. Ziemia przybrała tu wygląd pokojowy, łącząc się w jedną całość z pokrywającą ją roślinnością.

«Drzewo, na którego spadające liście patrzył kiedyś ze smutkiem Einhard, przeżyło wszystko. Siedząc w jego cieniu, po raz pierwszy myślałem o moim dziecku bez uczucia żaloby. Nawet obraz jego śmierci utracił na chwilę swój koszmarny charakter. Wydawało mi się, że potrafię pogodzić się z losem, z każdym losem».

«Schodząc jednak potem powoli ku drodze prowadzącej do wsi poczułem znów pewność, że *amor fati* jest bluźnierstwem pod adresem człowieka. Losu nie przyjmuję».

W notatkach robionych w drodze do Rzymu wraca kilkakrotnie do myśli następującej: «Bez zdolności zapominania nie umielibyśmy się przystosować, bo nikt nie jest samotniejszy od człowieka, który nie przyjmuje zapomnienia. Kto jednocześnie należy do różnych czasów, nie może być nikomu współczesny».

Dunne, trochę za wielkie słowa, myślał Doino. Nikt nie może ująć swego czasu, nie może więc być nigdy zupełnie samotny. W ciągu dziesięciu lat, które minęły od jego podróży, Stetten musiał się też o tym dowiedzieć. Fakt, iż ignorował wówczas fałszywą (wymienia go raz jeden jako «przebrzmiałą tragedię, przeobrażoną na farsę przez epigonów») i sam charakter jego podróży poświęconej przeszłości jest też pewnego rodzaju zapomnieniem. Dla odrzucającego teraźniejszość dobra pamięć staje się zbytecznym luksusem.

Resztę dziennika przeczytał Doino tejże nocy, ale raczej z poczucia obowiązku niż przez ciekawość. Notatki z Rzymu nie zawierały nic nowego dla czytelnika, znającego rodzaj kłótniwej poufałości, jaka łączyła starego historyka ze światem antycznym.

«Gdyby udało się uleczyć patetycznych głupców z ich zamiłowania to tragedii, zrozumieliby wówczas być może, że największą zasługą kultury śródziemnomorskiej było podniesienie człowieka do poziomu komedii. Wyśmiewanie groźnych bogów okazało się najlepszą receptą na wypędzenie ich. Jakkolwiek przejrzałe i nawet nadgniłe, ludy łacińskie są w istocie wiecznie młode, ponieważ im tylko udaje się jeszcze być mniej serio niż

zwierzęta i bogowie. (Bogowie rozpoczęli swą karierę w postaci tetemów, człowiek jako istota śmiejąca się.)». Dziennik zawierał sporo takich refleksji, obok wypisów z archiwów, tytułów ogłoszonych na nowo tekstów i krótkich wzmianek o przypadkowych spotkaniach.

Ostatnie stronicie poświęcone są niemal wyłącznie wiedeńskiemu małżeństwu, które Stetten poznał przed wielu laty i potem stracił zupełnie z oczu. Znajomych tych odnalazł teraz w Rzymie. W dzienniku opisuje obszernie ich ówczesny dramat. Swoją jedyną córkę wysłał do Włoch, gdzie miała nauczyć się języka i ukończyć studia z zakresu historii sztuki. Z początku pisała często, zadowolona, niemal szczęśliwa. Potem listy stały się coraz rzadsze, przyszło natomiast kilka telegramów proszących o śpieszne przysłanie pieniędzy, wreszcie ustały wszelkie wiadomości. Zaniepokojeni rodzice przyjechali szukać córki w obcym kraju. Poszukiwania pozostały zrazu bez skutku. Stetten przyłączył się do nich i wreszcie udało mu się znaleźć zaginioną. Była to głupia historia miłości zakończonej śmiercią. Inteligentna i subtelna dziewczyna padła ofiarą głupiego uwodziciela. Ufała mu tak bezwzględnie, że nie wiedział jak doprowadzić do zerwania. Kiedy wszystkie znane sposoby zawiodły, pojechał z nią na Sycylię i porzucił w odległej wsi, zabierając ze sobą pieniądze i wszystkie przedmioty wartościowe. Ale i wówczas dziewczyna nie uwierzyła zdradzie. Przypuszczając jakiś tragiczny zbieg okoliczności, zaczęła go szukać po całej Sycylii, w górach, gdzie mógł być więziony przez swych wrogów. Wreszcie, gdy rozwiały się jej ostatnie wątpliwości, próbowała popełnić samobójstwo. Nie udało się jej to od razu, i Stetten znalazł ją w Katanii, w szpitalu, gdzie zmarła w cztery dni później.

Na tym epizodzie i wspólnym powrocie z rodzicami dziewczyny do Wiednia kończy się dziennik.

Stetten pisze stosunkowo mało o ojcu. Córkę również wspomina najczęściej w związku z jej matką, którą nazywa «pani Gaby», a potem po prostu «Gaby». Imię to nadał jej niegdyś poeta Melchior w poświęconych jej wierszach, powtarzanych z religijną niemal czcią od dwóch już bezmała pokoleń.

«Córka dowiedziała się oczywiście już bardzo wcześnie, pisze Stetten, «że Gaby z wierszy Melchiora jest jej matką. Wiedziała również, że matka odrzuciła tę miłość, że pozostała przy nudnym i hipochondrycznym numizmatyku, nie wyrzekając się zresztą sławy płynącej z wierszy. Matka nie chciała kochać. Córka wzięła na siebie zadanie naprawienia tego. To nie włoski komediant ją uwiódł — zmarła od wierszy Melchiora. W tym nieszczęściu nie jesteś sama, dziewczyno; miliony ludzi zmarło od czczych frazesów pótanalfabetów».

Ostatnia stronica była wypełniona niemal całkowicie przez znany wiersz Melchiora *Dir wird mein Tod kein Ende sein*. Było jasne, że Stetten zakochał się w pani Gaby.

Pogodzony znów ze starym nauczycielem, Doino odłożył ręk-

kopis. Stetten powinien był swój dziennik zniszczyć lub całkowicie przerobić, jeżeli chciał ująć własnej ironii. Wyjechał na poszukiwanie ukochanego syna, odnalazł tylko własne wątpliwości, ale zapomniał o jednym i drugim, aby na pół żartem, na pół serio ulec czarom kobiety, w chwili, gdy było już za późno, z całą pewnością za późno.

W ciągu dni następnych Doino usiłował odnaleźć sens epizodu z córką Gaby. Myśl jego wracała do dziewczyny wędrującej przez sycylijskie wsie, głodnej i bosej, w poszukiwaniu ukochanego. Dziewczyna była inteligentna, ale cały rozum zużyła na zwalczanie w sobie podejrzliwości, które powracało coraz natęczywiej. Jak oderwać się od miłości, która — nawet wygasła — wszystko obraca w ruinę?

Doino miał czas, towarzyszył więc w myśli dziewczynie. Zdawało się, że drogę jej zna w najdrobniejszych szczegółach. Wielu odbywa takie podróże, w których się nikogo nie spotyka. Droga ta jest zbyt wąska, aby dać miejsce więcej niż jednej osobie.

Śniegi pokryły tymczasem drzewa i nawet ostre cyple skał. Zwierzęta poruszały się bez szmeru. Cisza była chwilami tak zupełna, że słychać było tylko własny oddech. Od czasu do czasu jakaś gałąź, poruszając się nagle, jak człowiek we śnie, zrzuciła z siebie swe kryształowe przykrycie. Śnieg zaścielał ziemię nie jak całun, ale jak ślubny welon. Tak przynajmniej myślał Doino, w którym coś zaczęło się powoli odmieniać. Zdawało mu się, że Vasso i on nie są już więcej sami, z ich własną jedynie przeszłością. Teraz przyłączył się do nich cień Ady.

Obecność jej stała się jeszcze bliższa, gdy zaczął jej obce życie wypełniać imaginacyjną treścią. Przychodziły mu na myśl coraz to nowe szczegóły, zwykłe i niezwykłe, wypełniające jej dzieciństwo, młodość i klęskę. Wymyślił dla niej także twarz: o rysach niezbyt regularnych lecz na ogół piękną, surową, nieprzenikloną, o oczach dzieciennie smutnych, w których przeczytać można było tajne oddanie się jakiejś idei, jakiemuś wierświci, jakiejś sonacie lub jakiemuś uwodzicielowi. Myśląc dobiegał starannie słowa jak gdyby przygotowywał się do ich spisanania.

Nie pisał wprawdzie nic, ale był nieco więcej czynny: na kominku podtrzymywał ogień aż do późnej nocy, codziennie układał koncert na gramofon. Każdego dnia schodził teraz do wsi i słuchał śpiewających dzieci. Raz nawet wdał się w rozmowę z nauczycielką, której przyniósł zeszyt starych francuskich pieśni śpiewanych na Boże Narodzenie. Gdy melodia się jej podobała, przekładał tekst. Młoda kobieta rozmawiała przyjaźnie z obcym pustelnikiem, Doino jednak zaczął się wkrótce niecierpliwić. Przyszedł mu właśnie na myśl nowy rozdział imaginacyjnej powieści: spotkanie Ady z Melchiorem. Chciał być znów sam. Szukając jakiejś wymówki, powiedział: «Niech się pani nie dziwi, że tak często przychodzę słuchać śpiewu dzieci. Przypomina mi to młodą kobietę, która niedawno zmarła, i...»

«Ach», przerwała nauczycielka, «teraz już wszystko rozu-

miem!» i patrząc nań swymi wielkimi, szarymi oczami, uści-
snęła mu rękę jak gdyby na znak porozumienia. W drodze
powrotnej przyszło mu na myśl, że do fikcyjnej historii Ady
mógłby włączyć też swoją osobę, na przykład przed jej wyjaz-
dem z Wiednia lub we Włoszech w przeddzień spotkania z uwo-
dzicielem. Ale do tego rozdziału było jeszcze daleko. Na razie
Ada miała 17 lat i letnim popołudniem jechała na dworzec, na
pierwsze i jedyne spotkanie z Melchiorem.

Doino zaczął pracować, niewiele wprawdzie, lecz regularnie.
Zaczął zbierać notatki i materiały do pracy, którą mógłby na-
pisać wspólnie z Stettenem, o wojnie współczesnej w oświeceniu
historyczno-socjologicznym.

Zaczął teraz odżywać. Z Hiszpanii przychodziły nieco lepsze
wiadomości. W końcu roku republikanie podjęli działania ofen-
sywne i zdobyli wreszcie Teruel. Przyszła też wiadomość od
Mary. Zawierała wprawdzie tylko pozdrowienia, ale i to było
już wiele. Okreśną drogą przyszła wiadomość od Dżury, który
spodziewał się za pół roku wyjść na wolność i miał przedtem
dać znać przez kuriera.

Pewnego dnia, po całonocnej zawiści, która zasypała drzwi,
musiał szukać wyjścia przez okno w kuchni. Gdy otworzył okien-
nicę, cała dolina świeciła i błyszczała w słońcu tak jasnym,
jakie zdarza się widzieć tylko w szczęśliwych snach. Przed do-
mem Doino obrócił się parę razy w kółko, chcąc raz jeszcze
spojrzeć na nowo na otaczające go przedmioty. Świat wydawał
mu się cudownie piękny, jak gdyby wdzięczny za swe istnienie,
lekki i przyjazny. Odgarniać śnieg łopata wydało mu się nie-
mal barbarzyństwem.

Upadek jego dobiegał końca; przepaść miała dno, po którym
mógł teraz iść ku wyjściu. W domu leżał stos listów. Miał więc
jeszcze tylu przyjaciół! Dziś jeszcze odpisze wszystkim. Miał
teraz za wiele roboty. Nie czuł się więcej samotny. Pozostał
wierny ludzkości, tej wiecznej debutantce. Czuł, że czas zaczy-
nać na nowo.

Następne dni przyniosły mu świadomość, że jest tylko re-
konwalescentem, zagrożonym przez nowe nawroty choroby.
Odwaga, którą uczuł owego słonecznego ranka, ustąpiła miejsca
znużeniu, ale nie opuściła go całkowicie. Doino zaczął odpisy-
wać na listy i przygotowywać się do powrotu do Wiednia, do
życia. Wyjazd odkładał jednak z dnia na dzień. Bał się spotka-
nia z przyjaciółmi, których wciągnął kiedyś sam w robotę.
Jak trudno będzie im teraz wytłumaczyć, czemu ją sam porzu-
cił! Nieliczni tylko pójdą jego śladem, większość zerwie z nim,
gniewna i nieprzejednana. Cała jego przeszłość zwróci się teraz
przeciw niemu, aby odebrać wszelką wagę słowom, którymi miał
podzielić się z przyjaciółmi. Było to tak niedawno — może przed
pół rokiem — kiedy pośród białej nocy w Oslo sam mówił
przygnębionemu i zrozpaczonemu Albertowi Graefe: «Co w ta-
kim razie nam pozostanie? Twoja i moja samotność?»

Zwlekał więc z dnia na dzień. Śnieżna powłoka doliny stra-

ciła biel welonu i zdawała mu się teraz podobna do całunu.

W tym stanie znalazł go naglący list Stettena. Nie mógł już
więcej odkładać wyjazdu. Na ręcznych sankach zawiózł swój
bagaż do wsi, skąd sklepikarz miejscowy miał go zawieźć na
stację. Doino szedł pieszo, powoli, jak gdyby szukał jeszcze
jakiegoś odroczenia. W wagonie próbował ułożyć jeszcze jeden
rozdział historii Ady, ale nic mu się już nie udawało. Ada zmar-
ła raz jeszcze. Pozostał tylko strach przed powrotem do życia.
Siedział znów z zamkniętymi oczami.

Manes SPERBER.

Z upoważnienia autora przetłumaczył Leon Furatyk.

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **Prenumerata:**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.
W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal, przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Walka o świat

Cz. I. Zagadnienie

ROZDZIAŁ I.

Niedojrzałość Stanów Zjednoczonych

Trzecia Wojna światowa rozpoczęła się w kwietniu 1944. Szczegóły pewnego wydarzenia, które miało wówczas miejsce nie zostały ujawnione. A wydarzenie to, o charakterze znacznie mniej dramatycznym niż zrzućenie małej nawet bomby na jakiś most w Mandżurii, było zaledwie dostrzeżone wśród wrzawy walczących armii i huku walących się miast.

Kilka okrętów, stanowiących resztki marynarki wojennej greckiej i podlegających Dowództwu brytyjskiemu Morza Śródziemnego, stało zakotwiczone w Aleksandrii. Grecy marynarze, do których przyłączyli się stacjonujący opodal żołnierze greccy, zbuntowali się. Bunt ten nie był groźny ani ilością swych uczestników, ani swym charakterem. Padło kilka strażaków, kilku ludzi utraciło życie. Anglicy otoczyli zbuntowanych i umieścili ich na czas jakiś w obozach koncentracyjnych. Kilku przywódców buntu zostało ukaranych, lecz bardzo szybko zajęcie całe zatuszowano i wkrótce potem o nim zapomniano. Sprawę tę przypominano dopiero nieco później, w chwili, gdy w samej Grecji wybuchła wojna domowa.

Nie znamy szczegółów dotyczących przebiegu owego buntu, ale szczegóły te, mimo znaczenia jakie mogłyby mieć dla przyszłych uczonych, nie są nam potrzebne. Wiemy dostatecznie dużo, by zrozumieć znaczenie polityczne owego wydarzenia, a szczegóły czasami zaciemnić nam tylko mogą ostrość widzenia. Bunt kierowany był przez członków organizacji zwanej E.L.A.S., która była zbrojnym ramieniem politycznego ugrupowania greckiego zwanego E.A.M. Pozornie E.A.M. był związkiem różnorodnych Greków o rozmaitych poglądach politycznych i społecznych, ale kierowanym przez grecką partię komunistyczną, która — tak jak wszystkie partie komunistyczne — jest częścią międzynarodowego ruchu komunistycznego. A komunizm międzynarodowy we wszystkich przejawach swej działalności wypełnia rozkazy płynące z kwatery głównej Związku Sowieckiego.

Politycznie biorąc więc, ów grecki bunt z kwietnia 1944 i późniejsza grecka wojna domowa — były zbrojnymi utarczkami między Związkiem Sowieckim, reprezentującym międzynarodowy komunizm i Brytyjskim Imperium. Mimo, że w drugiej

wojnie światowej, która od owego czasu ciągnąć się jeszcze miała przez przeszło rok, Anglia i Związek Sowiecki były sprzymierzeńcami przeciwko wspólnemu wrogowi. Jak widzimy więc wypadki, o których wspominamy, dotyczą innej zupełnie wojny.

Późnym latem 1945 roku Japonia została pokonana. Czerwona Armia, mimo spóźnienia na przybyciu na teren walk, bardzo szybko opanowała Mandżurię i część północnych Chin. W jakiś czas potem armie komunistyczne tak zwanego rządu Yenan, osłaniane, wyekwipowane i częściowo dowodzone przez oficerów Armii Czerwonej usiłują stworzyć niezależną i suwerenną Mandżurię oraz północne i częściowo centralne Chiny. Armie te zetknęły się w walce z armiami rządu Chungkingu, które wyćwiczone i wyposażone zostały w sprzęt przez Stany Zjednoczone i transportowane były na pole walk okrętami marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Tym niemniej w drugiej wojnie światowej Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki były sprzymierzeńcami.

Wiosną 1946 roku, z pewnym opóźnieniem w stosunku do dyplomatycznych wskazówek, Armia Czerwona wycofała się z północnego Iranu. Zgodnie z przyjętym przez okupacyjne armie zwyczajem, pozostawiła ona wśród miejscowej ludności pewną część swojej siły. W tym jednak wypadku pozostawiona część była znacznie poważniejsza niż to zwykle miewa miejsce: była to nowa, mała armia czerwona, wyćwiczona, wyekwipowana i kierowana przez jej politycznego ojca, w oparciu o nowe, autonomiczne państwo i nową partię polityczną. Ta nowa, mała armia zwrócona była twarzą w kierunkach południowym, południowo-zachodnim i południowo-wschodnim, w stronę Zatoki Perskiej, w stronę wielkich pól naftowych należących do Stanów Zjednoczonych i brytyjskiego Imperium, które okalają pasmem ten skrawek lądu, łączący Afrykę z Azją.

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że każda wielka wojna wprowadza tak głębokie wrzenie do kotła społecznego, iż doprawdy trudno spodziewać się, by wywołane wrzeniem tym bulgotanie i kłęby pary opadły na skutek zwykłego tylko i oficjalnego oświadczenia o zakończeniu działań wojennych. Wojny zastępcze, masowe strajki, wojny domowe, bunty w koloniach towarzyszą ostatnim fazom wielkich wojen i są ich naturalnym następstwem. Tak było w czasie pierwszej wojny światowej, w okresie między rokiem 1917 aż do mniej więcej 1924 i tak jest obecnie, w okresie następującym po drugiej wojnie światowej. Wojny domowe, strajki i bunty są tylko pewną fazą wojny; a raczej, ujmując to bardziej dokładnie, zarówno one jak i wojna są fazami znacznie szerszego, historycznego procesu, którego ostrość ujawnia się nam z chwilą wybuchu zakrojonych na wielką skalę walk.

Rewolucja rosyjska, wojny domowe w Niemczech w latach 1918-1924, powstania w Indiach, interwencja Aliantów w rewolucji rosyjskiej, bunty na Bałkanach, wojna grecko-turecka, fale strajków we wszystkich prawie krajach — były częścią tego, co właściwie nazwać by należało pierwszą wojną światową. Dopiero uśmierzanie tych wszystkich walk stanowiło właściwe zakończenie wojny. Wtedy też światowa sytuacja polityczna doznała względnego uspokojenia. Weszliśmy w przejściowy okres restauracji, który trwał aż do chwili rozpoczęcia fazy przygotowawczej do nowej wojny. Dzisiaj już zdajemy sobie sprawę

z tego, że pierwsze walki drugiej wojny światowej miały miejsce w Hiszpanii i Chinach, poczynając od 1937 roku. Ostatnia wojna osiągnęła swe szczytowe — z punktu widzenia wojskowego — nasilenie w latach 1940-45 (walki 1939 roku były tylko przedwstępne) i dobiegła ona końca wraz z jej przewidywanymi następstwami. Fale strajków w Stanach Zjednoczonych, koniec Trzeciej Republiki we Francji, upadek monarchii we Włoszech, zwycięstwo partii pracy w Anglii, zamieszki w koloniach Dalekiego Wschodu — wszystko to należałoby włączyć jako jedną z części składowych do drugiej wojny światowej.

Wypadki jednak, o których wspominałem na wstępie, — bunt marynarzy greckich i wojna domowa, wojna domowa w Chinach, konflikt w Iranie — mają odmienny charakter. Nie są one częścią składową drugiej wojny światowej, jej nie towarzyszą, nie są jej następstwem. Siły, które starły się w nich — zarówno zbrojnie jak i na polu współzawodnictwa ekonomicznego i dyplomatycznego — nie są uszeregowane tak, jak zwalczające się siły w czasie drugiej wojny światowej. Jedną z głównych potęg obecnej wojny została nawet wyeliminowana całkowicie.

Pocięszające więc przekonanie, że niepokoje, które owiadnęły światem od sierpnia 1945 roku są w pewnym sensie normalne i że stanowią one naturalną charakterystykę okresu wojennego dostosowywania się, tak jak ból głowy i nudności następujące po pijaństwie — jest złudzeniem. Niepokoje te nie są skutkami uprzedniego pijaństwa lecz pierwszymi haustami nowej pijackiej awantury. Zbrojne utarczki nowej wojny rozpoczęły się zanim zakończono wojnę uprzednią. A zawarcie ogólnego pokoju jest niemożliwe nie dlatego, że pozostałości po starej wojnie nie zostały dotychczas jeszcze usunięte, lecz dlatego, że zapowiedzi nowej wojny zaczynają się już gromadzić.

Po latach tyłu cierpień i śmierci, po latach zniszczeń i migracji ludności, świat ogarnęło ogromne zmęczenie i nadzieja odpoczynku. I trudno bardzo mówić a jeszcze trudniej uwierzyć, że nadzieja ta jest bez podstaw, że nie będzie odpoczynku i że nowa wojna już się rozpoczęła. Tym niemniej tylko takie stwierdzenie jest prawdziwe i zaprzeczanie prawdziwości jego będzie kosztować wiele.

Przedwstępne utarczki, nawet krwawe utarczki nie są oczywiście identyczne z wielką bitwą. Czasami, nawet po stoczeniu już przedwstępnych walk pociągających za sobą ofiary po obu stronach, bitwa zasadnicza zostaje odłożona, lub unika się jej przez czas jakiś. Bywa także, że nie dochodzi ona w ogóle do skutku, ale wypadek taki możliwy jest tylko wtedy, gdy dla punktów spornych zostało znalezione w jakiś inny sposób rozwiązanie. Możemy więc żywić przekonanie, iż ostatecznie jest rzeczą możliwą, że trzecia wojna światowa nie wyjdzie poza ową przedwstępną fazę i że zakończy swe życie wcześniej tak, jak młody pąk złapany mrozem. Lecz jakie szanse uniknięcia lub wygrania wojny posiadać może dowódca, który by wierzyć nie chciał wiadomościom dostarczonemu mu przez szperaczy, który by słuchać nie chciał zapewnień, że padły już pierwsze strzały i który — wyciągnąwszy się leniwie w swym namiocie — spędzałby czas na grze w karty i dyskusji na temat taktycznych zaślug swego wczorajszego spotkania?

Stany Zjednoczone dokonały nieodwołalnego skoku w sprawę światową. Zaangażowały się one wszędzie, na każdym kontynencie, na każdym ważniejszym polu działalności politycznej i nigdy już nie będą mogły się z tego wycofać. W trzeciej wojnie światowej, bez względu na to jakie byłyby pragnienia ich obywateli, będą one jedną z dwu głównych stron walczących. Ale społecznie, politycznie i kulturalnie Stany Zjednoczone nie są przygotowane do tej roli światowej, którą zmuszone są jednak odegrać.

Stojąc w obliczu zadania wymagającego pełnej dojrzałości społecznej, Stany Zjednoczone dojrzałość tę posiadają tylko na jednym polu — na polu rozwoju techniki produkcji. W tej dziedzinie sami Amerykanie często nie zdają sobie sprawy ze swej niedoścignionej supremacji. Nic, ani obecnie, ani w przeszłości nie daje się porównać do amerykańskich metod produkcji. Ostatnia wojna udowodniła, że jest rzeczą prawie niemożliwą wyznaczenie celów, których by fabryki amerykańskie nie potrafiły osiągnąć. Stany Zjednoczone mogą, w ramach już osiągniętej techniki, zalać świat zarówno szpilkami do włosów jak krażownikami, pantoflami nocnymi czy samolotami, cementem czy precyzyjnymi instrumentami, narzędziami maszynowymi czy penicyliną.

Specyficzna przewaga Stanów Zjednoczonych nie odnosi się do konstrukcji samych maszyn, gdyż Anglia, Niemcy a może Szwecja i Szwajcaria są w dziedzinie tej lepsze. Przewaga ta polega na umiejętności, która obecnie stała się nieomal cechą charakterystyczną narodu, organizowania produkcji na wielką skalę. Anglia i Niemcy potrafiły wyprodukować lepsze okręty, samoloty i aparaty fotograficzne, lecz nie potrafiły zorganizować i zlać w jeden sprawnie działający organizm setek tysięcy ludzi, maszyn, dostaw, fabryk, wagonów towarowych i samochodów ciężarowych — w organizm, który produkuje zawrotną ilość o ile nie najlepszych, to w każdym razie bardzo dobrych okrętów, samolotów i aparatów fotograficznych.

Ta zdolność do organizowania produkcji jest tak dalece rozwinięta, iż wydaje się posiadać w sobie możliwości użycia jej, swobodnie lub pod naciskiem, do nowych i nawet nieprzeczuwanych dotychczas problemów. Hitlerowskie skromne próby produkowania bomby atomowej w zestawieniu z kolosalnym projektem manhattańskim stanowią doskonałe pouczający kontrast. Amerykanie nie przyczynili się prawie do żadnego fundamentalnego odkrycia. Prawdziwa, twórcza energia Stanów Zjednoczonych znalazła swój wyraz w organizowaniu i w masowej produkcji. I osiągnięcia ich są zdumiewające — bez względu na to, czy dotyczą one plazmy, radaru, nowych środków leczniczych, czy racji wojskowych.

Ta sama umiejętność uwydatniła się także w wojskowym prowadzeniu wojny. Generałowie i admirałowie z Ministerstw Wojny i Marynarki — chociaż mniej wtajemniczeni w arkany wojskowej wiedzy i tradycji od generałów i admirałów innych narodów — jako organizatorzy mas okazali się nieźrównani. Pchnęli oni na nieprzycięcia tak przytłaczające ilości zaopatrzenia, ludzi, pocisków, żywności, okrętów, samochodów ciężarowych, czołgów, samolotów, że błędy i niedopatrzienia szcze-

gółów zginęły w masie. Metody wojskowe odpowiadały geniuszowi amerykańskiemu. Wysłanie tysięcy samolotów i okrętów reprezentujących dwu milionowy tonaż przeciwko małej wyspie na Pacyfiku uważane by było przez każdy inny naród za rzecz absurdalna, podczas gdy tego rodzaju akcja była typowo amerykańska.

Z tej supremacji w dziedzinie techniki produkcji, supremacji, która jest jak każdy dziki talent, irracjonalna, na wpół tylko świadoma, niekontrolowana, bez zależności od inteligencji i innych instynktów, rodzi się w Stanach Zjednoczonych potężna tendencja w kierunku surowego i wąsko pojętego imperializmu gospodarczego. Pchani potencjałem fabryk o masowej produkcji, kierownicy gospodarki amerykańskiej chętnie wyobrażają sobie świat jako otwarte pole oczekujące deszczu w postaci amerykańskich towarów, maszyn i pieniędzy. Marzą oni o dostawach wszystkich towarów dla całego świata i nie potrzebują tandetnej pomocy nieudolnych narodów takich jak Anglia, Niemcy czy Japonia. Świat, cały świat winien stać się szerokim rynkiem dla towarów i maszyn amerykańskich oraz źródłem niektórych cennych surowców. Takie zorganizowanie świata byłoby dla niego niezrównanym błogosławieństwem! I tylko wąskość światopoglądowa zagranicznych współzawodników w interesach i ślepotą własnych generałów i polityków wydaje się stwarzać złośliwą przeszkodę dla racjonalnej i wydajnej produkcji.

Ale politycy i generałowie istnieją, a zdolność do organizowania masowej produkcji nie jest dla dużej potęgi światowej wystarczającą kwalifikacją do właściwego prowadzenia spraw. Jakkolwiek duże znaczenie dla społeczeństwa posiadać mogą fabryki, ludzkość jest czymś więcej niż fabryką. Amerykanin, gdy znajduje się poza obrębem fabryki, gdzie wydawał się tak pewny siebie i triumfujący, robi wrażenie niezdarne młodzieńca.

Historia narodu amerykańskiego tłumaczy ową niedojrzałość społeczną. Stany Zjednoczone, ten młody kolonialny pęd cywilizacji zachodnich, rozpoczęły się dopiero trzy wieki temu. Przez przeszło dwa wieki energia Stanów Zjednoczonych skoncentrowana była na stosunkowo prymitywnym zadaniu podbicia dzikiego kraju. Szereg generacji Amerykanów odsuniętych było wskutek tego od kultury i wiedzy cywilizacji, której byli oni jednak częścią składową i z której wyszło ich życie historyczne. Co więcej, szczęście i powodzenie tych generacji utrudniło im ich normalny rozwój kulturalny tak, jak młodemu chłopcu utrudnia naukę zbyt go psująca, niemądra matka. Naturalne bogactwo Stanów Zjednoczonych, ich kontynentalna samowystarczalność, ich geograficzna — aż do czasów dzisiejszych — izolacja były zasłonami, skrywającymi im drogę na świat. Podbito dziki kraj, sformowano naród, skonstruowano maszynę gospodarczą bez precedensów, lecz nie stworzono własnej sztuki, muzyki, literatury, wielkiej filozofii czy religii, nie powstało nic co by udawadniało istnienie wewnętrznej i głębszej mądrości.

Niemądra, psująca matka dzisiaj już nie żyje, zamordowana konsekwencjami naukowej technologii. Mury, które otaczały kontynent amerykański, nie istnieją. Niewyszkolony młodzieńiec wystąpić musi na scenie światowej i to nie jako wątpliwej wartości uczeń, lecz jako gwiazda w pełnym świetle reflektorów.

Stany Zjednoczone dokonały nieodwołalnego skoku w sprawy światowe. Zaangażowały się one wszędzie, na każdym kontynencie, na każdym ważniejszym polu działalności politycznej i nigdy już nie będą mogły się z tego wycofać. W trzeciej wojnie światowej, bez względu na to jakie byłyby pragnienia ich obywateli, będą one jedną z dwu głównych stron walczących. Ale społecznie, politycznie i kulturalnie Stany Zjednoczone nie są przygotowane do tej roli światowej, którą zmuszone są jednak odegrać.

Stojąc w obliczu zadania wymagającego pełnej dojrzałości społecznej, Stany Zjednoczone dojrzałość tę posiadają tylko na jednym polu — na polu rozwoju techniki produkcji. W tej dziedzinie sami Amerykanie często nie zdają sobie sprawy ze swej niedoścignionej supremacji. Nic, ani obecnie, ani w przeszłości nie daje się porównać do amerykańskich metod produkcji. Ostatnia wojna udowodniła, że jest rzeczą prawie niemożliwą wyznaczenie celów, których by fabryki amerykańskie nie potrafiły osiągnąć. Stany Zjednoczone mogą, w ramach już osiągniętej techniki, zalać świat zarówno szpilkami do włosów jak krążownikami, pantoflami nocnymi czy samolotami, cementem czy precyzyjnymi instrumentami, narzędziami maszynowymi czy penicyliną.

Specyficzna przewaga Stanów Zjednoczonych nie odnosi się do konstrukcji samych maszyn, gdyż Anglia, Niemcy a może Szwecja i Szwajcaria są w dziedzinie tej lepsze. Przewaga ta polega na umiejętności, która obecnie stała się niemal cechą charakterystyczną narodu, organizowania produkcji na wielką skalę. Anglia i Niemcy potrafiły wyprodukować lepsze okręty, samoloty i aparaty fotograficzne, lecz nie potrafiły zorganizować i zlać w jeden sprawnie działający organizm setek tysięcy ludzi, maszyn, dostaw, fabryk, wagonów towarowych i samochodów ciężarowych — w organizm, który produkuje zawrotną ilość o ile nie najlepszych, to w każdym razie bardzo dobrych okrętów, samolotów i aparatów fotograficznych.

Ta zdolność do organizowania produkcji jest tak dalece rozwinięta, iż wydaje się posiadać w sobie możliwości użycia jej, swobodnie lub pod naciskiem, do nowych i nawet nieprzeczuwanych dotychczas problemów. Hitlerowskie skromne próby produkowania bomby atomowej w zestawieniu z kolosalnym projektem manhattańskim stanowią doskonale pouczający kontrast. Amerykanie nie przyczynili się prawie do żadnego fundamentalnego odkrycia. Prawdziwa, twórcza energia Stanów Zjednoczonych znalazła swój wyraz w organizowaniu i w masowej produkcji. I osiągnięcia ich są zdumiewające — bez względu na to, czy dotyczą one plazmy, radaru, nowych środków leczniczych, czy racji wojskowych.

Ta sama umiejętność uwydatniła się także w wojskowym prowadzeniu wojny. Generałowie i admirałowie z Ministerstw Wojny i Marynarki — chociaż mniej wtajemniczeni w arkany wojskowej wiedzy i tradycji od generałów i admirałów innych narodów — jako organizatorzy mas okazali się niezrównani. Pehneli oni na nieprzycięcia tak przytłaczające ilości zaopatrzenia, ludzi, pocisków, żywności, okrętów, samochodów ciężarowych, czołgów, samolotów, że błędy i niedopatrzienia szcze-

gółów zginęły w masie. Metody wojskowe odpowiadały geniuszowi amerykańskiemu. Wysłanie tysięcy samolotów i okrętów reprezentujących dwu milionowy tonaż przeciwko małej wyspie na Pacyfiku uważane by było przez każdy inny naród za rzecz absurdalna, podczas gdy tego rodzaju akcja była typowo amerykańska.

Z tej supremacji w dziedzinie techniki produkcji, supremacji, która jest jak każdy dziki talent, irracjonalna, na wpół tylko świadoma, niekontrolowana, bez zależności od inteligencji i innych instynktów, rodzi się w Stanach Zjednoczonych potężna tendencja w kierunku surowego i wąsko pojętego imperializmu gospodarczego. Pchani potencjałem fabryk o masowej produkcji, kierownicy gospodarki amerykańskiej chętnie wyobrażają sobie świat jako otwarte pole oczekujące deszczu w postaci amerykańskich towarów, maszyn i pieniędzy. Marzą oni o dostawach wszystkich towarów dla całego świata i nie potrzebują tandetnej pomocy nieudolnych narodów takich jak Anglia, Niemcy czy Japonia. Świat, cały świat winien stać się szerokim rynkiem dla towarów i maszyn amerykańskich oraz źródłem niektórych cennych surowców. Takie zorganizowanie świata byłoby dla niego niezrównanym błogosławieństwem! I tylko wąskość światopoglądowa zagranicznych współzawodników w interesach i ślepotą własnych generałów i polityków wydaje się stwarzać złośliwą przeszkodę dla racjonalnej i wydajnej produkcji.

Ale politycy i generałowie istnieją, a zdolność do organizowania masowej produkcji nie jest dla dużej potęgi światowej wystarczającą kwalifikacją do właściwego prowadzenia spraw. Jakkolwiek duże znaczenie dla społeczeństwa posiadać mogą fabryki, ludzkość jest czymś więcej niż fabryką. Amerykanin, gdy znajdzie się poza obrębem fabryki, gdzie wydawał się tak pewny siebie i triumfujący, robi wrażenie niezdarne młodzieńca.

Historia narodu amerykańskiego tłumaczy ową niedojrzałość społeczną. Stany Zjednoczone, ten młody kolonialny pęd cywilizacji zachodnich, rozpoczęły się dopiero trzy wieki temu. Przez przeszło dwa wieki energia Stanów Zjednoczonych skoncentrowana była na stosunkowo prymitywnym zadaniu podbicia dzikiego kraju. Szereg generacji Amerykanów odsuniętych było wskutek tego od kultury i wiedzy cywilizacji, której byli oni jednak częścią składową i z której wyszło ich życie historyczne. Co więcej, szczęście i powodzenie tych generacji utrudniło im ich normalny rozwój kulturalny tak, jak młodemu chłopcu utrudnia naukę zbyt go psująca, niemądra matka. Naturalne bogactwo Stanów Zjednoczonych, ich kontynentalna samowystarczalność, ich geograficzna — aż do czasów dzisiejszych — izolacja były zasłonami, skrywającymi im drogę na świat. Podbito dziki kraj, sformowano naród, skonstruowano maszynę gospodarczą bez precedensów, lecz nie stworzono własnej sztuki, muzyki, literatury, wielkiej filozofii czy religii, nie powstało nic co by udawadniało istnienie wewnętrznej i głębszej mądrości.

Niemądra, psująca matka dzisiaj już nie żyje, zamordowana konsekwencjami naukowej technologii. Mury, które otaczały kontynent amerykański, nie istnieją. Niewyskokony młodzieniec wystąpić musi na scenie światowej i to nie jako wątpliwej wartości uczeń, lecz jako gwiazda w pełnym świetle reflektorów.

Rezultatem tego jest rozdwojenie psychiczne; obok doskonałego, pewnego siebie technika produkcji ukazuje się na wpół surowy i wahający się barbarzyńca.

Postawę żołnierzy naszych pod koniec obecnej wojny można możemy jako symptomatyczną dla owego rozdwojonego psychicznie młodzieńca. Postawa ta charakteryzuje się jednym dążeniem: powrócić jak najprędzej do domu, do swej matki, do dziewczyny, do swych zajęć, baru czy kawiarni. Z punktu widzenia uczuciowego pragnienie to jest zrozumiałe i sympatyczne, lecz rozumowo biorąc postawa taka jest niewspółmierna z obiektywnymi wymaganiami potęgi światowej. I taka nie była na pewno postawa młodych Greków z Aten z piątego wieku przed Chrystusem, młodych Rzymian za czasów Republiki i Imperium, ani muzułmanów w ósmym wieku, ani Holendrów, Anglików i Francuzów za czasów dzisiejszych. Młodzi obywatele potęgi światowej muszą być gotowi do rozwijania akcji na całym świecie, do robienia owocnych karier nawet w dalekich krajach. Potęga nie jest rzeczą abstrakcyjną i nie wyraża się tylko w rachunkach giełdowych i w produkcji towarów. W miarę jak potęga Stanów Zjednoczonych rozciąga się na Brazylię, Afrykę, Chin, Europę czy Bliski Wschód, potęga ta konkretyzować się winna w ludziach i ich instytucjach, w żołnierzach i inżynierach, administratorach i agentach oddziałów wywiadowczych, w fabrykach, lotniskach, plantacjach i kolejach.

Napadanie na młodych żołnierzy za ich pełną zaściankowość postawę, stawianie im zarzutów, jak to często robiono, że są tchórzami i że się dekują — jest rzeczą niesprawiedliwą. Nie tylko żołnierzom, lecz całemu narodowi zabrakło przygotowania. I nie żołnierze, lecz członkowie Kongresu okazali się tchórzami i ślepcami. Odpowiadając na skargi żołnierzy, zamiast ukazać im na czym polegają zadania potęgi światowej, cofali się pod naciskiem ich tęsknoty za domem i — próbując demagogicznie zdobyć sobie kilka marnych głosów w przyszłych wyborach — przyłączali się do ogólnego żądania, by ściągnąć żołnierzy do domów, bez względu na możliwość narażenia na szwank interesów narodu — i całego świata.

Ta sama zaściankowość, diametralnie przeciwstawna potrzebom potęgi światowej uwidacznia się w systemie wychowawczym. Mało jest Amerykanów znających chociażby powierzchownie jakiś obcy język, a jeszcze mniej takich, którzy by zadali sobie trud poznania kultury jakiegoś innego narodu. Jeszcze do niedawna tylko jedna czy dwie szkoły przygotowywały studentów do międzynarodowych karier w dyplomacji czy interesach. Nawet "New York Times", najbardziej międzynarodowy z tujszych pism dziennik wysuwa, jako projekt pożądanej reformy, położenie nacisku na naukę historii Stanów Zjednoczonych — i to w momencie, gdy na pierwszym planie znajdować się winna nauka historii świata.

Równie rewelacyjna jest postawa narodu w stosunku do swojej armii. W ostatecznym rachunku odpowiedzialna potęga światowa opierać się musi na sile wojskowej. Stany Zjednoczone, które codziennie i nieuchronnie przeprowadzają interwencje na przetrzeleni całego świata — poprzez Argentynę i Hiszpanię aż do Iranu i Mandżurii — przechodzą przez ciężki kryzys wewnętrzny, wywołany dyskusjami na temat obowiązkowej służby wojskowej, sprawy tak dalece uznanej przez inne narody,

że nie stanowi już ona przedmiotu jakichkolwiek debat. Wy tłumaczenia tego braku zrozumienia dla znaczenia sił zbrojnych szukać należy oczywiście w przeszłości Stanów. W czasach przeszłych poważny stosunek do sił zbrojnych nie był koniecznością; z jednej strony wojny nie wybuchwały gwałtownie, a geograficzne położenie Stanów, tworząc pas ochronny, opóźniało ich rozwój, z drugiej zaś Stany nie posiadały w owym czasie zobowiązań na całym świecie. Przeniesienie tej postawy z przeszłości w czasy obecne, kiedy to wszystko uległo zmianie i Stany Zjednoczone stały się jedną z dwu decydujących potęg, jest jednym dowodem więcej istnienia owego rozdwojenia psychicznego młodzieńca. Psychiczenie Stany Zjednoczone nie chcą dopuścić myśli, że przestały być dzieckiem, a są dorosłym mężczyzną.

Te same cechy charakterystyczne dają się zauważyć w koncepcjach gospodarczych naszego narodu (w odróżnieniu do jego praktycznych uzdolnień w kierunku gospodarczej produkcji). Właściciel czy kierownik fabryki myśli tylko o zyskowych sprzedażach towaru zagranicą i z jego punktu widzenia cały problem zamyka się w tym pragnieniu. Nie chce myśleć o tym, że jeżeli on i jemu podobni sprzedawać będą towary tylko zagranicą to ludzie wewnątrz kraju będą zmuszeni do kupowania również zagranicą. Nie nauczył się on jeszcze tego, że dla dojrzałej potęgi światowej ważniejszą rzeczą jest otrzymywać niż dawać. Zarówno członkowie Kongresu jak i ludzie interesów dyskutują na temat pożyczek dla Anglii, Francji czy Chin zupełnie w ten sam sposób jakby dyskutowali sprawę udzielenia kredytów przez miejscowy bank dla miejscowego zakładu przemysłowego, zamiast widzieć w nich to, czym są w rzeczywistości — instrumenty polityki światowej. Armatorzy i spółki lotnicze targują się przy podpisywaniu kontraktów zagranicznych o kilka dolarów, zapominając o fakcie, że takim postępowaniem zepchnąć mogą potencjalnego sprzymierzeńca do obozu światowych przeciwników.

3

Wymieniłem tutaj kilka typowych przykładów dla tego, co nazwałem niedojrzałością Stanów Zjednoczonych. Tę "niedojrzałość" określić można w sposób bardziej abstrakcyjny, jako formę tego, co socjologowie ujmują terminem "opóźnienie kulturalne". Wyraża się to utrzymaniem się przyzwyczajęń, postawy, idei, zwyczajów i w pewnej mierze instytucji, dostosowanych do Stanów Zjednoczonych dziewiętnastego wieku, absurdalnych i nie do przyjęcia. W nowej epoce, w której pozycja Stanów uległa całkowitemu przeobrażeniu, Stany Zjednoczone, będąc w rzeczywistości potęgą światową, a potencjalnie największą potęgą świata, nie mogą w sposób właściwy spełniać swego zadania, gdyż do tej chwili jeszcze patrzą na siebie i na świat poprzez idee, dostosowane do tego, czym były przedtem, to jest prowincją, leżącą poza obrębem głównego prądu.

Można by łatwo przykłady te mnożyć. Zadowolnie się jednak zacytowaniem tylko jednego, najważniejszego ze wszystkich, a który wiąże się z tematem niniejszej książki w sposób bezpośredni: jest to polityczna niedojrzałość Stanów.

Każdego uważnego obserwatora uderzyć musiały trzy cechy

charakterystyczne polityki zagranicznej Stanów, w czasie ostatnich pięciu lat (mimo, że nie odnoszą się one tylko do tego okresu). Po pierwsze, polityka ulega nagle gwałtownym zmianom bez jakiegokolwiek odpowiedniego uzasadnienia. Stany Zjednoczone domagają się wejścia Argentyny w skład Narodów Zjednoczonych a potem stają na czele ruchu skierowanego przeciwko niej, ogłaszając Niebieską Księgę poświęconą Peronowi; zmusza się świat do uznania Tito i wkrótce potem usiłuje się pomóc Michajłowiczowi w czasie jego procesu, znieważając w ten sposób Tito; w Chinach polityka zmienia się co kilka miesięcy; uznaje się Polskę pod okupacją sowiecką i jednocześnie udziela się pomocy antykomunistycznym oddziałom wojsk polskich na emigracji itd. Po drugie Stany Zjednoczone nie umieją zapewnić sobie rezultatów politycznych, będących w stosunku proporcjonalnym do ich siły materialnej. Okazuje się zawsze, po wszystkich konferencjach, w Teheranie, Jałcie, Poczdamie, Londynie czy Paryżu, że Stany Zjednoczone poszły na poważne ustępstwa. Ta cecha charakterystyczna nabiera specjalnego znaczenia w zestawieniu w tymże samym okresie ze zwyczajami dyplomacji sowieckiej, która umie osiągać rezultaty znacznie większe od tych, które by realnie odpowiadały jej możliwościom. Nawet w chwili gdy Rosja sowiecka była na granicy militarnej porażki, umiała odnosić polityczne zwycięstwa. Po trzecie istnieje w Stanach Zjednoczonych jakiś szczególne niedołęstwo jeżeli chodzi o akcje polityczne. Polityczni przedstawiciele Stanów ciągle popełniają błędy, mylą się, gubią się w procedurach proceduralnych, zmuszeni są do odwoływania swych przedsięwzięć i rozpoczynania wszystkiego na nowo.

Powyższe cechy charakterystyczne są konsekwencją faktu, że Stany Zjednoczone nie posiadają wśród swych obywateli, rządzących czy rządzonych, ludzi o wykształceniu politycznym w ogólności a ludzi orientujących się we współczesnej polityce światowej w szczególności. Wielu z politycznych przedstawicieli Stanów nie rozumie ani tego co robi, ani tego z czym walczy, a w większości wypadków nie rozumie nawet problemu, który ma rozwiązać.

Dominujące w Stanach poglądy polityczne posiadają dwa źródła. Źródła te tkwią w przeszłości, są związane z wczesnymi latami zjednoczenia naszego narodu. Jednym z nich jest abstrakcyjna, pusta, sentymentalna retoryka idealizmu demokratycznego, wprowadzona przez Tomasza Jeffersona. Występuje ona w mowach, przy wielkich okazjach, służy do uspakajania sumień. Drugie źródło to podejrzane kombinacje, zawierane w barach, nieuczciwe umowy przedwyborcze, handel posadami. Wszystko to stworzone zostało przez kolegę partyjnego Jeffersona i jego pierwszego vice-prezydenta, Aarona Burr'a. Połączenie tych dwu właściwości stanowi tradycyjną amerykańską kombinację, występującą zarówno w partii republikańskiej jak i demokratycznej. Połączenie "idealistów" z New Deal z "zepsutymi politykami city", dokonane za rządów Franklina Roosevelta, a które budziło zdumienie licznych liberalnych komentatorów, jest typowe dla amerykańskiego stylu i funkcjonowało znakomicie, dzięki Burr'owi, już w czasie wyborów Jefferson'a, w 1800.

Jeffersonowska retoryka nie wiąże się absolutnie z rzeczywistością i dlatego też nie będę więcej się nią zajmował. Gdy bierze się ją poważnie — co rzadko zdarza się tym, którzy czę-

sto jej używają — uniemożliwia ona zrozumienie wypadków politycznych.

Amerykańska agitacja polityczna i idee, które organizacji tej odpowiadają, są szczególnie skuteczne w obrębie pewnej ograniczonej akcji politycznej, zwłaszcza gdy stosunki społeczne są mniej lub więcej ustabilizowane. Potrafią one zapewnić administrację jakiegoś miasta i rozciągnąć nad nią kontrolę, potrafią rządzić Stanem, lub zdecydować o zwycięstwie jednej z partii w wyborach ogólnych. Umieją one w sferze ich ograniczonej działalności nagrodzić w sposób odpowiedni politycznych przyjaciół i ukarać wrogów.

Kiedy jednak pole akcji politycznej rozszerzy się poważnie lub równowaga w stosunkach społecznych zostanie zachwiana, organizacja ta i jej idee nie są w stanie sprostać zadaniom. Działalność wielkich narodów, posiadających tradycję i kulturę, nie zamyka się w małomiasteczkowym sposobie karania drobnych nadużyć. By skutecznie prowadzić sprawy w skali światowej, konieczna jest znajomość geografii i ekonomii światowej oraz zapoznanie się z religiami, moralnością, historią i aspektami cywilizacji. A dalej, kontroli nad ruchami mas w okresach kryzysu nie uzyska się na pewno rozdając cygara, uściski dłoni i posady na urzędach pocztowych. Masy w takich chwilach ulegają wpływom idei, wstrząsających światem mitów, irracjonalnych impulsów.

Tutaj także sposób w jaki funkcjonuje nasz system wychowawczy jest pouczający. W zakładach wychowawczych w Stanach, począwszy od szkół najniższych aż do uniwersytetów, polityka wykładana jest przy pomocy podręczników zatytułowanych "Sprawy obywatelskie" lub "Rząd". Poza zwykłą retoryką, w podręcznikach tych występują wykresy i rysunki, przedstawiające formy zewnętrzne aparatu rządzącego: konstytucje, urzędy, parlamenty o jednej lub dwu izbach, ministerstwa i rady. By przygotować studentów do pracy praktycznej uczy się ich techniki administracyjnej na określonych przykładach, oraz daje się im wskazówki jak zostać funkcjonariuszem ósmej kategorii. Rzadko spotykamy wykłady poświęcone historii politycznej świata i jej pokrewnym dziedzinom, jak geopolityce, naukom ekonomicznym i historii wojskowej. W Stanach czynny polityk pogardza naukowcem, specjalistą od nauk politycznych — a jest takich kilku — zaś ludzie wykształceni, pozbawieni możliwości nawiązywania kontaktów ze źródłami władzy, stają się bezpłodni i akademicy.

Żyjemy w epoce, którą Lenin słusznie określił jako "epokę wojen i rewolucji" — żyjemy w okresie wielkiej światowej rewolucji.¹⁾ Najważniejszym i najbardziej rzucającym się w oczy wydarzeniem tej epoki było narodzenie się ruchów politycznych totalitarnych, podobnych w swej istocie, jakkolwiek noszących różne nazwy — nazistów, faszystów, komunistów. Ignorancja polityczna Amerykanów ujawniła się całkowicie i w sposób bardziej rozpaczliwy niż gdzie indziej dzięki właśnie ich nieumiejętności zrozumienia tych ruchów totalitarnych. Wielu z naszych politycznych przywódców wierzy, iż partie totalitarne, jakkolwiek nieco dziwne i "obce", są zasadniczo podobne do

1) Ogólną naturę światowej rewolucji naszych czasów opisałem w książce pt. *The Managerial Revolution* Putnam, Londyn, 1942.

naszych partii Demokratów i Republikanów, tych dowolnych, zmiennych ugrupowań milionów różnie nastawionych mężczyzn i kobiet, związanych tylko nieokreślonymi sentymentami, jeszcze mniej określonymi tradycjami i wspólnie odczuwanymi pragnieniami uzyskania posad. Gdy generał Patton postanowił zredukować akcję denazyfikacyjną w Niemczech, w zonie okupowanej przez Trzecią Armię, decyzję swą tłumaczył tym, że przecież różnice między nazistami i antynazistami są właściwie bardzo podobne do różnic między Republikanami i Demokratami w Ameryce. Został on odwołany ze swego stanowiska; a przecież błąd jego nie był większy od błędów popełnionych przez Roosevelta, Hulla, Stettiniusa, Byrnesa, Achesona czy Wallace'a, którzy na przestrzeni całego świata zgodzili się bez protestu na to, by komuniści zaliczeni zostali do "partii demokratycznych", upoważnionych do rozwijania bez przeszkód swych akcji w państwach oswojonych i podbitych i którzy przyjęli komunistów do nowo utworzonych rządów. W Chinach, jesienią 1945, rząd Stanów Zjednoczonych zmusił Chiang-Kei-Sheka do wysunięcia propozycji włączenia komunistów do rządu chińskiego.

Ruchy totalitarne z ich żelazną dyscypliną, ich monolityczną strukturą, scementowane terrorem, z ich surową i totalną ideologią i penetracją w każdą dziedzinę życia swoich członków, stanowią całkowicie odrębną odmianę tego, co przyzwyczailiśmy się nazywać "partią polityczną". Nie więc dziwnego, że polityczni przedstawiciele Stanów są nieustannie, na każdej konferencji, wprowadzani w zdumienie zachowaniem się przedstawicieli sowieckich, tak jak niegdyś zachowaniem się hitlerowców. Nasi dyplomaci przekonani są, że prowadzą pertraktacje z ludźmi, co prawda twardymi i chytrymi, ale jednak należącymi do tego samego gatunku co oni, i działającymi na zasadzie tych samych podstawowych reguł. Dla sowieckich ludzi targi dyplomatyczne są drugorzędym szczegółem. W ich przekonaniu konferencje są miejscem, z którego przemawiać można do mas i to nie po to by osiągnąć porozumienie, lecz by zniszczyć swych zagranicznych współtowarzyszy obrad. Gruboskórne zachowanie się Gromyki w czasie posiedzeń Rady Bezpieczeństwa jest niezrozumiałe dla Byrnes'a, ale wahające się stanowisko Byrnes'a jest niestety dla Gromyki zrozumiałe.

Niski poziom politycznej wiedzy Stanów stwierdzić również możemy w artykułach, mowach, wydawnictwach i książkach poświęconych sprawom politycznym. Bezpośrednie porównanie pozwala — w moim przekonaniu — skonstatować fakt, że poziom nasz pod tym względem jest niższy od poziomu innych narodów. Dobrze zorientowanemu Rosjaninowi, Anglikowi, Chińczykowi czy Brazylijczykowi wydać się musi niewiarogodnym fakt, że opinia publiczna dziesiątków milionów obywateli Stanów formowana jest przez dziennikarzy i mówców radiowych, których wykształcenie zdobyte zostało długoletnią praktyką w kolportowaniu skandali, prowadzeniu rubryki sportowej lub sprzedaży cygar; i czyż można zrozumieć to, co się dzieje na świecie, czytając niechlujne sprawozdania dziennikarzy, którym wydaje się, że są znakomitymi analitykami dzięki temu tylko, że sa po imieniu ze sławnymi ludźmi i znają modne bary każdej stolicy.

Byłoby absurdem wierzyć, iż zwykłe zwiększenie się wiedzy politycznej umożliwi rozwiązanie katastrofalnych problemów

politycznych, które nas czekają. Wbrew temu, co mówił Bacon — wiedza nie jest potęgą samą w sobie. Ale ignorancja jest słabością, bo nie jest w stanie zużytkować możliwości, jakimi się dysponuje dla wypełnienia wyznaczonych celów. Głupota zaś jest dopuszczalnym luksusem tylko w czasach bardziej spokojnych od naszych.

Cel niniejszej książki określić można w sposób bardzo prosty. Mam zamiar przeprowadzić, w głównych i podstawowych liniach analizę sytuacji politycznej, wytworzonej na skutek zakończenia drugiej wojny światowej; będę mówił o rzeczywistej sytuacji politycznej, a nie o sytuacji deformowanej marzeniami czy kłamstwami propagandystów. Mam poza tym zamiar — w oparciu o ową rzeczywistą sytuację — zastanowić się nad możliwościami akcji politycznej, którymi dysponowałyby Stany Zjednoczone.

ROZDZIAŁ II.

Czyż jest to rzeczywiście jeden świat?

Wendell Willkie, rozentuzjasmowany cudami nowoczesnej techniki lotniczej, spopularyzował zdanie "jeden świat". Lecz to nie on odkrył kompleks myśli i uczuć, z którymi zdanie to się wiąże. Historia ich jest dłuższa.

Zagadnienie jedności świata warte jest wyjaśnień, gdyż chodzi w nim o rzeczy poważniejsze niż znalezienie w tym tematu do rozmów poobiednich czy kampanii przedwyborczej. U wielu osób wiara w jedność świata wydaje się prowadzić do pewnych wniosków politycznych o dużym znaczeniu. Jeżeli świat jest jeden — mówią te osoby — to może powinien być on i politycznie zjednoczony. Powinien też w konsekwencji posiadać jeden światowy rząd. Aby dokonać zjednoczenia ludzkości pod jednym światowym rządem wystarczy uświadomić ludziom fakt, że świat jest jeden.

Czy prawdą jest że świat jest jeden? Albo raczej, ponieważ takie postawienie sprawy jest niejasne, a zawierając w sobie kilka różnych i niezależnych od siebie pytań, wywołać może nieporozumienia, powiedzmy: w jakim sensie lub w jakich sensach świat jest jeden? w jakim sensie lub w jakich sensach jest on wielokrotny? W obu wypadkach odpowiedź odnosić się musi do problemów polityki światowej. Fakt, że ziemia jest jedna w sensie astronomicznym, to znaczy, że jest planetą umieszczoną w orbicie określonej gwiazdy — jest bez znaczenia politycznego.

Według tradycji, pierwszym na zachodzie wyrazicielem idei jedności świata był Aleksander Wielki, który poszedł pod tym względem dalej niż jego wychowawca filozoficzny Arystoteles. Idea ta rozwinięta została później przez stoików, za czasów Imperium Rzymskiego, przez Dantego, będącego częściowo pod ich wpływem i przez filozofów średniowiecza z ich doktryną o uniwersalnym "prawie natury". Kant w swojej filozofii moralnej uzupełnił ją nowym wariantem; a dzisiaj ukazuje się ona ponownie w wierzeniach licznych internacjonalistów.

Jedność świata, tak jak ją widzieli myśliciele pewnego gatunku od przetrzęsło 2300 lat, którą znajdujemy również u Konfucjusza i która występuje w formie prymitywnej, nie — nad-

naturalnej u buddystów, zamyka się właściwie w odwiecznej koncepcji, że ludzie stanowią jedność dlatego, że wchodzą w skład "wspólnej ludzkości". Jakkolwiek wielka byłaby różnorodność ich talentów i okoliczności życiowych, wszyscy ludzie podlegają prawom uniwersalnego kosmosu, wszyscy ludzie posiadają rozum, wszyscy są istotami moralnymi, związanymi w równej mierze obowiązkami moralnymi jak i możliwością wykonywania moralnej woli. "Ludzkość", "wspólnota światowa" nie są więc pustymi, abstrakcyjnymi pojęciami, lecz zdaniem ujmującymi obiektywną, metafizyczną rzeczywistość jednej i uniwersalnej natury ludzkiej.

W ostatnich czasach ta koncepcja filozoficzna przybrała bardziej naturalistyczny i empiryczny kształt. Kładzie się więc nacisk nie tyle na rozum, wolę moralną i prawo naturalne, w których ludzie w pewien skomplikowany, metafizyczny sposób wydają się brać udział, co na elementarne biologiczne i psychologiczne potrzeby, pragnienia i instynkty, które są im bezwzględnie potrzebne: potrzeba pożywienia, schronienia, potrzeby seksualne, pragnienie bezpieczeństwa, instynkt socjalny.

Idee te przetłumaczone na język religijny odnajdziemy we wszystkich wielkich religiach świata, a przede wszystkim w chrześcijaństwie, hinduizmie i buddyzmie. W chrześcijaństwie Nowy Testament ujmuje je w doktrynie "Ojcostwa Boga i Braterstwa Człowieka". Ponieważ Bóg jest Twórcą i Ojcem wszystkich ludzi w równej mierze, ponieważ wszyscy pochodzimy od Boga — jesteśmy braćmi.

Na tym polega pierwsze znaczenie, albo raczej grupa znaczeń — zdania "jeden świat". Świat jest jeden ponieważ wszyscy ludzie wchodzą w skład wspólnej ludzkości, bez względu na to czy na ludzkość tę patrzeć będziemy z punktu widzenia naturalistycznego, metafizycznego czy religijnego. Jaki wpływ tak rozumiana jedność świata posiada na zimne, historyczne problemy polityki światowej naszych czasów?

Odpowiedź niestety brzmi, że wpływu takiego nie posiada prawie wcale. Jeżeli ludzie wchodzą w skład pewnej wspólnej ludzkości to było tak od początku. Ludzie istnieją na ziemi od co najmniej kilku setek tysięcy lat, a przypuszczalnie od kilku milionów lat. To należenie do wspólnej ludzkości nie stanęło na przeszkodzie ich ciągłym kłótniom, walkom, morderstwom, ich wzajemnemu torturowaniu się i gnębieniu. Sami filozofowie, którzy głosili doktrynę o metafizycznej jedności nie pozostawali w tyle, jeżeli chodzi o walki i tortury; religie, które wyznają Ojcostwo Boga pchnęły do kilku najbardziej krwawych wojen i prześladowań; modni naturaliści naszych czasów, wielbicielowie wspólnej ludzkości nie cofali się przed zalecaniem bombardowań bezbronnych miast, gdzie wspólną ludzkość wspólnie niszczone.

Doświadczenie wykazuje więc, że wspólnota ludzkości nie przyczyniła się wiele do osiągnięcia historycznego celu — wspólnoty światowej. Słaba strona doktryny tej polega na tym, że przy wyborze pewnych wspólnych elementów natury ludzkiej pomija ona mniej dodatnie, chociaż równie uniwersalne, elementy, takie jak instynkt niszczenia, pragnienie zadawania cierpienia, potrzebę nienawiści i władzy, jednym słowem jej właściwości irracjonalne, które w każdym razie są równie oczywiste jak jej rozum. Następnie, doktryna ta, po dokonaniu wy-

boru elementów wspólnych, zapomina zaznaczyć, iż są one w konkretnej rzeczywistości nierozzerwalnie związane z szeregiem innych elementów, które są jednocześnie wspólne i indywidualne, uniwersalne i odrębne; że są one związane zarówno z pomijanymi elementami wspólnymi jak i wszystkimi odrębnościami, powstałymi na tle szczepu, rodziny, miasta, narodu, stosunku do prawa własności, języka, bogactwa i nędzy, zwyczajów i zakazów, bogactw materialnych, wiedzy, religii, technologii i sztuki. Działalność historyczna ludzi, a w szczególności ich konflikty, determinowane są nie tyle wspólnymi im elementami abstrakcyjnymi, ile specyficznymi właściwościami miejsca, epoki i struktury społecznej, w których interesy ich się stykają i krzyżują. Elementy ludzkości, które byłyby wspólne komisarzowi sowiekiemu, mieszkańcowi Trobriand, małemu fermerowi z Midwestern i hiszpańskiemu jezuitcie stanowiąc będą na pewno raczej bladą całość i mało wartościową podstawę dla konstrukcji jednego świata.

Poza tym wspólne ludziom instynkty i potrzeby — jeżeli chodzi o pożywanie, schronienie, kobiety, pierwszeństwo, bogactwo i przyjemności — zamiast łączyć ich niezmiennie w braterstwie, są najczęściej przyczyną wzajemnych walk. Kiedy braknie pożywienia dla wszystkich, rozum i moralność nie okazują się nigdy na wysokości zadania i niezdolne są do zadecydowania kto co ma otrzymać. Koczownicy ze stepów, które stały się nieurodzajne na skutek zmiany klimatu, okupując inne tereny, poświęcają równie mało uwagi sprawie obowiązków moralnych jak i gospodynie oddające się szatałowi czarnego rynku.

Tym niemniej całkowite odrzucenie doktryny o wspólnocie i braterstwie ludzkości byłoby błędem. Wzięta jako opis tego, czym ludzie byli, są i jak się zachowują, doktryna ta jest niedokładna, a nawet niebezpiecznie fałszywa. Przedstawiona jednak jako ideał, cel i zadanie do osiągnięcia, posiada nie tylko wspaniałą szlachetność — tak znakomicie wyrażoną przez św. Mateusza w scenie, w której Chrystus piętnuje celników i faryzeuszy za ich zazdrosny separatyzm — lecz zawiera także, dzięki lojalności wierzących w nią ludzi, możliwości wpłynięcia na bieg historii w kierunku osiągnięcia głoszonych braterstwa.

Wiara w ideały — to nie sentymentalizm, a rzecz najzupełniej ludzka. Sentymentalizm zaś, tak często prowadzący do niebezpieczeństwa — to nieumiejętność rozróżniania ideałów od faktów konkretnych. Ludzie, w rzeczywistości nie są złączeni, lecz skłócenii, nie są w swych aktach racjonalni, lecz najczęściej irracjonalni, nie są przepelnieni miłością tylko, lecz także egoizmem, nie są dobrzy, lecz są dziwną mieszaniną zła i dobra. I jakichkolwiek będziemy używać słów, fakty pozostaną faktami. Ale doprowadzić możemy do tego, że ludzie będą mniej skłócenii; i jeżeli nie potrafimy wyeliminować nienawiści i instynktów, to w każdym razie dojdź możemy do tego, by ich konsekwencje były mniej straszne. Mamy rację odnosząc się z szacunkiem do ideału ludzkiej wspólnoty. I jakkolwiek daleki jest ten ideał od rozwiązania dzisiejszych problemów, a nawet przyjsia nam z pomocą w ich rozwiązywaniu — stanowi on naszą nadzieję, naszą najlepszą nadzieję co do przyszłości.

Od czasów Karola Marksa pojęcie jednego świata uzyskało inną, bardzo odmienną interpretację, przyjętą przez wiele osób, nie będących nawet marksistami. W przeszłości — mówią marksiści — świat nie był zjednoczony, lecz stał się nim potencjalnie — a wkrótce stanie się nim nieodwołalnie — dzięki postępom współczesnej technologii. Maszyny i masowa produkcja, szybkość transportów i środków komunikacji, współzależność ekonomiczna wszystkich krajów powstała na skutek podziału w świecie pracy i bogactw, ekspansja wiedzy i jej wyników — wszystko to tak silnie złączyło wszystkie części świata, tak zmniejszyło wymiary czasu i przestrzeni w stosunku do społeczności ludzkiej, iż świat stał się równie zrośniętą całością jak gmina tysiąc lat temu. Skoro fakty te zostaną uznane, lub zaczną działać skutki tych faktów, nawet gdyby one same nie były uznane, świat z konieczności przeorganizuje się społecznie i politycznie w jedno państwo, lub jedno społeczeństwo tak, aby jego forma polityczna była w równowadze z jego podstawą technologiczną.

Ten wniosek marksistowski opiera się na pewnym przypuszczeniu, wypływającym z marksistowskiej teorii historii. Według teorii tej społeczeństwo ludzkie i jego rozwój historyczny zależą "w ostatecznej analizie" (jak mówi to zawile Engels) od rozwoju technologii ("środków produkcji" — używając terminologii Marksa). Z upływem czasu, wszystko inne, a więc stosunki w prawie własności, podział klas, organizacja polityczna, filozofia, sztuka, moralność i religia przekształcają się w zależności od stanu technologii, dostosowanej do środków produkcji. W konsekwencji faktu — rozumują dzisiejsi marksiści — że jedna zasadnicza technologia i jedna metoda produkcji rozciąga się obecnie na cały świat, rząd (równocześnie ze wszystkim innym) przekształca się w jeden rząd światowy. Ludzkość stała się jedna, gdyż jako całość zależy ona obecnie od jednej i tej samej metody produkcji.

Teoria marksistowska jest częściowo słuszna i zanim przystąpię do stwierdzenia jej błędów, zajmę się wyodrębnieniem jej prawd.

Dzięki naukowej technologii, fabrykom, maszynom, zakładom montowania, dzięki daleko posuniętemu podziałowi pracy, zachodnia cywilizacja²⁾ stworzyła ogromne bogactwo środków mechanicznych i niezrównaną, a znaną nam wszystkim metodę produkcji. Szczególnie w ostatnim wieku owe środki mechaniczne rozpowszechnione zostały na przestrzeni całego globu ziemskiego, zaspokojenie zaś potrzeb zachodniej maszyny produkcyjnej w surowce wszystkich gatunków, roślinnych i mineralnych, wymagało wydobycia ich ze wszystkich części świata. Niektóre okręgi — a przede wszystkim Japonia, Rosja i niektóre części Chin, Indii i Turcji, nie należąc wprawdzie do cywilizacji zachodniej, zapożyczyły od niej jej metody produkcji i fabrykują obecnie na własny rachunek środki mechaniczne.

2) Przez zachodnią cywilizację rozumiem w tej książce cywilizację, której pierwotnym ogniskiem był półwysep europejski, a religią tradycyjną chrześcijaństwo i która rozpoczęła swe historyczne życie z końcem wieku ciemności, zrodzonego w wyniku upadku cywilizacji hellemickiej.

Należy w dalszym ciągu zaznaczyć, że geografia historyczna jest raczej funkcją zasad Einsteina niż Newtona — to znaczy, że jest ona wyrazem połączonych pojęć czasu i przestrzeni. Wynalazczość w dziedzinie szybkich komunikacji, transportów i dalekodystansowych wojen zredukowała — historycznie mówiąc — rozmiary ziemi. Historyczna i polityczna odległość między dwoma miejscami zależy w pierwszym rzędzie od tego, ile czasu zajmie przeniesienie się z jednego z nich do drugiego czy to jednostce, rozkazowi, bombie czy też wpływowi. Dzisiaj podróż z New Yorku do Moskwy jest znacznie krótsza niż sto pięćdziesiąt lat temu podróż z New Yorku do Bostonu, a głos na fali radiowej czy bomba latająca przebywa tę czy inną przestrzeń w jeszcze krótszym czasie.³⁾ Zgodne jest więc z prawdą, gdy mówimy, że świat dzisiaj, pod niektórymi względami w każdym razie, stanowi równie wąską geograficzną wspólnotę jak gmina tysiąc lat temu.

Prawda ta prowadzi do wniosku o poważnym znaczeniu. Nie udowadnia nam ona tego, że świat i jego cywilizacja są zjednoczone i że wspólnota świata jest nieunikniona; ale wskazuje nam na fakt, że zorganizowanie świata, czy też części jego w jedno państwo jest obecnie technicznie możliwe. Nie ma już niepokonalnej przeszkody technicznej, która by uniemożliwiła przeprowadzenie scalenia sił zbrojnych, polityki, sądów, finansów i ekonomii w stopniu dostatecznym do stworzenia zjednoczonego światowego państwa.

3

Od tego pozytywnego wniosku, którego użyję później, w dalszej analizie, przejdźmy teraz do błędów doktryny Marksa. Dwa z nich są główne. Po pierwsze — realne fakty ujęte są przesadnie. Mimo, że prawdą jest, iż na przestrzeni całej ziemi znajdziemy środki mechaniczne, wyprodukowane przez zachodnią cywilizację, tym niemniej są one w licznych okręgach rzadkie, a w niektórych okręgach tak rzadkie, jak drobna zmarszczka na powierzchni morza miejscowej kultury. W obecnej chwili większość ludzi widziała już prawdopodobnie samoloty, ale mało jest stosunkowo miejsc gdzie samoloty te weszły w skład zwykłego, codziennego życia. Aparat radiowy, elektryczne żelazko, żarówka — są jeszcze magicznymi przedmiotami dla więcej niż połowy ludzi na ziemi. Jeżeli przyglądamy się mapom ekonomicznym, które obrazują rozmieszczenie linii kolejowych, centrali elektrycznych, samochodów i telefonów, to uderzy nas fakt nie ich rozprzestrzenienia się po całej kuli ziemskiej, lecz odwrotnie, będziemy pod wrażeniem stwierdzenia, że większość świata jest prawie całkowicie ich pozbawiona.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę rozwinięte środki produkcji Zachodu to stwierdzimy, że rozmieszczenie ich jest jeszcze bardziej ograniczone. Mapy ukażą nam tylko kilka głównych za-

3) Sam ten fakt wystarczy do wykazania całej absurdalności argumentów ludzi, którzy utrzymują, że dwa wielkie narody — na przykład jak Stany Zjednoczone i Związek sowiecki — nie mają powodów do wejścia w konflikt, gdyż nie posiadają "punktów stykowych", to znaczy, że granice ich nie stykają się na mapie. Dzisiaj, realne granice narodów — granice ich interesów — zachodzą na siebie wzajemnie.

geszczeń: w Stanach Zjednoczonych, Anglii, w niektórych okręgach Rosji sowieckiej, w Japonii i przyległym wybrzeżu chińskim, w części kontynentalnej Europy. Druga wojna światowa poważnie zredukowała te dwa ostatnie okręgi. Poza tym, tylko w sąsiedztwie miast nadbrzeżnych Indii, Brazylii, Argentyny, Australii i może w jednym czy dwu innych krajach, znajdziemy jeszcze w poważnych ilościach typowo zachodnie środki produkcji: fabryki, młyny, centrale elektryczne.

Zachodnie środki mechaniczne nie są więc w rzeczywistości obecne wszędzie na świecie. Jedyne stwierdzić możemy, że pośrednio czy bezpośrednio siła ich i wpływ dają się odczuć na całym świecie.

Drugi błąd marksizmu jest głębszy. Jest to błąd założenia, wypływający z ogólnej teorii historii i opierający się na przekonaniu, że technologia jest jedyną dominantą ewolucji i natury historii i cywilizacji. Technologia jest bezwzględnie jedną z decydujących przypadkowych sił historii, a w historii cywilizacji zachodniej — szczególnie od czasów renesansu — miała ona może większy wpływ od innych sił przypadkowych; ale w historii cywilizacji w ogóle redukuje się do jednego tylko spośród kilku innych czynników decydujących. Klimat, obyczaje, formy instytucyj, religia, moralność, a nawet inteligencja i geniusz indywidualny posiadają względną przynajmniej autonomię jako siły historii. Charakter i przeznaczenie cywilizacji jest rezultatem współdziałania wszystkich tych i innych jeszcze sił, wśród których oczywiście znajduje się i technologia.

Wąskość naszych horyzontów fałszuje nam — ludziom należącym do cywilizacji zachodniej — naszą wizję. Wydaje się nam, że ludzkość cała jest taka jak my. W narodach kuli ziemskiej widzimy tylko nas samych — nas "cywilizowanych", otoczonych mrocznym pasmem "tubylców". A ponieważ wyróżniamy się przede wszystkim naszymi osiągnięciami na polu technologii, zacinamy utożsamiać pojęcie cywilizacji z pojęciem technologii. Świat — widziany poprzez tę wąską szparę, poprzez ten egocentryzm — wydawać się nam może zjednoczony, lub prawie zjednoczony. Ale, o ile spróbujemy wnieść na chwilę i rozszerzyć naszą wizję, o ile usuniemy filtry zachodu i technologii, mapa świata odsłoni nam bogactwo o wiele głębiej zróżnicowanych konturów.

Skłócenie narodów cywilizacji zachodnich jest gwałtowne i oczywiste, jest tak gwałtowne, że w ciągu ostatniego stulecia narody te podjęły, nie bez powodzenia, wysiłek wzajemnego unicestwienia się. Dziela ich język, interesy gospodarcze, formy rządów i zasady prawodawcze. Wściekła nienawiść wywołana nacjonalizmem jest zjawiskiem typowym dla naszych czasów. Ten rodzaj nacjonalizmu narodził się w związku z rewolucją francuską i mało wykazuje tendencji do zmniejszenia się. Jest rzeczą ciekawą, że w czasie drugiej wojny światowej zasadniczym motywem oporu w Europie zarówno w stosunku do hitleryzmu jak i komunizmu był nacjonalizm. Ani abstrakcyjne pojęcie wolności, ani "walka klasowa", ani "Europa Zjednoczona", ani "Rząd światowy" nie okazały się dostatecznie silnymi ideami, by związać armie krajowe i ruchy oporu. Ideami tymi były "Francja", "Polska", "Grecja".

Jeżeli wewnątrz cywilizacji zachodniej istnieją takie różnice, to o ileż poważniejsze będą różnice te w świecie jako całości,

gdzie obok cywilizacji zachodniej występują cztery co najmniej wyraźne cywilizacje — dalekiego wschodu, islamu, hinduska i prawosławna — nie mówiąc już o pozostałościach kilku starszych cywilizacji, a nawet o ciągle jeszcze żyjących kilku kulturach prymitywnych.

Najwięcej nieporozumień wywołuje fakt, że cywilizacja zachodnia rozciągnawszy swój system ekonomiczny na cały świat objęła w swej sieci całą żyjącą generację ludzką, wszystkie zamieszkałe ziemie i wszystkie morza naszej planety...

Zachodni obserwatorzy, którzy wierzą w "jedność cywilizacji" i w "jeden świat" przesadzili w dwu kierunkach znaczenie tych faktów. Najpierw wyszli oni z założenia, że zjednoczenie mniej lub bardziej całkowite współczesnego świata na planie ekonomicznym, narzuconym przez zachód i zjednoczenie polityczne w szerokim dosyć znaczeniu, które jemu towarzyszyło, równają się zjednoczeniu na wszystkich planach. Następnie, utożsamili oni pojęcie zjednoczenia z pojęciem jedności...

Ich wizja współczesnego świata musi ograniczyć się do płaszczyzny ekonomicznej i politycznej życia społecznego i nie powinna przedostać się do płaszczyzny kulturalnej, która jest nie tylko głębsza ale i bardziej zasadnicza. Podczas gdy mapy ekonomiczne i polityczne świata tak dalece uległy wpływowi zachodu, iż stały się nie do poznania, mapa kulturalna pozostała zasadniczo tym, czym była w okresie zanim zachód rozpoczął podbój ekonomiczny i polityczny kuli ziemskiej. Dla każdego kto umie patrzeć, linie zakreślające cztery nie-zachodnie cywilizacje są ciągle jeszcze widoczne. Nawet blade i delikatne linie cywilizacji prymitywnych, zmieniane w proch przez przetaczający się walec zachodni, nie zaginęły jeszcze całkowicie. W jaki sposób historycy nasi mogli zamknąć oczy, by tego nie widzieć? Należeli po prostu okulary — czy okulary końskie — swego pokolenia. By lepiej zrozumieć czym były koncepcje tej generacji wystarczy zastanowić się nad znaczeniem słowa "tubylec" w języku angielskim, jak również w innych współczesnych językach świata zachodniego.

Gdy my, ludzie zachodu, nazywamy kogoś mianem "tubylec" oznacza to usunięcie wszelkiego zabarwienia kulturalnego w naszym widzeniu jego. Tubylców wyobrażamy sobie jako drzewa, czy dzikie zwierzęta, nawiedzające kraj, w którym ich spotykamy. Przynależność ziemi do nich jest równie prowizoryczna i wątpliwa jak drzew w lesie, które zachodni pionier wycina, i jak zwierzę, którą zabija. W jaki sposób "cywilizowani" panowie stworzenia odniosą się do zwierzęcy ludzkiej w dniu, kiedy wejdą w posiadanie ziemi, nieodwołalnie do nich należącej? Czy traktować będą tych "tubylców" jak robactwo, które trzeba zniszczyć, czy jak zwierzę domowe, przeznaczone do wożenia drzewa i wody? Słowo "tubylec" nie jest oczywiście terminem naukowym, lecz instrumentem w akcji. Wchodzi ono w skład praktyk zachodu, a nie jego teorii; i to tłumaczy ów fakt paradoksalny, że społeczeństwo o rozwiniętym zmyśle klasyfikacyjnym nie zawahało się przed zastosowaniem tej samej nazwy do współczesników Gandhiego, Bose i Rabindranath Tagore i do ludzi "prymitywów", będących na najniższym szczeblu kultury, jak mieszkańcy wysp Andaman i czarnych australijskich. Słowo to wprowadzone do opisu obiektywnego nie posiada żadnego sensu, użyte zaś by potwierdzić pretensje, że cywilizacja zachodnia jest jedyną cywilizacją staje się równoznaczne z akcją bezpośrednią. 4).

W czasie swej pospiesznej podróży Wendell Willkie zwiedzał

4) Upoważniony, cytuję z *A study of history* Arnolda J. Toynbee, tom I, rozdz. III, str. 150-53. Książka ta wydana została przez Oxford University Press (London) z ramienia Royal Institute of International Affairs. W tym rozdziale jak i rozdziale IV czerpię obszernie z tego znakomitego dzieła.

duże miasta, fabryki, lotniska i urzędy państwowe. Rozmawiał z dyrektorami fabryk, generałami, biurokratami, wysokimi urzędnikami administracyjnymi, którym — bez wyjątku — zależało na pozyskaniu względów Stanów Zjednoczonych. Jest rzeczą naturalną, że w tych warunkach świat wydał mu się zjednoczony. Ale nie jest potrzebne głębokie zapuszczenie się w ład Indyj, Nowej Zelandii, Chin, Arabii, Afryki, Burmy czy Ceylonu by przypomnieć tym, którzy chcą widzieć rzeczy jasno, że świat z punktu widzenia kultury jest wielokrotny, a nie jeden. Wystarczy nawet wyprawa do biblioteki czy miejscowego muzeum, w którym obrazy, statuy, śpiewy, symbole i książki religijne potwierdzą tę samą prawdę. A różnorodność ta nie jest — rzecz jasna — tylko powierzchowna. Istnieją też — jakkolwiek trudne jest to do zrozumienia dla umysłu zachodniego — "tubyłcy" w Chinach, Indiach, Maroku i Turcji, którzy nie tylko, że nie posiadają samochodów, łazienek, i aparatów radiowych, lecz którzy nie pragną ich posiadania.⁵⁾

Podsumujmy teraz analizę pojęcia "jeden świat". Świat jest potencjalnie jeden o tyle, o ile możliwy jest do zrealizowania ideał braterstwa i wspólnej ludzkości. Świat obecnie jest jeden, w każdym razie na pewnym poziomie, dzięki bezpośredniemu i pośredniemu wpływowi pewnej określonej technologii i metody produkcji ekonomicznej. Politycznie i w sposób jeszcze bardziej wyraźny kulturalnie — jest on wielokrotny.

4

Zajmowałem się dotychczas w rozdziale tym zjawiskami o długim trwaniu: więcej niż stulecie, jeżeli chodzi o zjawiska ekonomiczne i polityczne, poważną ilość wieków w sprawach dotyczących wielorakości kultury. Pozostawiłem na uboczu fakt znaczący i coraz bardziej nam bliski, bezpośrednio wiążący się z zagadnieniem "jednego świata", a który mierzy się na dekady raczej, niż na wieki. Fakt ten, bardziej niż każdy inny, związany jest bezpośrednio z polityką. Działalność polityczna, jak mądra by była, nie może być ujmowana w perspektywie wieków, ale najwyższej dekad czy generacji. Racjonalna działalność polityczna nie ignoruje szerokich, powolnych, odwiecznych ruchów, lecz zmuszona jest do przyjęcia ich jako jeden z elementów sytuacji, jako element po prostu "dany" i który w swym charakterze podobny jest do wolnych, prawie niedostrzegalnych dla życia nadmorskiego, zmian w morzu czy atmosferze. Rozsądna akcja polityczna koncentruje swój wysiłek na uzyskaniu rezultatów natychmiastowych i w najbliższych latach.

Fakt, który mam na myśli, polega na tym, że niezależnie od jedności czy wielorakości, które braliśmy dotychczas pod uwagę, świat obecny podzielony jest ostro i decydująco na dwa niewspółmierne okręgi: okręg komunistyczny i nie-komunistyczny. Nawet metafory współczesnej retoryki świadczą o tym rozdziale i jego ostrości. Wszyscy słyszeliśmy o "żelaznej kurtynie". Me-

5) Toynbee wspomina historię szeryfa marokańskiego, wracającego z Europy, który ujrawszy wybrzeże swego kraju, wykrzyknął: "Co to za szczęście wracać z powrotem do cywilizacji!". Gdy nasze prawniki wypowiadają te same słowa zbliżając się do wybrzeża Anglii, czyżart ten ukaże się w pismach komicznych Chin i... Maroka?

tafora ta jednak prowadzi do nieporozumień, gdyż nie należy wyobrażać sobie, iż podział dokonany został wzdłuż jakiejś określonej linii geograficznej. Okręg komunistyczny przenika do każdej zony geograficznej naszej ziemi: i mimo, że podział ten uwydatnia się w sposób bardziej jaskrawy na granicy imperium sowieckiego, wewnątrz każdego narodu podział między komunistami i nie-komunistami jest równie potężny jak przeprowadzone w pewnym momencie rozszczepienie Niemiec rzeką Elbą.

Ponieważ większość książki tej poświęcona będzie zagadnieniu rozszczepienia świata na odłam komunistyczny i nie-komunistyczny, ograniczę się tutaj do wspomnienia tylko o tym fakcie. Każdy komunist przystosował się do tego faktu już od dawna. Od czasów Lenina, a częściowo nawet przedtem, każdy komunist wychowany jest w przekonaniu, że ludzkość dzieli się na dwie kategorie ludzi: komunistów i wszystkich pozostałych. Z punktu widzenia komunistycznego tysiące różnic, które dzielią nie-komunistów między sobą, różnice narodowości, bogactwa, wiedzy, przynależności klasowej, koloru skóry, religii, czy polityki są niczym w porównaniu do różnicy, która wyodrębnia ich od wszystkich innych. Gdy komunist śpiewa: "Miedzynarodówka będzie rodzajem ludzkim" ma na myśli to, co mówi, i wypowiada swe zdanie na temat sposobu w jaki różnica ta powinna być usunięta.

ROZDZIAŁ III.

Polityczne konsekwencje bomby atomowej

Większość opinii dotyczących historycznego znaczenia wynalazku i użycia broni atomowej⁶⁾ może być podzielona na dwie główne kategorie. Jedna kategoria opinii mniej wybitna, — mimo, że wyznaje ją spora liczba czołowych wojskowych — utrzymuje, że żadna zasadnicza zmiana w sztuce prowadzenia wojen i w historii nie nastąpiła na skutek wynalezienia broni atomowej. Są one bowiem tylko jedną pozycją więcej w długiej liście: maczug, kamieni, mieczy, szpad, okrętów, łuków i strzał, prochu, karabinów, armat, karabinów maszynowych, samolotów, gazów, bomb latających, bomb atomowych... Nowe bronie zmieniały zasięg i szybkość w zabijaniu i niszczeniu. Tym niemniej różnice dotyczą tylko stopnia. Taktyka defensywna i ofensywna muszą przystosować się do zmian kwantytatywnych. Główne zasady strategii wojskowej pozostają bez zmian. Wojna atomowa różni się będzie aspektem od wojen staromodnych i wymagać będzie odmiennych przygotowań i dyspozycji taktycznych; ale o wyniku jej zdecyduje ta sama kombinacja środków, postawy moralnej i przewagi strategicznej, co zawsze.

Druga grupa opinii, będąca w całkowitym kontraście do po-

6) Bomby atomowe nie są oczywiście jedynymi środkami masowego niszczenia. Oświadczono nam, że istnieją inne, jeszcze nie ujawnione, których efekty działania są bardziej niszczycielskie niż bomb atomowych. Dla uproszczenia mówić będę o "broni atomowej", lub po prostu o "bombach atomowych" lecz chciałbym aby zrozumiano, że mam na myśli całą grupę środków nowych o potężnej sile destrukcyjnej. Dodam, że moim zdaniem bronie atomowe, oparte na faktach rozszerzenia pola działalności fizycznej, winny okazać się najważniejsze.

przedniej, stoi na stanowisku, że odkrycie możliwości użytku energii atomowej i dostosowania jej do sztuki wojennej wprowadza nas w zupełnie nową erę historii. Wojna — i w konsekwencji życie ludzkie — stoją u wrót niewiadomej, która w niczym z przeszłością nie da się porównać. Nie możemy już czerpać nauk z doświadczenia. By być w zgodzie z rewolucyjnym "wiekiem atomowym" musimy także zrewolucjonizować nasze idee.

Człowiek o przekonaniach liberalnych, postawiony w obliczu dwu krańcowych i pozornie ze sobą sprzecznych stanowisk, mówi sobie, że prawda jest na pewno kompromisem, leżącym w połowie drogi między nimi. Rezultatem tego jest to, że liberalizm unika raczej nieprzyjemnego obowiązku spojrzenia prawdzie w oczy i przyznania, że w większości wypadków wszystkie opinie, z wyjątkiem jednej, są po prostu fałszywe.

Tutaj prawda jest bardziej zawiła niż zwykle. Obie krańcowe opinie są przypadkowo prawdziwe. Nie ma też w tym paradoksu, gdyż ci, którzy opinii tych bronią mówią o rzeczach odrebnych.

Pierwsza z opinii tych jest prawdziwa, gdy przypomina, że bomby atomowe nie zostały stworzone ex nihilo i że nie rozpoczynają swojej kariery w społecznej pustce. Nie powstają one same, lecz są fabrykowane i używane przez istoty ludzkie. Te istoty ludzkie nie zmieniły swych cech biologicznych i psychicznych w chwili skonstruowania bomby atomowej. Jako istoty ludzkie są one częścią zorganizowanych społeczeństw; psychologicznie, indywidualnie i socjalnie zachowują się według wzorów ustalonych długą i nieprzerwaną przeszłością. Bomba atomowa jako fakt materialny jest dla wiedzy ludzkiej czymś nowym, jedynym, wstrząsającym. Jako fakt socjalny jest dalszym ogniwem długiego łańcucha faktów socjalnych. Jej ukazanie się jako fakt materialny jest bez znaczenia dla człowieka. Dla człowieka problemem są pytania: co można z nią zrobić, jak należy jej użyć? A to nie jest zagadnieniem fizyki atomowej, lecz zagadnieniem moralnym, społecznym, zagadnieniem zachowania się człowieka. Takie problemy nie powstały równocześnie z cyklotronem.

Bomba atomowa nie robi ludzi inteligentniejszymi i nie sprawia, że są mniejszymi egoistami; nie niszczy ich pragnień miłości czy nienawiści, władzy czy dobroci; nie eliminuje walk klasowych o bogactwo i przywileje, ani walk narodów przeciwko narodom, ani walk z tyranią o wolność; nie przemienia ona małego państwa w duże, ani dużego w małe, ani zacofanego w postępowe. O losie bomb atomowych, o tym co się z nimi stanie, decydują nie bomby atomowe, a ludzie; ludzie zaś decyduje swe pobierają w oparciu o warunki społeczne, tworzone od stuleci.

Fakt wprowadzenia broni atomowej widziany z takiego punktu widzenia nie pociąga za sobą zasadniczej zmiany. I byłoby rzeczą żubną wierzyć, że nauki zaczerpnięte z doświadczenia, nie mają już zastosowania; nie ma innych nauk. Jest również słuszne twierdzenie, że wielkie zasady strategii wojennej będą w dalszym ciągu obowiązujące. Ostatecznie, zasady te nie są niczym więcej tylko wykładnikiem ogólnych metod, pozwalających na przeprowadzenie z powodzeniem każdej przemysłowej akcji na każdym polu.

Tym niemniej druga grupa opinii nie pozbawiona jest także prawdy. Mimo, że broń atomowa jako fakt socjalny pozostaje faktem socjalnym i traktowana będzie tak, jak inne tego rodzaju fakty traktowane były w przeszłości, to jednak w jej wypadku w grę wchodzi o wiele więcej elementów, niż to miało miejsce z większością innych faktów socjalnych i przy innych, uprzednich odkryciach nowych broni; o tyle więcej, że mamy prawo uważać postawiony przez nią problem jako jedyny.

Wojna w stosunku do ludzkości jako pewnej całości miała zawsze — z wyjątkiem tylko kilku odległych i mniej znaczących wypadków — charakter endemiczny. Aż do czasów obecnych ludzie potrafili dostosować wojnę do ogólnych warunków egzystencji i to w takim stopniu, że nie tylko życie samo toczyło się w dalszym ciągu, ale nawet zakwitły i rozwijały się cywilizacje ze wszystkimi ich osiągnięciami. Z punktu widzenia Maltusa, na wojnę patrzeć można jako na hamulec zapobiegający zbyt niemu rozmnożeniu się w stosunku do istniejących środków utrzymania; ale wojna, w połączeniu ze wszystkimi innymi hamulcami, nigdy nie zapobiegła na długo stopniowemu zwiększeniu się ludności ziemskiej. Można by powiedzieć, że pod tym względem ludzkość w swej walce o istnienie była zwycięska. Jest rzeczą ciekawą, że nawet w czasie obu wojen światowych, które były teatrem największych morderstw, ludność zwiększyła się pozornie. Wzrosła ona liczbowo nie tylko jako całość, ale wzrosła także w krajach walczących.

Fakt, który broni atomowej nadaje jej charakter wyjątkowy polega na tym, że stworzyła ona definitywną, materialną możliwość całkowitego zniszczenia życia ludzkiego⁷⁾. Dwie widzę możliwości zrealizowania tego zniszczenia. Po pierwsze, konsekwencje wybuchów atomowych, promienie, gazy itd. przekształca atmosferę globu do tego stopnia, że dalsze życie ludzkie nie byłoby możliwe, lub zatrąłyby ziemię, powodując jej całkowitą jałowość. Po drugie, reakcja łańcuchowa wciągając jakiś ogólny, szeroko rozpowszechniony element mogłaby wyeliminować życie ludzkie za jednym zamachem⁸⁾.

Wiem, że uczeni starają się usunąć obie te możliwości. Zapewniają nas oni, że rozciągnęli kontrolę nad wszystkim. Przeprowadzają dokładne obliczenia, określające jaką ilość danej materii można rozprzestrzenić, by być pewnym, że tylko wyznaczona przestrzeń powietrza i ziemi, oraz odpowiednia ilość ludzi zostanie zdeintegrowana. A ich reakcje łańcuchowe mają miejsce tylko wtedy, gdy jakieś niestate elementy dołączają się do przewidywanych procesów. Jeżeli chodzi o mnie, to nie mam pełnego zaufania do publicznych delaracji uczonych.

Podstawowe zasady fizyki atomowej nie przedstawiają specjalnych trudności dla przeciętnego śmiertelnika. Na zasadzie jednak takich, między innymi, faktów jak — niemożność znalezienia wytłumaczenia z góry dla sprawy rozproszenia się dy-

7) Masowa wojna biologiczna stwarza tę samą możliwość.

8) Istnieją jeszcze inne, chociaż może bardziej odległe możliwości: modyfikacje klimatu wywołane zmianami prądów w oceanie lub stopnieniem się lodów polarnych; zmiany powierzchni ziemi wskutek trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów, wywołane eksplozjami atomowymi; i tak dalej.

mu w fabryce w Clinton, radioaktywności wody w Hanford, albo znalezienia wyjaśnienia dla dziwnego faktu ukazywania się plam na kliszach fotograficznych w odległości setek kilometrów od Los Alamos w jakiś czas po dokonaniu doświadczonego wybuchu — staje się rzeczą oczywistą, że uczeni nie znają jeszcze dokładnie sprawy rozpraszania się produktów wtórnych wybuchów atomowych. Jeżeli wiedza ich o wybuchach bomb pojedynczych i mało skutecznych jest niekompletna, to o ileż mniej jeszcze wiedzą o skutkach równoczesnego wybuchu tysięcy bomb skutecznych.

A dalej, mimo że osiągnięte przez nich wyniki opierały się na skoncentrowaniu pewnej ilości elementów niestałych w proporcjach określonych, to jednak nie znają oni ogólnych warunków towarzyszących reakcjom łańcuchowym. Według ich własnych sprawozdań cykl energetyczny słońca wciąga ciała niezłożone takie jak wodór, węgiel hel. I nie ma powodu przypuszczać, aby podobne reakcje nie wystąpiły także na ziemi, wywołane bez zamiaru i przypadkowo przez uczonych.

O ile chcemy ustalić historyczne znaczenie technologii atomowej — bo tak należałoby ją nazwać — to rozpocząć trzeba od stwierdzenia jej najbardziej charakterystycznej konsekwencji, a mianowicie, że umożliwia ona, nie uprawdopodobnia, lecz najwyraźniej umożliwia bliskie i całkowite unicestwienie życia ludzkiego.

Może nie należałoby jednak uważać tego za "polityczną konsekwencję" bomby atomowej. Ostatecznie, totalne unicestwienie — zlikwidowałoby wszystkie problemy polityczne. Jest również rzeczą możliwą, chociaż mniej prawdopodobną, że przestaniemy istnieć na skutek uderzenia potężnego meteoru, nieoczekiwanej komety, lub zmian w ruchach słońca; tego rodzaju możliwości nie wprowadzamy jednak do naszych kalkulacji politycznych. Wróćmy więc do innych, niż unicestwienie, a mających bardziej bezpośredni związek z polityką — konsekwencji bomby atomowej.

2.

Stwierdźmy na porządku, że o ile unicestwienie życia jest mało prawdopodobne, chociaż możliwe, to o tyle zniszczenie cywilizowanego społeczeństwa przez broni atomową jest — w ostatecznym rachunku prawdopodobne. Jedna albo dwie zakrojone na dużą skalę wojny, w których przeciwnicy posługiwaliby się bronią atomową, zniszczyłyby prawdopodobnie to, co nazywamy cywilizacją.

Współczesna cywilizacja zależy od skomplikowanej i powikłanej sieci organizacji fizycznych i socjalnych. Punkty kluczowe tej sieci koncentrują się w wielkich miastach. Bronia atomowa jest specjalnie dostosowana do destrukcji wielkich miast. Jeżeli, w nowej wojnie obie strony będą w posiadaniu poważnego zapasu broni atomowej i środków umożliwiających użycie ich na dużych odległościach — równoczesne zniszczenie znacznej ilości miast i ośrodków przemysłowych jest do przewidzenia. Spowodować to może bezpowrotne zawalenie się organizmu cywilizacyjnego, gdyż odbudowa jego utrudniona zostanie przez wyeliminowanie potrzebnych środków. Ludzkość zredukowana

liczbowo istniałaby w dalszym ciągu, lecz poziom jej życia społecznego i kulturalnego byłby bardziej prymitywny. "Nasz świat" zaniknąłby bezpowrotnie tak, jak zanikła cywilizacja kreteńska po nagłej i tajemniczej klęsce, która nawiedziła jej centrum na wyspie Krecie.

Nasza cywilizacja zachodnia jest szczególnie wystawiona na niebezpieczeństwo broni atomowej. Największe na świecie miasta wchodzi w jej skład, a nasze uzależnienie od miast jest całkowite. Naszej maszynie socjalnej, skomplikowanej, uprzemysłowionej i zmechanizowanej, której funkcjonowanie zatrzymane być może przez strajk tysiąca osób, grozi największe niebezpieczeństwo. Traktor zaościć może większy szmat ziemi niż koń, ale koń potrzebuje tylko niewielkiej ilości pożywienia, wody i jednego chłopca do jego pilnowania, a nawet — sam chłop uprawiać może ziemię.

Im bardziej kraj jest uprzemysłowiony, im bardziej jego okręgi przemysłowe są skoncentrowane, im bardziej sieć jego linii transportowych i komunikacyjnych jest zawiąza tym bardziej jest on zagrożony: a więc, w pierwszym rzędzie Anglia, Stany Zjednoczone, Niemcy, takie jakie były przed wojną, Belgia, północne Włochy, niektóre części Francji. Kraje nie zachodnie, które przejęły zachodnie metody produkcji wystawiły się także na niebezpieczeństwo, a więc Japonia, mimo, że w ostatniej wojnie porażka jej nie była spowodowana bombą atomową i Rosja, której zagrożenie ze względu na ogromne przestrzenie i niższy stopień rozwoju przemysłowego jest mniejsze niż krajów zachodu, o rozwiniętej technologii.

Chiny, Indie, Środkowy Wschód, a jeszcze bardziej Afryka środkowa są w bez porównania lepszych warunkach jeżeli chodzi o wytrzymanie wojny atomowej. Bomby atomowe mogą bez wątplenia zmieść Bombay, Kalkutę, New Delhi, Shanghai, Hong Kong, Peiping, Kanton... O ile środki walki atomowej nie zostaną udoskonalone do tego stopnia, że umożliwią unicestwienie wszelkiego życia, cywilizację dalekiego wschodu i hinduska pozostałyby: prawdopodobnie kilka milionów ludzi zostałyby zabitych, lecz cywilizacja ich byłaby zaledwie nadszarpnięta. Wybuchy nie naruszyłyby życia plemion afrykańskich ani w lasach, ani w dżungli, ani nad brzegami rzek. Chłopi chińscy i hinduscy, ludy prymitywne Afryki, które nie znają dobrodziejstw maszyn zachodu są jednocześnie od maszyn tych niezależni.

I bardzo łatwo okazać się może, że cywilizacja zachodnia wyzwalając energie atomowe popełnia samobójstwo.

3.

Widoczna już konsekwencją broni atomowej jest przyspieszenie ewolucji historycznej, która w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat osiągnęła największą na przestrzeni historii szybkość. Zmiany polityczne i socjalne, które przędzeniem zaznaczały się w ciągu dziesiątków lat czy stuleci, obecnie dokonywują się w ciągu jednego czy dwu lat. Kryzys następuje po kryzysie i nie ma dłuższych, wypoczywających przerw. Rozpatrywaliśmy nieco wyżej jeden z najważniejszych przykładów owego wzmocnienia tempa: wstępne utarczki trzeciej wojny światowej rozpoczęły się zanim zakończona została druga wojna światowa. We

wszystkich dziedzinach: w dziedzinie praw, ustrojów, granic, monarchii, stosunków w prawie własności, konstytucyj, wartości monet, wszędzie zmiany następują z dnia na dzień. Nacjonalizacja całych gałęzi przemysłu w Anglii, Francji i Czechosłowacji zostaje przeprowadzona z mniejszym hałasem niż, kiedyś drobne jakieś dochodzenie parlamentarne. Manifestacje dyplomatyczne w Argentynie, Iranie, Mandżurii, Niemczech, Hiszpanii, Palestynie następują jedna po drugiej. Jednego tygodnia otwiera się bank międzynarodowy, w następnym wybuchają wojna cywilna; w pismach wieczorowych wiadomość o strajku generalnym zastępuje wiadomość, podana przez dzienniki poranne, o buncie wielkiej jakieś kolonii. Stany Zjednoczone wchodzą w posiadanie majątku o wartości bilionów dolarów znacznie szybciej niż kiedyś decydowały się na poświęcenie kilku akrów ziemi pod budowę mostu czy drogi. Usuwają się i wprowadza nowe rządy z równą łatwością, jak graczy w konkursie bridżowym.

Broń atomowa nie jest oczywiście jedyną przyczyną owego wzmocnienia się tempa; jest ona pod pewnym względem raczej symptomem niż przyczyną. Przyspieszenie zmian historycznych charakteryzuje rewolucje — takie też ma znaczenie pojęcie "rewolucji socjalnej" — a już w poprzedniej generacji rozpoczęła się ogromna socjalna rewolucja światowa, która jeszcze nie dobiegła końca. Wynalezienie broni atomowej zaostroża sam proces rewolucyjny tak, jak sprężony tlen dodany do płonącego ognia.

Dzieje się to dlatego, że broń atomowa zabrania odsuwania na później rozgrywki. Groźba bomby atomowej otwiera przed przegrywającymi w każdym razie, perspektywę unicestwienia socjalnego nie na przestrzeni wieków czy generacji, lecz w najbliższej przyszłości. Sama druga wojna światowa ze swym sloganem bez precedensów o "bezwartunkowym poddaniu się" i swym rozgromieniem przegrywających wskazuje na to, że narody są przygotowane moralnie do wojen eksterminacyjnych. Wynalazki atomowe dostarczają im potrzebnych do celu tego środków.

Każdy czuje i zdaje sobie sprawę ze zmian i to nadaje charakter gorączkowy atmosferze społecznej. Reakcją wielu staje się gruboskórny hedonizm ze swym programem wykorzystania reszty pozostałego czasu dla przyjemności takich jak pieniądze, wino i kobiety. Inni zwracają się do religii, często o charakterze mistycznym. Wojskowi starają się utrzymać stan armii i zapewnijają swe laboratoria technikami i uczonymi. Meżowie stanu w nerwowym pośpiechu wypróbowują jedną kombinację polityczną za drugą.

Bronie atomowe spoczywające w otoczonych tajemnicą gniazdach Stanów Zjednoczonych i wykluwające się w laboratoriach innych państw nie pozwolą światu na czekanie. Wynika z powyższego, że żaden program polityczny nie będzie miał konkretnego znaczenia, o ile nie dostarczy na przestrzeni kilku najbliższych lat odpowiedzi, chociażby czasowo ograniczonej, na pytania stawiane przez problem broni atomowej. Nie ma czasu na tworzenie idealnych społeczeństw, które osiągnie się przez wychowanie, lub inną, równie powolną procedurę za wiek lub dwa. Cel wyznaczony przez rozumne postępowanie polityczne musi być taki, by go osiągnąć, lub w każdym razie do-

statecznie się do niego zbliżyć w ciągu najbliższych lat dziesięciu.

Logika powyższego wniosku jest — mam wrażenie — nie do odrzucenia. Druzgocze ona za jednym zamachem całą masę programów politycznych, pełnych najlepszych intencji i mających charakter abstrakcyjny. Może nie należy rozstawać się z nimi całkowicie, ale każdy program obliczony na daleką metę musi być podparty programem krótkoterminowym, gdyż w przeciwnym wypadku będzie on bez wartości, utopijny i politycznie nieodpowiedzialny. Jeżeli dom się pali, program reform dla jego mieszkańców będzie zbyteczny, o ile nie podejmie się akcji zmierzającej do ugaszania pożaru.

Jeżeli połączymy teraz fakt historycznego wzmocnienia tempa z rozważaniami rozdziału poprzedniego, to będziemy mogli wyciągnąć jeszcze wniosek dodatkowy.

Jeżeli nie znajdzie się praktycznego rozwiązania dla problemu broni atomowej w ciągu względnie krótkiego czasu, zachodnia cywilizacja przestanie być na świecie cywilizacją dominującą (o ile w ogóle nie zaniknie) i zostanie prawdopodobnie zastąpiona przez jedną z istniejących cywilizacji, a, o ile żadna z tych cywilizacji nie będzie posiadać dostatecznej siły twórczej dla wypełnienia tego zadania, zachodnia cywilizacja zostanie zastąpiona znacznie później przez jakąś nową cywilizację, której jeszcze nie znamy. Jest trudno bardzo w podobnym wypadku określić co należy rozumieć przez wyrażenie "w ciągu względnie krótkiego czasu". Wydaje się wynikać z faktu istnienia broni atomowych i prawdopodobieństwa ich niedługożycia, że decyzją w tej sprawie zapadnie na pewno w ciągu najbliższych kilku dziesiątek lat. Obliczenie takie dopuszcza więc możliwość przeżycia przez cywilizację zachodnią trzeciej wojny światowej (i pierwszej atomowej) i upadku jej w czwartej, co na pewno będzie miało miejsce.

Wniosek ten jest tak jaskrawy, że wielu czytelników dopatrywać się w nim będzie retorycznego zwrotu. Ale tego rodzaju zwalczanie wniosku opierałoby się na iluzji, że cywilizacja nasza jest równoznaczna z cywilizacją w ogólności, a nasza historia z historią ludzkości. Wiemy dobrze, że każdy z nas, indywidualnie, umrzeć musi, lecz pojąć nie możemy, że cały nasz sposób życia mógłby przestać istnieć. "Prawdopodobnie — pisze Toynbee — ostatni pisarz (egipski), który umiał posługiwać się hieroglifami i ostatni rzeźbiarz, który umiał wycyzelować płaskorzeźbę wznawali w chwili, kiedy społeczeństwo egipskie było in articulo mortis tę samą iluzję, co ich poprzednicy w momencie, gdy to społeczeństwo utrzymywało jeszcze swój wysoki poziom i dawniej, kiedy to w przekonaniu wszystkich jej członków było ono jedynym społeczeństwem w swym rodzaju, które kiedykolwiek istniało i miało istnieć"⁹⁾.

Toynbee opowiada także historie pewnej rozmowy między meżem stanu brytyjskim a odwiedzającym go Persem, w której to rozmowie Anelik ów próbował znaleźć uzasadnienie dla cynicznej polityki brytyjskiej w stosunku do Persji wysuwając argumenty, że dzięki tej polityce właśnie Rosja w czasie pierwszej

9) Arnold J. Toynbee, *A study of history*, tom I, rozdz. 3(b) str. 158.

wojny światowej znalazła się po stronie Aliantów. "Gdyby siedem lat później — mówił ów mąż stanu — Niemcy rozpoczęły wielką wojnę, mając Rosję jako sprzymierzeńca lub neutralną, na pewno ją wygrały. A to oznaczałoby nie tylko koniec Imperium brytyjskiego, lecz i koniec cywilizacji. I czy mogliśmy w obliczu niebezpieczeństwa dla całej cywilizacji postąpić inaczej? Niech pan spróbuje postawić się na naszym miejscu i niech odpowie mi pan najzupełniej szczerze".

Pers, który na początku przysłuchiwał się temu wywodowi z zainteresowaniem i smutkiem, stracił pod koniec całkowicie panowanie nad sobą i nagle wybuchnął gniewnym potokiem słów: "Wasza polityka była nieskończenie bardziej niegodziwa niż przypuszczałem, jej cynizm przechodzi wszelkie wyobrażenia. Miał pan bezczelność powiedzieć mnie łaskawie, że rozmyślnie poświęcili panowie jedyny skarb, który Persja przechowuje dla ludzkości — nieoceniony klejnot jej cywilizacji — po to, by ocalić wasze godne pogardy społeczeństwo zachodnie od katastrofy, którą zachłanność wasza i wojowniczość ścigała nieuchronnie na waszą głowę. Postawić się na pana miejscu, rzeczywiście! Byłoby mi najzupełniej obojętne i będzie obojętne dzisiaj, gdyby Europa zginęła, oby tylko Persja żyła"¹⁰.

4

Jeżeli nie chcemy biernie pogodzić się z ostatecznym upadkiem cywilizacji zachodniej, należy stwierdzić, że pierwszym i zasadniczym warunkiem praktycznego rozwiązania problemu broni atomowych jest: bezwzględny monopol produkcji, posiadania i użytku tych broni.

Można utrzymywać, że zniszczenie broni atomowych i całego aparatu, który służy do ich produkowania byłoby rozwiązaniem o wiele bardziej prostym i pewniejszym. Lecz tego rodzaju argument nie bierze zupełnie pod uwagę historii. Bronie atomowe i aparat, który służy do ich produkcji nie wyskoczyły gotowe do użycia z głowy jakiegoś Zeusa dwudziestego wieku. Są one produktem końcowym całego długiego procesu rozwojowego zachodniej wiedzy i technologii. Żeby pozbyć się ich nie wystarczy zatopić je w morzu i zniszczyć fabryki i laboratoria atomiczne. Należałoby także usunąć to wszystko co je stworzyło i co wkrótce odtworzyłoby je ponownie, to znaczy współczesną wiedzę i technologię, jak również uczonych i techników, którzy wiedzę tę i technikę niosą. A to równałoby się usunięciu cywilizacji zachodniej. Osiągnęlibyśmy więc ten sam rezultat co bomby atomowe i nic poza tym.

Jedynym sposobem wyeliminowania broni atomowej byłoby zastosowanie postępowania właściwego monopolom, które pozwala im na wyeliminowanie produktu, który kontrolują, to znaczy zachowania w swej wyłączności jego produkcji i użytku.

To, że ów monopol absolutny jest koniecznym, chociaż może niedostatecznym warunkiem rozwiązania problemu broni atomowych wydaje mi się, po zastanowieniu, rzeczą tak oczywistą iż nie podlegającą nawet jakiegokolwiek dyskusji.

Przypuścmy, iż więcej niż jedno (dwa wystarczają do tego przypuszczenia) państwo posiada i wyrabia broń atomowe.

Każde z nich udoskonalać będzie bez przerwy skuteczność i siłę destrukcyjną tych środków. Spróbujmy teraz przeprowadzić rozumowanie tak, jak zmuszeni są to robić ludzie stojący na ich czele.

Kierownicy państwa A myśleć będą jak następuje: państwo B jest w posiadaniu środków, które są w stanie zniszczyć nas w niezmiernie krótkim czasie. Mogło ono dokonać lub jest w trakcie dokonywania nowych wynalazków mogących zagrozić nam jeszcze szybszym i bardziej totalnym zniszczeniem. W chwili obecnej co prawda nie manifestuje ono wyraźnej chęci ich użycia. Tym niemniej, nie wolno nam wierzyć, że ta polityczna życzliwość utrzyma się stale, zwłaszcza, że wie ono iż my także posiadamy możliwości jego zniszczenia. Jakiś wariat lub przebiegły mąż stanu może już w tej chwili wydawać rozkaz naciśnięcia odpowiednich sprężyn.

A więc? A więc, by obronić siebie i ponieważ posiadamy dostateczne uzbrojenie atomowe musimy uderzyć i to tak, by — wykorzystując wszystkie możliwości polityczne, dyplomatyczne, psychologiczne, ekonomiczne i nawet wojskowe — zaskoczyć go całkowicie. Nawet gdyby się to nam udało, liczyć się musimy z niebezpiecznym odwetem. Ale, o ile towarzyszyć nam będzie szczęście, to wytrzymamy przeciwuderzenie, a jego stały system obrony ulegnie za jednym potężnym zamachem zdruzgotaniu do tego stopnia, że nie podniesie on się nigdy.

Każdy z ludzi stojących na czele państwa B rozumuje w ten sam sposób. I czyż możliwe jest, by rozumowali inaczej? Nie powinniśmy odrzucać pobożnie podobnych myśli, tłumacząc, że są to brednia demonicznych i perwersyjnych wariatów. Poważni kierownicy polityczni nie mogą w ich praktycznych planach brać pod uwagę sentymentalnej wersji życia politycznego, którą znajdziemy w podręcznikach dla szkół powszechnych, tygodnikach liberalnych i ich własnych świątecznych przemówieniach. A w zestawieniu z obecnym światem rozumowanie ich nie jest ani nieodpowiedzialne ani nawet niemoralne. Ich pierwszym obowiązkiem jest myślenie o nich samych i ich grupie. Wiedzą oni, że w historii żadna grupa społeczna nie została ocalona dlatego, że wierzyła we wrodzoną dobroć człowieka.

Nawet gdyby nie było bomb atomowych wielu z dzisiejszych kierowników politycznych rozumowałoby w podobnym duchu. Ostatecznie, bomby atomowe nie są odpowiedzialne ani za wojnę, ani nawet za trzecią wojnę światową, która się rozpoczęła. Fakt, że nie brak jest obecnie społecznych i politycznych przyczyn do nowej wojny uderzyć nas musi z każdej strony każdej gazety. Istnienie bomby atomowej powiększa tylko stawki do rozmiarów niewymierzalnych i wywołuje konieczność powzięcia szybkiej decyzji.

Jest prawdą, że tylko nieliczni ludzie i nieliczni kierownicy polityczni rozumują opierając się na nieprzerwanej logice. Siła podanego powyżej rozumowania nie od razu wydać się im może przekonująca albo przez czas jakiś nie będą chcieli jej uznać. Ale utrzymywać, tak jak to robią niektórzy nieobliczalni komentatorzy, że strach przed odwetem będzie najlepszą przeszkodą uniemożliwiającą wybuch wojny atomowej jest równoznaczne z wykreśleniem wszystkich nauk płynących z historii wojen i społeczeństw. Strach, jak to przekony-

10) Toynbee, loc. cit, str. 162-63.

wujaco udowadnia Ferrero, prowadzi do stosowania siły. Większość współczesnych wojen miała w przekonaniu wojujących charakter prewencyjny, miała na celu pokonanie strachu przed tym, co przeciwnik przygotowywał.

Interwencja pewnych sił niezależnych kałkowicie od kierowników państw A i B mogłaby opóźnić wykonanie ataku doradzanego przez wyżej wspomniane rozumowanie. W szczególności, opinia publiczna mogłaby przeciwstawić się temu prewencyjnemu atomowemu atakowi. Ale opinia publiczna może być kierowana. Kierownicy w krajach totalitarnych przyzwyczajeni są z jednej strony do czystej logiki w ich kalkulacjach politycznych, z drugiej zaś wolni są od wpływów niezależnej opinii publicznej.

Istnienie dwu lub więcej ośrodków kontroli broni atomowej można by przyrównać do granatu z wyciągniętym już bezpiecznikiem.

Absolutny monopol kontroli, wykonywany przez którekolwiek z państw nie zapewniłoby — to prawda — wykluczenia na zawsze użytku broni atomowej. Ale odsunąłby on automatycznie od tych, którym powierzono wykonywanie tego monopolu, jedną z głównych przyczyn uzasadniających ich użycie: strach, że ktoś inny użyje. Monopolisci byłiby nieodwołalnie odpowiedzialni przed całym światem; i opinia całej ludzkości ciążyłaby na ich aktach. Jeżeli jestem w posiadaniu jedynej na świecie strzelby, to nie będzie kwestii kto jest mordercą w dzień, gdy znajdzie się zabitego człowieka z kulą w głowie. Monopolista nie będzie nigdy mógł utrzymywać, że zrobił użytek z bomb atomowych dlatego, że jakiś przeciwnik gotów był zrobić to samo. I — jakkolwiek byłoby to tylko drobną satysfakcją — monopol kontroli dałby w każdym razie gwarancję, że nie cała ziemia zamieniona zostanie w pustynię atomową, lecz maksymalnie tylko ta część jej, która jest we władaniu przeciwnej strony. Odpowiedzialni mężowie stanu mogą wywołać i zapewne wywołażą wojnę atomową o ile kontrola nad bronią atomową spoczywać będzie w kilku rękach. Ale doprawdy trzeba by wariata, by wywoływać tego rodzaju wojnę, gdy środki do jej prowadzenia będą tylko w jego wyłącznym posiadaniu.

5.

Jeżeli stworzyć mamy monopol kontroli nad bronią atomową, to komu należy go powierzyć?

Mimo istnienia całego szeregu stanowisk, konieczność stworzenia takiego monopolu jest ogólnie uznawana i zwykle odpowiedź na pytanie to brzmi: "rządowi światowemu" lub jakimś "organizmowi międzynarodowemu". W następnym rozdziale poruszę sprawę "rządu światowego". Tutaj ograniczę się do uwagi, że rząd światowy jeszcze nie istnieje i nie może być dlatego brany obecnie pod uwagę jako kandydat na monopolistę. Jeżeli rząd światowy miałby powstać w przyszłości, to nie byłoby problemu kontroli nad bronią atomową. Rząd światowy wykonywałby jedyną kontrolę, albo nie byłby rządem światowym.

Jeżeli chodzi o "organizmy międzynarodowe" czy "komisje międzynarodowe", które proponuje nam — w chwili gdy to piszę — Organizacja Narodów Zjednoczonych to nie są one w

stanie spełnić powierzonej im roli; bez względu na osiągnięte porozumienia, nie dojdą one do żadnych rezultatów. Wszystkie te organizmy jak również i same Narody Zjednoczone nie są prawdziwymi "instytucjami światowymi" gdyż nie posiadają niezależnej suwerenności. Są one po prostu miejscem zebrania i rozmów, komitetami studiów, w najlepszym wypadku przymierzami indywidualnych, suwerennych państw. Ich polityczne możliwości sprowadzają się w praktyce do możliwości poszczególnych państw. Powierzenie broni atomowej instytucji, która zostałaby wyłoniona czy utworzona przez Narody Zjednoczone, lub innej, podobnej jakiejś komisji nie ustanowiłoby w żadnym wypadku monopolu. W praktyce oznaczałoby to rozbicie kontroli, jej podział między państwa wchodzące w skład tej komisji. Byłoby tak na pewno, chyba, żeby sama "komisja atomowa" stała się rządem światowym.

Wszystkie więc nadzieje pokładane w Narodach Zjednoczonych przemieniły się w rozczarowanie.

Wśród obserwatorów, którzy sądzą, że bronie atomowe są rewolucją w dziedzinie zasad dotychczas stosowanych w wojnie i ogólnej działalności społecznej, znajduje się kilku, którzy utrzymują, że mały naród, a nawet grupa prywatnych osób (uczonych i techników na przykład), mogłaby przy pomocy środków atomowych podbić potężne państwo, lub nawet świat cały. Pogląd ten jest fałszywy.

Po pierwsze, produkcja broni atomowej wymaga¹¹⁾ posiadania stosunkowo dużego zapasu surowców, które znajdują się w dostatecznej ilości tylko w kilku punktach ziemi. Powyższe wyklucza z góry większość narodów. Po drugie, produkcja ta wymaga pośrednio czy bezpośrednio ogromnego i zaawansowanego aparatu przemysłowego, którym nie dysponuje żadne z małych państw. Po przecie, wymaga ona znacznej ilości wyszkolonych robotników, techników i uczonych, których znowu nie mają w swym posiadaniu małe narody. Jeżeli chodzi zaś o grupę osób prywatnych, żadne państwo bez wątplenia nie pozwoli im na fabrykację broni atomowej.

Jeżeli jest rzeczą do pomyślenia, by jedno czy dwa spośród małych państw (Szwajcaria czy Szwecja na przykład, które dysponują i precyzyjnym przemysłem i uczonymi) zaczęło fabrykować broń atomową, nie oznaczałoby to jeszcze totalnego niebezpieczeństwa dla całego świata. Byłoby to tak, jak gdyby pojedynczy wariat z karabinem maszynowym w rękę znalazł się na wolności w mieście. W wyniku, śmierć i postrach zapanałyby w mieście na czas jakiś, lecz nie narodziłyby się z tego nic stałego. Mały naród nie dysponowałby odpowiednimi ludźmi, którzy umieliby utrwalić tę zdobycz.

Prawdą jest, że rola małego narodu w produkcji broni atomowej ograniczyć się może do fasady w stosunku do dużego i ludnego państwa. Pozornym źródłem broni atomowej mógłby być mały naród (powiedzmy Czechosłowacja czy Ekwador), — lecz kontrolę nad nim rozciągałoby duże państwo, które jedynie

11) Jest oczywiście możliwe, że zostaną wynalezione o wiele bardziej proste metody produkowania broni atomowych i że okaże się, iż można ją produkować posługując się dostępnymi bardzo surowcami. Lecz nie jest prawdopodobne by miało to miejsce w okresie, w którym mają zapaść istotne decyzje.

może żywić nadzieję kierowania światem swych pokonanych rywali.

Większość dużych i ludnych narodów może również być skreślona z listy kandydatów na objęcie monopolu kontroli broni atomowej. Ponieważ produkcja zależy od zaawansowanego aparatu przemysłowego i sporej liczby uczonych tylko narody dysponujące tymi możliwościami mogą być brane pod uwagę. Dlatego też Indie, Chiny, Jawa czy Brazylia na przykład nie mogą być włączone do tej listy. Japonia i Niemcy, zdruzgotane wojną mogłyby w najlepszym razie spełniać rolę "fasady" jak jedno z małych państw. (Zwycięskie, duże narody przyczyniły sobie zresztą niemieckich uczonych atomowych).

Francja, niedostatecznie zaludniona, w każdym razie, jest za nadto osłabiona wojną i ciągłymi wewnętrznymi kryzysami, by można było zaliczyć ją do kandydatów. W dziedzinie polityki międzynarodowej starać się ona jedynie może o zachowanie swej częściowej niezależności, manewrując między mocarstwami.

Można by przypuszczać, w oparciu o przesłanki abstrakcyjne, że Anglia wraz z Imperium Brytyjskim znajduje się na liście. Anglia i Kanada odegrały, jak wiemy, poważną rolę w pierwszych próbach produkcji atomowej. W praktyce jednak stwierdzić musimy, że Anglia weszła w okres historycznej defensywy. Zachowała ona możliwości dokonania poważnych osiągnięć, lecz nie jest już w stanie podejmowania inicjatywy. Jej imperium słabnie, straciła siłę niezależnej ekspansji. I tylko już jako wspólnik jakiegoś dynamicznego państwa może Anglia rozwijać swą akcję, indywidualnej niezależności w akcji już nie posiada. Fakt ten ujawnił się nam w pierwszym okresie rozwoju broni atomowej. Mimo istotnego udziału Anglii i Kanady, fabryki wybudowano, sekrety utrzymano, i zachowano w wyłącznym posiadaniu samą broń atomową, jedynie w Stanach Zjednoczonych.

Wśród istniejących organizmów politycznych pozostaje więc tylko dwóch poważnych kandydatów na objęcie monopolu kontroli nad bronią atomową. Są to Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka, które posiadają wszystkie potrzebne kwalifikacje.

Sprawa broni atomowych, wojny atomowej jest sprawą, którą rozstrzygnąć między sobą muszą Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka. Tak wygląda rzeczywistość, która przybiera formy bardzo skomplikowane w prasie, mowach, posiedzeniach Narodów Zjednoczonych i konferencjach. I rzeczywistość ta zna na jest czołowym przywódcą konfliktu, mimo całej niewłaściwości wygłaszanych przez nich przemówień. Ile razy bronie atomowe są przedmiotem debat nikt nie interesuje się ani Norwegią, ani Polską, Peru, Chinami, Nową Zelandią, Włochami, Afganistanem, Grecją, Anglią czy Hiszpanią. Jedynym "pytaniem zasadniczym" (jak to członkowie Narodów Zjednoczonych lubią nazywać) jest: co zrobią Stany i Rosja Sowiecka?

(C. d. n.)

James BURNHAM.

(Autoryzowany przekład Józefa Ursyna)

Copyright 1947, by James Burnham.
Original publication by The John Day Company, Inc., New York U.S.A., with the title *The Struggle for the World*.

O prozie Puszkina

Sołowjew w swoim znakomitym artykule **O znaczeniu poezji w wierszach Puszkina**, porównując tego rosyjskiego poetę z Byronem i Mickiewiczem wskazywał, że "w pewnym sensie można oddawać pierwszeństwo" tym dwóm ostatnim, gdyż zarówno Byron jak i Mickiewicz większe mieli znaczenie", niż Puszkina. Byron przerastał Puszkina napięciem swego indywidualizmu, skoncentrowaniem rozumu i potęgą charakteru. Mickiewicz przewyższał Puszkina głębią swoich uczuć religijnych, powagą wymagań etycznych które stawiał sobie i swemu narodowi, wzniosłością koncepcji mistycznych i — wreszcie, co najważniejsze, nieustannym dążeniem do pokonywania i podporządkowywania wszystkiego, co osobiste, życiowe — praktyczne, temu, co uznawał za absolutnie obowiązujące... Tym porównaniem Sołowjew podtrzymywał swój zasadniczy pogląd na Puszkina, a mianowicie, że "Puszkina jest przeważnie poetą, wyrazicielem czystej poezji, a więc poetą o najmniejszej ilości ubocznych domieszek".¹⁾

"Właściwości Byrona i Mickiewicza — wyjaśniał dalej Sołowjew — polegały na takich ich przymiotach, które by się przejawiały tak lub inaczej, nawet więc w tym wypadku, gdyby te dwie potężne indywidualności nie napisały ani jednego wiersza". "A że przy tym byli oni genialnymi poetami z łaski Bożej, tedy dominujące cechy ich indywidualności, poza znaczeniem ogólnym, znalazły naturalnie swój wyraz także i w ich poezji..." Ale "i Byron i Mickiewicz dodatkowo, od siebie taką właśnie treść nadawali swojej poezji, która przy całej swej powadze, nie była dla poezji jako takiej istotna". "Puszkina nie posiadał podobnej, wszechwładnej, skoncentrowanej treści osobistej, posiadał po prostu żywą, otwartą, niezwykle chłonną i wrażliwą na wszystko duszę; nie więcej. Jedyną ważną i wielką rzeczą, którą o sobie wiedział, był jego dar twórczy; jasne więc, że o d siebie nie mógł on wnieść do poezji nic powszechnie znaczącego. Poezja Puszkina jest poezją czystą,

1) Przy sposobności nadmienię, że Bieliński wyraził podobny pogląd: "Puszkina był przede wszystkim poeta, artystą i niczym innym nie mógł być z samej swej natury". Por. W. G. Bieliński: *Izbrannyje Sozczinienija*, Ogiż. Gos. Izd. Moskwa, 1947, str. 523.

nie czerpiącą swojej treści z czegokolwiek spoza niej, lecz właśnie ze siebie samej".²⁾

Sołowjew świetnie, jak zwykle, i nader ściśle sformułował swój pogląd na poezję w ogóle, a na poezję Puszkina w szczególności. Ogólne estetyczne tezy Sołowjewa antycypują nie tylko formalistów, lecz również i znaną pracę ks. Bremond'a **De la poésie pure**. Co się zaś tyczy uwag, wypowiedzianych o Puszkynie, to rozwijają one w pewnym stopniu to, co przed Sołowjewem powiedział o Puszkynie Czernyszewski.

Oto co w r. 1855 pisał Czernyszewski: "...Najważniejsze jest to, że Puszkini był głównie poetą formy. Nie chcemy przez to powiedzieć, że istota znaczenia Puszkina w historii rosyjskiej poezji sprowadza się tylko do opracowania wiersza; takie bowiem ujęcie wyrażałoby zbyt wąski pogląd na społeczne znaczenie poezji. W rzeczy samej jednak, istotna wartość utworów Puszkina polega na tym, że są one piękne, lub — jak to się dziś mówi — że są one artystyczne. Puszkini nie był poetą jakiegokolwiek określonego poglądu na świat, jak Byron; nie był nawet poetą myśli w ogóle, jak np. Goethe i Schiller. Artystyczna forma **Fausta**, **Wallensteina**, **Child Harolda** zrodziła się głównie po to, aby w niej znalazł swój wyraz głęboki pogląd na życie; w utworach Puszkina tego nie znajdziemy; w Puszkynie kunszt artystyczny stanowi nie tylko powłokę, lecz jądro i skorupę zarazem".³⁾

Nie mniej charakterystyczne są i dalsze uwagi Czernyszewskiego o Puszkynie, jako "poecie historycznym". "...Lecz i tutaj Puszkini pozostał wierny sobie: nie powiedział nic, co było jego własne; jego pogląd na historyczne charaktery i zjawiska nie był niczym więcej jak odbiciem przeciętnych pojęć, podzielanych przez wszystkich mu współczesnych, wypowiadanych i powtarzanych bez szczególniejszej ochoty, ponieważ pojęcia te zawierały bardzo mało treści. Zasadniczą wartością historycznych utworów Puszkina jest ich wierność psychologiczna, nie zaś to, że Puszkini potrafił dojrzeć w wydarzeniach, które opisywał, ich głębokie wewnętrzne znaczenie..."⁴⁾

Czernyszewski i Sołowjew mają zapewne na swój sposób rację. Istotnie czysto estetyczny żywioł Puszkina jest patosem jego twórczości literackiej, — co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Ten rys twórczości Puszkina nie umniejsza jednak wcale olbrzymiego ideologicznego znaczenia poezji Puszkina w życiu rosyjskiego społeczeństwa i w dalszym rozwoju literatury rosyjskiej.

2) W. S. Sołowjew: **Sobranije Soczinenij**, t. IX, str. 296-8.

3) Cytuję według książki **Ruskije pisatielei XIX wieku o Puszkynie**. Red. A. S. Dolinina, Gos. Izd., 1938, str. 250-51. Zwróć przy sposobności uwagę, że Sołowjew powiada: "Nie niepokojąc już kolosalnych cieniów Homera i Dantego, Szekspira i Goethego — można przyznać Byronowi i Mickiewiczowi wyższość nad Puszkiniem". Jak widzimy, Bieliński bardzo blisko podszedł do zdania Czernyszewskiego.

4) **Ibidem**, str. 251.

Czyż bowiem trzeba przypominać, że przecież Oniegin stał się klasycznym "protoplastą" "zbędnego człowieka" w rosyjskiej powieści, a nawet być może i rosyjskim życiu, — że od Tatiany zaczyna się galeria kobiet, stworzonych przez Turgieńiewa i Gonczarowa, — że z poetyckich aluzji Puszkina wyrósł u Dostojewskiego problem samozwaństwa, — że puszkiniowska "antypolska trylogia liryczna" zdeterminowała kierunek rosyjskiej myśli politycznej aż do czasów współczesnych, — że puszkiniowska poetycka interpretacja Petersburga, prawda, z Mickiewiczem i Gogolem związana, — na długie dziesięciolecia zaważadnęła wyobraźnię poetów i pisarzy rosyjskich? I to nie wszystko: dalszych przykładów można by przytoczyć nieskończenie wiele.

Natomiast zagadnienie prozy Puszkina stoi ciągle jakby na uboczu i, nie bacząc na wielką ilość prac, jakie pojawiły się na przestrzeni ostatnich trzech dziesiątków lat, nadal utrzymują się niejaki wątpliwości na temat faktycznej roli, jaką **Opowieści Bielkina**, **Kapitanówna** i inne opowiadania Puszkina odegrały w rozwoju rosyjskiej literatury w ogóle, a rosyjskiej powieści w szczególności.

Prawda, wątpliwości te istnieją głównie w szerokich kołach czytelników rosyjskich; jednakże nawet i w środowisku rosyjskich badaczy i znawców literatury można się spotkać z różnymi, często sprzecznymi punktami widzenia, — nie mówiąc już o tym, że dotychczas nie pojawiła się praca, która by podsumowała to wszystko, do czego doszli badacze w tej dziedzinie.

Z natury rzeczy nie mogę w tym wypadku wchodzić w szczególności, ograniczę się więc tylko do rzeczy najistotniejszych. Zagadnienie roli Puszkina jako poety nie wymaga wyjaśnień. Puszkini, w pierwszym rzędzie, to uwieńczenie poezji rosyjskiej XVIII stulecia, a zarazem — w najszerszym pojęciu tego słowa — synteza narodowej rosyjskiej i zachodnio-europejskiej tradycji kulturalnej. Dlatego też stał się on właśnie źródłem natchnienia dla następnych pokoleń rosyjskich poetów i pisarzy. Puszkini nie wynikał z pustki — poezja rosyjska XVIII stulecia znalazła w nim swój ostateczny wyraz. I właśnie dlatego, że Puszkini był nie tylko ostatecznym, lecz zarazem najświetniejszym, wykwintnym i pełnym wyrazem tej tradycji, — stał się on równocześnie i ojcem literatury XIX wieku.

W tym względzie wszyscy i zawsze byli zgodni; ale też tylko na gruncie poezji Puszkina. Z prozą sprawa ma się zupełnie inaczej. W tej dziedzinie Puszkini okazał się raczej świadomym i energicznym nowatorem niż kontynuatorem, a to z tej prostej przyczyny, że właściwie nie albo prawie nie było tu do kontynuowania. Tego zaś właśnie faktu jego współcześni nie pojęli.

Z rosyjskich poprzedników Puszkina w dziale prozy można

by właściwie wymienić tylko dwóch, jako zasługujących na uwagę: Radiszczewa i Karamzina. Ale Radiszczew nie był powieściopisarzem, a Karamzin faktycznie postawił dopiero pierwsze kroki w dziedzinie rosyjskiej prozy powieściowej i to go w pewnej mierze ograniczyło. (Winni być także wymienieni Bolutow i Fon-Wizin, — ci jednak wymagają specjalnych komentarzy).

Nie zamierzając w żadnym stopniu umniejszać znaczenia samych **Listów rosyjskiego podróżnika**, jak też i ich roli w wypracowywaniu rosyjskiego języka literackiego, ani wreszcie powieści Karamzina w ogóle, — wypada jednak powiedzieć, że wymagania epoki szły, i to bardzo szybko szły, o wiele dalej; literatura rosyjska czekała nie tylko na szerokie opracowanie słownictwa prozaicznego i stylu, lecz także i na organizację techniki krótkiego opowiadania, a tym bardziej powieści, nie mówiąc już o ideowej treści utworów pisanych prozą. (Z powodu braku miejsca nie mogę się tutaj wdawać w analizę roli powieści takich pisarzy — współczesnych Puszkiniowi — jak Nerieżnyj, Marliński, Bułharyn, Sękowski, Weltman, Zagoskin, Łażecznikow, Wonlarski i inni, — oni bowiem w sposób, że się tak wyrażę, prymitywny, zaspakajali potrzeby aktualne, ale większego wpływu na dalszy rozwój powieści rosyjskiej nie wywarli).

Jeżeli poezja rosyjska końca XVIII stulecia mogła myśleć o współzawodnictwie z Zachodem, to rosyjska proza nawet marzyć o tym nie miała prawa. Aby uświadomić na jakim poziomie znajdowała się proza przed Puszkiniem i jak niezgrabna była powieść owego czasu, wystarczy przytoczyć następujący przykład: "Rozsznurowując jej wierzchnią suknię, dotknąłem się drżąca i grzeszną ręką osłody życia naszego, co u kobiet obie nazywają się piersią, i w tym momencie rzeczywiście dowiedziałem się, że kobiety dla mężczyzn — to elektryczna maszyna". (Napisał to M. Czulkow, znany powieściopisarz rosyjski XVIII stulecia).⁵⁾

Na brak prozy rosyjskiej żalili się liczni współcześni Puszkiniowi pisarze: ks. Wiazemski, Marliński, Katienin, Sękowski, ks. W. Odojewski; — żalili się przede wszystkim sam Puszkini. Ale nie tylko się żalili, lecz równocześnie stawali w tej dziedzinie zupełnie określone postulaty, bardzo ściśle je formułując. Bodajże pierwsza wypowiedź Puszkina, dotycząca prozy, jest zarazem najbardziej charakterystyczna i ważka: "D'Alembert powiedział pewnego razu do Laharpe'a: Proszę nie wychwalać mi Buffona, (członek ten) pisze: 'Najszlachetniejszą ze wszystkich zdobyczy człowieka było to zwierzę, dumne, płomienne itp...' Czemuż to nie powiedzieć po prostu: koń. Laharpe'a zdumiewa suche rozumowanie filozofa. Lecz d'Alambert był bardzo mąd-

5) Patrz W. W. Sipowski: *Oczerki iz istorii ruskago romana*, Petersburg, 1909, t. I, str. 611.

rym człowiekiem i przyznając, że prawie podzielam jego zdanie. Mimochodem tylko zwrócę uwagę, że chodziło o Buffona — wielkiego malarza przyrody. Styl jego barwny, pełny — zawsze będzie wzorem prozy opisowej. Cóż zaś powiedzieć o naszych pisarzach, którzy, uważając prosty wykład o rzeczach pospolicznych za poniżający, sądzą, że ożywią dziecinną swoją prozę różnymi dopełnieniami i ospałymi przenośniami. Ludzie ci nigdy nie powiedzą przyjaźń, nie dodawszy: owo święte uczucie, którego szlachetny płomień itd. Trzeba by powiedzieć: wczesnym rankiem, — oni zaś piszą: zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniły wschodnie krańce lazurowego nieba. Jakież to wszystko nowe i świeże, ale czy dlatego lepsze, że dłuższe... Voltaire może być poczytywany za wzór rozsądnego stylu. Wyśmiał też w swoim *Micromégas* wykwiłt kunsztownych wyrażań Fontenelle'a, który mu tego nigdy nie mógł darować. Ścisłość i zwięzłość — oto pierwsze zalety prozy. Proza potrzebuje myśli i jeszcze raz myśli — bez nich najwspanialsze wyrażenia niczemu nie służą. Wiersze — to inna sprawa (zresztą i tutaj nie zawadziłoby naszym poetom mieć sumę idei o wiele większą, niż to zazwyczaj z nimi bywa. Samymi wspomnieniami o minionej młodości literatura nasza zbyt wiele nie osiągnie). Pytam: czyja proza jest najlepsza w naszej literaturze? Karamzina. Nie jest to jeszcze tak wielka pochwała..."⁶⁾

Uwagi te — tak niezwykle charakterystyczne i cenne — pochodzą z roku 1822. W roku 1823 Puszkini do Karamzina dodał ks. P. A. Wiazemskiego, jako zasługującego na pochwałę prozaika, powiedziawszy w swoim liście do niego co następuje: "...tak, na miłość Boską, o prozie nie zapominaj; ty i Karamzin jedynie nią władacie, — Glinka włada bowiem językiem uczuć..."⁷⁾ A to przecież — jak zresztą już wiemy — nie wystarcza: "proza wymaga myśli i jeszcze raz myśli". Przykazaniu temu Puszkini pozostanie wierny i w r. 1824, kiedy to będzie się żalił na brak "metafizycznego języka" we współczesnej Rosji: "Oświata naszego wieku nastęrcza wiele tematów do medytacji, stanowiących pokarm dla umysłów, które nie mogą się już kontentować świetną grą wyobraźni i harmonii, a tymczasem nauka, polityka i filozofia dotychczas jeszcze w języku rosyjskim się nie wypowiedziały".⁸⁾ I dalej powiada: "nawet w zwykłej korespondencji musimy stwarzać specjalne zwroty, dla wyrażenia pojęć najzwyklejszych".⁹⁾ Puszkini powtórzy dosłownie to samo w r. 1825.¹⁰⁾

W roku 1827, pochwaliwszy Wiazemskiego za "żywość" jego

6) Cytuję według książki: *Puszkini o literaturze*, Academia, Moskwa-Leningrad, 1934, str. 15-17.

7) *Ibidem*, str. 29.

8) *Ibidem*, str. 40.

9) *Ibidem*.

10) *Ibidem*, str. 60.

prozy, Puszkina znowu wraca do swego tematu o "myślach"; "Wiaziemski posiada rzadkie zdolności oryginalnego wypowiedzenia swoich myśli, — na szczęście myśli on, co jest dość rzadkie wśród... Szanujcie głupców".¹¹⁾

W tym samym roku 1827 czyni on jeszcze jedną tak charakterystyczną dla niego uwagę: "Posługujemy się prozą jak rytmotwórstwem: nie z życiowej konieczności, nie dla wyrażenia potrzebnej myśli, lecz po prostu dla przyjemnego wyjawienia formy".¹²⁾

W roku 1828, wciąż jeszcze obstając przy swojej zasadzie "myśli" oraz wracając do tematu "prostoty", — wysuwa temat nowy: — temat "świeżych baśni ludowych" i "dziwnej gwary" — oto bowiem rys wszelkiego "dojrzałego piśmiennictwa".¹³⁾ Dzieła angielskich poetów — powiada — ...przepojone są głębokimi uczuciami i poetycznymi myślami, wyrażonymi językiem zacnego prostego człowieka". "U nas czas taki jeszcze, chwalić Boga, nie dojrzał. Tak zwany język bogów jest dla nas jeszcze tak nowy, że nazywamy poetą każdego, kto potrafi napisać dziesięć wierszy jambicznych z rymami. Czar nagiej prostoty jest dla nas jeszcze tak niepojęty, że nawet w prozie uganiamy się za zwietrzalymi ozdobami... Nie tylko więc nie pomyśleliśmy o tym, aby styl poetycki zbliżyć do szlacheckiej prostoty, ale nawet prozie staramy się nadać pompatyczność..."¹⁴⁾

Do tego okresu odnoszą się również pierwsze próby Puszkina w dziedzinie prozy artystycznej; w dwa-trzy lata po **Murzymie Piotra Wielkiego** pojawiły się **Opowieści Bielkina**, **Historia wsi Goriuchino**, a następnie **Dubrowski**, **Dama pikowa**, **Noce egipskie** i **Kapitanówna**. W drugiej połowie swego krótkiego życia Puszkina wyraźnie i coraz bardziej skłaniał się ku prozie, którą nazwemian nazywał "skromną", "nikczemną", "surową".

Jakże więc Puszkina wypełnił swój program, jakże się odniosły do prozy Puszkina rosyjskie koła literackie i czytelnicze, jakież był wpływ tej prozy w Rosji, jakież jej oddźwięki w Rosji i w Europie Zachodniej?

Zostawmy na razie pierwsze pytanie bez odpowiedzi. Zaczynamy od pytania drugiego.

Nieliczni jedynie współcześni Puszkina od razu ocenili jego osiągnięcia. A nawet ci, którzy pozytywnie się do jego utworów, pisanych prozą, odnieśli, przyjęli je z zastrzeżeniami i tylko część osiągnięć poety uchwycili. Sękowski, niewątpliwie rozumny i wykształcony człowiek, od razu pojął znaczenie społeczno-kulturalnej barwy języka prozy puszkiniowskiej; szukał on i czekał "języka dobrego towarzystwa". "Jeśli Pan chce — pisał w swoim francuskim liście do Puszkina — w ogóle prawdziwy język rosyjski dobrego towarzystwa, wcale jeszcze nie istnieje,

11) *Ibidem*, str. 110.

12) *Ibidem*, str. 111.

13) *Ibidem*, str. 152.

14) *Ibidem*, str. 153.

ponieważ nasze damy rozmawiają po rosyjsku tylko ze służbą; lecz język ten trzeba stworzyć, — stworzyć go i zmusić te nasze damy, aby go opanowały. Ten zaszczyt (rzecz to dla mnie oczywista) przypadł Panu w udziale, Panu jednemu, Pana smakowi, Pana zadziwiającemu talentowi".¹⁵⁾ Sękowski widział w prozie Puszkina język "ogólno-rosyjski" właśnie przez Puszkina stworzony. Sękowski odnalazł ten język w **Damie pikowej**. "Język Pana wierszy — jednakowo rozumiany przez wszystkie klasy społeczne i jednakowo im się podobający — przeniósł Pan do swej prozy".¹⁶⁾ Trudno tu nie wyrazić zdziwienia, że dopiero Polak fakt ten zauważył. Sękowski ograniczył się jednakże tylko do tego, — tylko stworzenie "ogólno-rosyjskiego" języka go uderzyło. W każdym razie jedynie o tym pisze do Puszkina, podkreślając wprawdzie, że Puszkina "rozpoczyna nową całkiem prozą". Wiaziemski o wiele później, bo już po śmierci Puszkina, zachwycając się historycznym wyczuciem poety i harmonijnością jego wysłowienia (w **Murzymie Piotra Wielkiego** i **Kapitanównie**), pisał w roku 1847: "Opowiadanie cały czas żywe, lecz przemyślane i spokojne. Wydaje się, jakby Puszkina pilnował samego siebie: narzucał sobie trzeźwością jakby się siłą usunąć najmniejsze nawet podejrzenie, że używał poetyckiego najoju. Prozaik zamknął siebie w prozie na cztery spusty, aby poeta nie mógł nawet zajrzeć do niego..."¹⁷⁾ Wiaziemski podkreśla niechęć Puszkina do "efekciarstwa" i dodaje, że Puszkina "regulę tę doprowadzał być może aż do pedantyzmu".¹⁸⁾ Poza tym za najbardziej charakterystyczne cechy Puszkina Wiaziemski uważa: "jasność, przenikliwość i trzeźwość".¹⁹⁾ Puszkiniastyk znajduje u Wiaziemskiego również bardzo trafną ocenę: "Puszkina nie wciela historii w siebie i w swoją współczesność, lecz siebie przenosi w historię i w przeszłość... Historii pragmatycznej, historii politycznej, historii z podręczników szkolnych tutaj (w **Murzymie**) nie ma. Są tylko jakby mimochodem, że tak się wyrażę, — uczynione przypadkowe muśnięcia. A ileż moralnej, artystycznej prawdy w tych muśnięciach..."²⁰⁾

Nie Sękowski jednak i nie Wiaziemski zadecydowali o losie prozy Puszkiniowej wśród współczesnych poety. Los ten na długie lata określił Bieliński i Czernyszewski. Wystarczy przytoczyć tylko kilka wypowiedzi obu tych krytyków, aby cała głębia cynicznego nieporozumienia stała się oczywista.

Bieliński, odniósłszy się gburowato-negatywnie do **Opowieści Bielkina** w swojej pierwszej o nich recenzji, zachował tę niechęć

15) Por. **Ruskije pisateli XIX wieku o Puszkynie**, Leningrad, 1938, str. 143-4.

16) Nazywa **Damę pikową** — "uroczą", dodając: "Stwarza Pan coś całkiem nowego, zaczyna Pan nową epokę w literaturze, którą Pan już ozdobił w innej dziedzinie". *Ibidem*, str. 144.

17) **Ruskije pisateli XIX wieku o Puszkynie**, str. 38-9.

18) *Ibidem*, str. 37.

19) *Ibidem*, str. 35.

20) *Ibidem*, str. 35 i 37.

do końca życia, a jeszcze bardziej surowo, acz bez grubiaństw pierwszej opinii, osądził je w swoim sławnym artykule z r. 1846.

Oto, co pisał Bieliński w piśmie *Mołwa* w 1835 r.: "Mówcie, co chcecie, ale wiosna to najpiękniejsza pora roku. Dobrze to jeszcze, jeśli jesień jest urodzajna i hojna²¹⁾, jeśli opromieniają ją ostatnie, żegnające świat promienie wspaniałego słońca; ale co powiedzieć, gdy jesień jest bezpłodna, brudna i mglista. A przecież tak często się zdarza. Oto leżą przede mną **Opowieści**, wydane przez Puszkina: czy naprawdę przez Puszkina także napisane?... Prawda, opowieści te są zajmujące, czyta się je z przyjemnością; wynika to z prześlicznego stylu, z kunsztu opowiadania (conter); ależ to przecież nie dzieła sztuki, lecz po prostu bajki i bajeczki; przeczyta je z zadowoleniem, a nawet z rozkoszą rodzina, zebrana przy kominku w nudny i długi wieczór zimowy; lecz od nich nie zakipi krew płomiennego młodziana, nie zabłysną mu oczy ogniem uniesienia; nie będą trwożyć jego snu; nie, — po ich przeczytaniu można sobie pozwolić na solidną drzemkę. Niech by te opowieści były pierwszym utworem jakiegoś młodziana, — młodzieniec ten zwróciłby na siebie uwagę naszej publiczności; ale jako dzieła Puszkina... jesień, jesień — zimna, deszczowa jesień, po prześlicznej, przepysznej, aromatycznej wiosnie... Niechby na karcie tytułowej tej książki widniało imię T. Bułharyna, gotów byłbym pomyśleć: no, no, czyżby w rzeczy samej Faddiej Benediktowicz nie był geniuszem? Ale Puszkina — wola wasza, lecz przykro nawet i pomyśleć o tym"²²⁾ **Damę pikową** Bieliński uważał za "przeklamowaną" i tylko **Wystrzał** uznał za godny twórczości Puszkina.²³⁾

A oto opinia o puszkiniowskiej prozie, znajdująca się w artykule z r. 1846: pochwaliwszy **Murzyna**, powiedziawszy, że w porównaniu z nim powieści Kukolnika są "ubogie i żałosne", stwierdziwszy, że jednak "nie wielka to chluba być wyższym od pigmejów", — zaś **Murzyna** nie ma z kim więcej u nas porównać", — Bieliński przechodzi do **Opowieści Bielkina** i innych utworów Puszkina, pisanych prozą. Od razu też oznajmia, że **Opowieści** "publiczność przyjęła chłodno, a jeszcze chłodniej prasa", że acz nie można powiedzieć, że w nich absolutnie nic dobrego nie ma, to jednak opowieści te były niegodne talentu i imienia Puszkina". "Jest to coś w rodzaju opowieści Karamzina — pisał Bieliński — z tą tylko różnicą, że opowieści Karamzina w czasie, kiedy powstawały, miały wielkie znaczenie, zaś **Opowieści Bielkina** stoją poniżej wymagań współczesnej im epoki. Szczególniej godna pożałowania jest jedna z nich —

21) Wiadomo, że **Opowieści Bielkina** napisane zostały w Bolidnie, w jesieni 1830 r. — obecnie jesień tę nazywamy "złotą puszkiniowską jesienią".

22) W. G. Bieliński: **Połnoje sobranije soczinienij**, pod redakcją S. A. Wiengierowa: t. II, Petersburg, 1900, str. 60.

23) *Ibidem*, str. 60-61.

Panna dworska chłopką — nieprawdopodobna, wodewilowa, ukazująca życie obywateli ziemskich od strony idyllicznej... **Dama pikowa** — to w gruncie rzeczy nie opowieść, lecz anegdota: jak na opowieści treść **Damy pikowej** jest zbyt wyjątkowa i przypadkowa...²⁴⁾

Trochę życzliwiej odniósł się Bieliński do **Kapitanówny** i **Dubrowskiego** i to jednak z opryskliwymi zastrzeżeniami: "znikomy, bezbarwny charakter bohatera opowieści i jego ukochannej, Marii Iwanówny, oraz melodramatyczny charakter Szwabrina są jaskrawymi defektami opowiadania", — które zresztą Bieliński zgodził się, mimo to uznać za "jedno z najznakomitszych dzieł literatury rosyjskiej". W swojej wypowiedzi na temat **Dubrowskiego** Bieliński ponownie wysunął zarzut "melodramatyczności" charakteru bohatera, zapewniając, że postać ta "nie wzbudza współczucia"²⁵⁾

Powróć jeszcze do tych "nie wytrzymujących krytyki" uwag krytycznych Bielińskiego. Przedtem jednak trzeba się zatrzymać przy Czernyszewskim, który do prozy Puszkina nie mniej negatywnie się ustosunkował.

Już na samym początku swojej klasycznej pracy **Szkice o literaturze rosyjskiej okresu Gogoła**, Czernyszewski twierdzi, że "Gogol był ojcem prozy rosyjskiej, — i nie tylko ojcem, ale również tym, który szybko zapewnił prozie przewagę wobec poezji... W dziele tym Gogol nie miał ani poprzedników ani pomocników. Tylko jemu więc proza zawdzięcza swój żywot i wszelakie swoje sukcesy. Jak to nie miał Gogol poprzedników lub pomocników? Czyż można zapominać o dziełach Puszkina, pisanych prozą? Nie, nie można. Ale — przede wszystkim — nie mają one wcale tego znaczenia w historii literatury, co dzieła, pisane wierszem; **Kapitanówna** i **Dubrowski** — to opowieści w pełnym tego słowa znaczeniu znakomite; proszę mi jednak wskazać, w czym wyraził się ich wpływ? Gdzie jest ta szkoła pisarzy, których by można nazwać naśladowcami Puszkina jako prozaika?²⁶⁾

Idąc dalej w swoich rozważaniach o znaczeniu "wpływu" Gogoła, Czernyszewski wskazuje na fakt (niesłusznie zresztą), że "Gogol, jako prozaik, wyprzedził Puszkina". "Jako pierwsze z utworów Puszkina prozą (jeśli nie brać pod uwagę pomniejszych urywków) — ciągnie dalej Czernyszewski — zostały ogłoszone **Opowieści Bielkina** — w r. 1831; wszyscy się jednak zgodzą, że opowieści te nie miały większej wartości artystycznej. Następnie, przed rokiem 1836, ukazała się w druku tylko **Dama pikowa** (w r. 1834). Nikt nie wątpi, że ten niewielki utwór na-

24) W. G. Bieliński: **Izbrannyje soczinienija**, OGIZ, Moskwa, 1948, str. 523.

25) *Ibidem*.

26) M. G. Czernyszewski: **Połnoje sobranije soczinienij**, OGIZ, Moskwa, 1947, t. III, str. 16.

pisany jest prześlicznie, ale też nikt jemu nie przypisze szczególniejszego znaczenia".²⁷⁾

Czernyszewski, jak to łatwo zauważyć, w wielu punktach zgadza się z Bielińskim; w każdym razie Puszkina jako możliwy czynnik aktywnego wpływu na dalszy rozwój rosyjskiej prozy, został wykluczony. Tego rodzaju ocena prozy Puszkina, wypowiedziana w dodatku przez tak autorytatywnych rosyjskich krytyków, nie mogła nie wywrzeć swego wpływu na ówczesne orientacje literackie. Gogol na długie lata został uznany za "ojca rosyjskiej prozy".

Zarówno Bieliński jak i Czernyszewski nie mieli — rzecz jasna — racji; obaj oni nie tylko przeoczyli artystyczne zalety prozy Puszkina (słabiutkie, wymuszone pochwały istoty rzeczy nie zmieniają), ale również okazali się bardzo nieprzewidujący w innej sprawie: pomylili się w ocenie znaczenia Puszkina dla współczesnej mu powieści, a całkiem już nie przewidzieli możliwości późniejszego wpływu Puszkina na prozę rosyjską — co znalazło swój wyraz właśnie w osobach najznakomitszych jej przedstawicieli. Z braku miejsca nie mogę wchodzić w rozpatrywanie przyczyn, które tę negatywną ocenę wywołały. Powiem więc tylko, że ocena ta nie była przypadkowa; pozostawała ona w związku ze "społecznymi" postulatami, jakie Bieliński i Czernyszewski narzucali literaturze, z ich zamięłowaniem do żywiołu satyrycznego i — wreszcie — w związku z ich jednostronną, niesłuszną interpretacją twórczości Gogola.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, na co zwróciłem już uwagę, że autorytatywne sformułowania Bielińskiego i Czernyszewskiego nie przeszły bez śladu. Puszkina-prozaik długo musiał czekać w Rosji na nową ocenę. Nie mogę tu jednak zajmować się zagadnieniem, kiedy i dlaczego to przewartościowanie nastąpiło.

Obecnie zadaniem moim jest po prostu wyjaśnienie, jak dziś patrzymy na prozę Puszkina oraz — w ogólnych przynajmniej zarysach — nakreślenie granic jej wpływu na rosyjskich pisarzy drugiej połowy XIX wieku.

Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na różnorodność puszkiniowskiej twórczości literackiej w dziedzinie prozy: romans historyczny (*Murzyn Piotra Wielkiego* i *Kapitanówna*), nowela psychologiczna (*Dama pikowa*, *Noce egipskie*, *Wystrzał*), nowela obyczajowa i romans awanturyczny (*Dubrowski*), obyczajowa groteska (*Trumniarz*), szkic satyryczno-obyczajowy (*Historia wsi Goriuchino*), literacka parodia komiczna w formie opowieściowego wodewilu (*Dworska panna chłopką*), żartobliwa bajka (*Zamiec*), swawolnie-sentymentalna opowieść (*Dozorca stacyjny*), szkic biograficzny (*Kirdżali*), podróżniczy notatnik-reportaż (*Podróż do Erzerum*). Następnie podkreślić należy różnorodność tematów i treści opowiadań, subtelną grę z literacką tra-

27) *Ibidem*.

dycją i literacką oklepanką, — grę, że tak powiem, podwójną — po linii tematu i oklepanki oraz po linii udoskonalenia tradycyjnych sytuacji i chwytów. Ograniczę się do kilku tylko przykładów.

W utworze *Dworska panna chłopką* — Puszkina daje parodię, przyobleczoną w subtelną ironię kilku starodawnych tematów równocześnie: szekspirowsko-walterscotowski temat zakochanych, należących do wrogich sobie rodzin, — zachodnio-europejski (Mme Montolieu i A. Lafontaine) i karamzinowski *Biedna Liza* i *Natalia, córka bojarska*) motyw miłości arystokraty do chłopki, — motyw potajemnego ślubu (pisali o tym M. N. Sperański, Eichenbaum, Jakubowicz, Tomaszewski, Winogradow i inni). Ponadto Puszkina w sposób żartobliwy demaskuje typ byronisty przy pomocy jego równoległego pojawiania się przed "panną dworską" i przed "chłopką". Demaskowanie byronisty towarzyszy zdemaskowanie sentymentalnej "prowincjonalnej" panny dworskiej. Jako pendant do tej "duchowej" maskarady wprowadzony jest do opowiadania wodewilowy motyw przebiegania się (Beaumarchais i szczególnie Marivaux).

Nie należy również zapominać o istnieniu równoczesnej gry ze starą oklepanką rozpoznania (pojawia się ta oklepanka również i w *Zamieci* — o czym niżej). I to jeszcze nie wszystko. Puszkina całą grę komplikuje przez to, że sam siebie niejako parodiuje; tutaj już nawet bez wszelkich wyraźnych aluzji występuje oczywista łączność z *Eugeniuszem Onieginem*. Znaczną rolę w opowiadaniu odgrywają aluzje w stosunku do innych autorów (Nodier, Karamzin) i wreszcie motto z Bogdanowicza, które nader subtelnie wyjaśnia funkcję podwójnej roli bohaterki nie tylko w samym opowiadaniu, jako całości, ale i w stosunku do bohatera. (Rolę wszystkich motto w *Opowieściach Bielekina* znakomicie wyjaśnił W. Winogradow,²⁸⁾ — szczególnie zaś skuteczna jest funkcja motto w *Zamieci*, *Trumniarzu* i *Dozorcy stacyjnym* — do tego jednak jeszcze powrócę). W *Dozorcy stacyjnym* gra z wątkiem treściowym *Biednej Lizy* jest główną treścią opowiadania. Ironiczna aluzja — poprzedzająca szczęśliwe rozwiązanie przygód uwiedzionej przez "bogatego huzara" "biednej dziewczyny", "błędnej owieczki", — ukryta jest w obrazkach przedstawiających dzieje syna marnotrawnego. (Bardzo to trafnie wykazał M. O. Gierszenzon).²⁹⁾ "Błędna owieczka" została "bogatą panią", zaś dozorca stacyjny padł ofiarą nie tyle samego wydarzenia, ile purytańskiej moralności, wpojonej mu przez niemieckie obrazki, które wisiły na ścianach jego mieszkania. (Do tego, co powiedział Gierszenzon, można dodać, że nader znaczący jest fakt, iż Puszkina tak wiele uwagi udzielił owym obrazkom — zazwyczaj bowiem poeta okre-

28) W. Winogradow: *O stile Puszkina, Literaturnoje nasledstwo*, t. 16-18, Moskwa, 1934, str. 141-191.

29) *Mudrost' Puszkina*, 1919.

śla scenariusz niezmiernie krótkimi uwagami; tu zaś wszystkie cztery litografie zostały opisane szczegółowo i opis ten w krótkim opowiadaniu zajmuje stosunkowo bardzo dużo miejsca. Nie jest to, rzecz prosta, czysty przypadek. W związku z tym cały **Dozorca stacyjny** stał się rebusem, "obrazkową zagadką").

W **Zamieci**, jak chyba udało mi się wykazać³⁰⁾, Puszkina udoskonalił opracowanie trudnej i rzadkiej sytuacji — znalazł dla niej udatne rozwiązanie. Mam na myśli zastosowanie do rozłączonych małżonków chwytu "rozpoznania". Cała literacka genealogia **Zamieci** nie jest jednak tak prosta — prowadzi ona do starożytnego greckiego romansu, do greckiej i rzymskiej tragedii i komedii, poprzez Regnard'a i "płacziwą" francuską komedię XVIII stulecia, — nie mówiąc już o misternej grze Puszkina z tematem losu i przez los przeznaczonych małżonka, tematem upostaciowanym w **Zamieci**, o czym tak pociągająco opowiedział W. Winogradow.³¹⁾ Jak w **Zamieci** i **Dozorcy stacyjnym**, tak i w **Trumniarzu** motta mają decydujące znaczenie dla opowiadania i równocześnie ujawniają jego treść dodatkową, wtórną, że tak powiem.

W **Zamieci** dana jest quasi-realna ilustracja tematu **Świątłany** Zukowskiego z przeniesieniem do snu Marii Gawriłówny ponurego kolorytu zrusyfikowanej bürgerowskiej ballady. Tutaj znów ujawniło się wielkie mistrzostwo Puszkina.

W **Dozorcy stacyjnym** mamy właściwie ukrytą polemikę z ks. Wiaziemskim. W swoim wierszu pt. **Stacja** Wiaziemski przeciwstawia brudowi i nudzie rosyjskiej stacji pocztowej, — pociągające, czyste, przytulne i zajmujące stacje polskie, z ich "kurczętami, raczkami i szparagami" (ks. Wiaziemski napisał po polsku: "Kurczęta, raczki i szparagi"), z "gitarą na ścianie", z "oreżem dawnej polskiej chwały", ze "świeżymi kwiatami w oknach", z "portretami bohaterów Wilna i Krakowa w ramach", z "romansem tragicznie-przymilnym", z "foliałami Dmuszewskiego na półce", z "żoną lub córką komisarza" — "Polka — słowem tym określał sens cały, — masz tu portret, masz i madrygały" — i w końcu z podróżą do Warszawy i wszystkimi rozkoszami, jakie podróż ta obiecuje...

Puszkina swoim opowiadaniem bierze jakby w obronę nie tylko rosyjskiego dozorcę, jak na to wskazuje Winogradow, lecz i rosyjską stację pocztową w ogóle; Puszkina, jakby odpowiada Wiaziemskiemu: córka rosyjskiego dozorcę nie koniecznie ma być brzydsza lub też gorsza od córki polskiego "komisarza", zaś przygody na rosyjskiej stacji pocztowej mogą być nie mniej podniecające, niż podróż do Warszawy. Polskim sztychem patriotycznym (prawdopodobnie Kościuszki i Jasińskiego — wspom-

30) Patrz W. Lednicki: *Bits of Table Talk on Pushkin. III. The Snowstorm. The American Slavic and East European Review*, December. 1947. pp. 110-133.

31) *O stile Puszkina, Literaturnoje nasledstwo*, t. 16-18, Moskwa. 1934.

nianym m.in. później w **Panu Tadeuszu**, zarówno, jak "kurczęta, raczki i szparagi", które również do **Pana Tadeusza** przeszły)³²⁾ przeciwstawione są obrazki z dziejami syna marnotrawnego.

W **Trumniarzu**, jak to bardzo celnie zauważył Eichenbaum, mamy "grę z fabułą przy pomocy mylącego toku akcji"; rozwiązanie nawraca nas do tego samego momentu, od którego zaczęła się fabuła — i unicestwia ją, przekształcając całe opowiadanie w parodię.³³⁾ Rola motta nie mniej jest znacząca, niż w innych opowiadaniach: "kosmicznemu przerażeniu" Dzierżawina przeciwstawione zostało "zawodowe zubożenie" trumniarza. Zestawienie na pewno podszeptę przez Szekspira. Trumna dla Adriana — to kufer!

Sądzę, że wystarczy tych przykładów aby wykazać, że **Opowieści Bielkina** są czysto literacką igraszką. Jest to swego rodzaju literacka gra w szachy, abstrakcyjna, że tak powiem, spekulacja, obliczona na literacką "gastronomię". W tym jednak właśnie kryje się istota prawdziwych literackich usiłowań Puszkina, — usiłowań na pewno wyższego rzędu, gdyż one same w sobie dowodzą artystycznej wyższości Puszkina. Z tej właśnie wyższości one wynikają. Usiłowania te i zamierzenia, samą swoją istotą wskazują również, jak wysoko mierzyła sztuka Puszkina. Fakt, że Puszkina mógł sobie pozwolić na taką świadomą grę z literackimi tradycjami i literacką techniką, jest sam w sobie bardzo znamieny. Ta całkiem świadoma gra literackimi szablonami, często przybierająca charakter literackiej parodii, możliwa zresztą pod warunkiem saturacji popularnymi formami i chwytami — dostępna jest tylko dojrzałemu mistrzowi, w żadnym zaś razie nie nowicjuszowi. Ze wszystkiego, co powiedziano wyżej, wynika, że w **Opowieściach Bielkina** "ideowe" podejście nie stanowi ich głównego elementu. Jeśli się ono w nich znajduje, to w każdym razie nie należy go szukać tam, gdzie szukał Bieliński. Dlatego też Bieliński okrutnie się mylił, gdy w utworze **Panna dworska chłopką** dopatrywał się idealizowania życia dworu wiejskiego. Puszkina nikogo tutaj nie bronił — po prostu bawił się, wirtuozował. Tego zupełnie nie pojął Bieliński. W tym sensie typowy również jest i Dostojewski ze swoim Makarem Diewuszkinem i jego zachwytem dla **Dozorcy stacyjnego**, którego przeciwstawia gogolowskiemu **Szynelowi**. Wszystko to razem wzięte jest oczywiście swoistym daltinizmem literackim, całkiem zresztą usprawiedliwionym.

Inaczej przedstawia się sprawa z **Wystrzałem**. Tę opowieść Bieliński uznał jednakże za godną Puszkina. Cóż zresztą prostszego — Bieliński pierwszy przecież wydał najbardziej istotny sąd o **Mozarcie i Salierim**, przeoczyć więc **Wystrzału** nie mógł. Żałować jedynie należy, że nie wyjaśnił, dlaczego mu się **Wystrzał** podobał.

32) Księga pierwsza i Księga piąta. O wierszu ks. Wiaziemskiego — patrz W. Lednicki: *Przyjaciele Moskale*, Kraków, 1935.

33) *Dom Litieratorow: Puszkina-Dostojewski*, Petersburg, 1921 str. 91.

Wystrzał, jak to trzydzieści lat temu świetnie wykazał Iskoc (Dolinin), związany jest z całą serią utworów, w których nieustannie występuje przeciwstawienie dwóch typów ludzkich (Borys Godunow — Samozwaniec, Salieri — Mozart, Rycerz skąpiec — Albert), swobodnej i nieswobodnej indywidualności, władcy z urodzenia i władcy z urojenia, tego, który panuje nad władzą, jest jej panem, i tego, który jej służy jak niewolnik, — przeciwstawienie bezpośredniej woli i aktywności — ostrożnemu wyrachowaniu, autorytetu i służalczości, uzurpacji i przewodniczenia. ...Prowadzi to wprost do tematu racjonalizmu i irracjonalizmu (dla uproszczenia korzystam z tych niepuszkinowskich terminów), a także do tematu samozwaństwa, do problemu psychologicznej istoty samozwaństwa (w **Borysie Godunowie**) — samozwaniec historyczny nie jest samozwańcem psychologicznym — jest to udziałem Borysa.

Silvio — tutaj nie zgadzam się z Eichenbaumem³⁴⁾ — nie jest bynajmniej drugorzędną postacią w opowiadaniu — i właśnie ważność kontrastu między Silvio i młodą hrabią pojął akurat Dostojewski, gdy pod przykrywką umyślnej parodii, do granic najdalszych rozwinął w swych **Notatkach z piwnicy** głębokie filozoficzno-psychologiczne aluzje, które odgadł w **Wystrzale**.³⁵⁾

To samo należy powiedzieć o **Damie pikowej**. Ta "anegdota" jest niezmiernie bogata w treść i to zarówno jako opowiadanie psychologiczne o "zaczarowanym przez ideę", jak i opowiadanie społeczno-historyczne o typie "napoleonidy" (Stendhal — Dostojewski).

Nic zaś gorszego nie mógł powiedzieć Bieliński, niż to, co powiedział o Griniewie, Maszi i Szwabrinie — szczególnie o Griniewie. Szwabrin wzięty jest z życia (choć ks. W. F. Odojewski również znajdował go "moralnie—fantastycznym"), wyrósł z historycznych faktów i dokumentów. Masza, acz wykazuje literackie pokrewieństwo z bohaterkami Walter-Scotta — jest rodzoną siostrą Tatiany, "nastrojoną" przez Puszkina na nutę wiersza: "Kochałem cię, miłość moja być może jeszcze..."³⁶⁾ Lecz zostawmy ich na stronie. Griniew w pewnym sensie jest ważniejszy. On bowiem — jeśli tak można powiedzieć — jest najlepszym, niezastąpionym chwytem Puszkina-historyka. System "Ich-Erzählung" okazał w danym razie usługi nieocenione, właśnie w związku z całkowitą przeciętnością osobowości narratora. Tutaj kryje się polityczna strategia Puszkina. Dzięki "nicości" Piotra Andriejewicza Griniewa — dzięki jego "przeciętności" — udało się Puszkiniowi stworzyć iluzję wierności jego historycznego zobrazowania. Dzięki Griniewowi "wojna i pokój" są w opowieści takimi, jakimi one były dla wszystkich

34) *Ibidem*, str. 190.

35) Pracuję obecnie nad wykazaniem związku pomiędzy **Wystrzałem**, **Dziennikiem zbędnego człowieka** a **Notatkami z piwnicy**.

36) Kiedyś zauważył to M. L. Hofman.

w epoce, odtwarzanej przez Puszkina, — nie zaś "wojną i pokojem" w rozumieniu Lwa Mikołajewicza Tołstoja (swoim czaście subtelnie to zauważył Leontjew).

Dzięki Griniewowi Puszkini mógł swobodnie narysować wizerunek Pugaczewa i "nie odpowiadać" za to przed Mikołajem I, który nie uważał za możliwe dopatrywać się w Pugaczewie postaci historycznej.³⁷⁾ Dzięki Griniewowi Puszkini mógł uczynić przekonywującym i prawdziwym swój obraz życia Rosjan owego czasu; oglądał ich przez własne ich oczy — oni zaś widzieli tylko to, co widzieli sami lub co słyszeli od takich ludzi, jak oni — ponadto nie więcej widzieli. To, tylko to widział i wiedział Griniew, i on właśnie to tylko opowiedział, nie wdając się w żadne mędrkowania. Przecież nie Bielińskim miał go Puszkini zrobić.

Puszkini całkiem świadomie użył w danym wypadku tego chwytu. Teoretyczne jego wypowiedzi na ten temat fakt ten potwierdzają.

"Główny powab romansów Walter Scotta — pisał Puszkini w r. 1830 — polega na tym, że zaznajamiamy się z przeszłością nie z enflure francuskich tragedii, nie z wymuszoności romansów uczuciowych, nie z dignité historii, ale ówczesnie, sposobem domowym... *ce qui nous charme dans le roman historique — c'est que ce qui est historique est absolument ce que nous voyons* — Szekspir, Goethe, Walter Scott nie mają lokajskich pasji do królów i bohaterów..."³⁸⁾ Porównawszy "naśladowców" ze "szkockim czarodziejem", Puszkini powiada: "na podobieństwo ucznia Agryppy, wywołali oni demona starych dziejów, nie potrafili jednak nim rządzić i padli ofiarą swego zuchwalstwa. Do czasów, w jakie pragną przenieść czytelnika, przeprowadzają się sami z ciężkim bagażem domowych nawyków, przesądów i wrażeń codziennych. Pod beretem ozdobionym piórami, poznajecie głowę, uczesaną przez waszego fryzjera; spod koronkowej kryzy à la Henry IV wygląda nakrochmalony kołnierzyk współczesnego dandysa. Gotyckie bohaterki wychowane są u Madame Campan, zaś mężowie stanu XVI stulecia czytają *Times'a* i *Journal des Débats*. Ileż niewłaściwości, niepotrzebnych szczegółików, ważnych zaniedbań. Ileż wyszukania. A ponad wszystko, jak mało życia..."³⁹⁾

Pisząc o **Wojnie i Pokoju**, Turgeniew i Leontjew w istocie powtórzyli (a może to był tylko przypadkowy zbieg okoliczności) wiele z tych świetnych myśli puszkiniowskich. (Mimoходом zwróć uwagę na to, że — jak to zresztą nie raz pisałem —

37) Jak wiadomo, Puszkini był zmuszony na żądanie Mikołaja I, zmienić tytuł **Historia Pugaczewa** na **Historia buntu pugaczewskiego**.

38) **Pełnoje sobranije soczinenij**, pod redakcją M. A. Ciawłowskiego, *Academia*, 1936, t. V, str. 276, 1830 r.

39) *Ibidem*, str. 36.

Wojna i Pokój jest romansiem intencjonalnie antyhistorycznym i już oczywiście w żadnym razie nie pozbawionym życia).⁴⁰⁾

W Puszkynie — jako pisarzu historycznym a także jako pisarzu obyczajowym — z zagadnieniem "ewokacji" przeszłości ściśle łączy się zagadnienie historycznej i obyczajowej stylizacji; najlepsze, świetne wprost tego przykłady mamy w **Historii wsi Goriuchino**, w **Dubrowskim**, w urywku **Cezar podróżował...**, w **Murzynie Piotra Wielkiego** i **Rosławlewie**.

W swej prozie Puszkין całkowicie zrealizował własny swój program (o ile pozwoliło mu to uczynić tak wcześniej przerwane życie) i tym wielkie usługi rosyjskiej literaturze oddał. Tu przede wszystkim należy podkreślić prześliczną architektonikę, kompozycję jego opowieści, precyzyjność i logiczność konstrukcji. Nie mniej charakterystyczna jest potężna władza fabuły; działa ona nie tylko natychmiastowo i bezapelacyjnie, lecz zarazem sprężyste i swobodnie, mimo, że skrepowana jest mocno przez treść — przez pomyślany temat. Wszystkie postacie podporządkowane są tej władzy. Prawda, łatwo jest to osiągnąć w utworach apsycho logicznych, w czysto awanturnych romansach i nowelach, jak **Zamięć** lub **Dworska panna chłopką**, gdzie autor nie jest zmuszony szczególnie się liczyć z możliwym brakiem przysposobienia psychologicznego postaci do narzuconego jej działania lub sytuacji. Jednakże nawet i tu niezbędne "minimum psychologicznych możliwości" do wypełnienia nakreślonej roli jest zawsze obecne. Na tym właśnie polega jeden z głównych elementów harmonii całości.

W utworach o bogatej treści psychologicznej (**Dama pikowa**, **Wystrzał**) psychologia postaci solidarnie współdziała z fabułą i nigdy nie naruszając ani psychologicznego, ani obyczajowego prawdopodobieństwa. Tu właśnie możemy zaobserwować prawdziwie swobodną współpracę — o żadnym wymuszeniu nie może być mowy. Poza tym — zadziwiające tempo akcji. w **Kapitanównie**, zgodnie z trafną uwagą ks. Mirskiego, fabuła rozwija się jak napięta sprężyna. Akcja działa od początku do końca bez żadnych przystanków; Puszkין unika prawie całkowicie tzw. motywów statycznych — wszystkie są dynamiczne.

Jakże przy tym nie zachwycać się dawno już zanotowaną w literaturze krytycznej — rosyjskiej i zagranicznej — zadziwiającą wprost ekonomią środków obrazowania. Opowiadanie Puszkina jest na kształt szyfrowanej depechy, w której każdy znak, każda sylaba dużo mówi i wiele jest warta.

Prostota stylu — ascetyczna prostota z równoczesnym chemicznym wprost nasyceniem treścią. Żadnych ornamentacji, zbędnych epitetów, metafor, porównań. Żadnego liryzmu, deklamacji, krasomówstwa, emocjonalnego napięcia. Żadnej roz-

40) Patrz W. Lednicki: *Quelques aspects du nationalisme et du christianisme chez Tolstoj*, Cracovie-Paris, 1935 i mój artykuł *Tolstoj through american eyes*, *The Slavonic and East European Review*, London, 1947.

lewności. Zresztą — wszystko to już dawno wiadome.

Zdania krótkie, prawie wszystkie są zdaniami głównymi, zbudowanymi w rosyjskim naturalnym i logicznym porządku: podmiot, dopełnienie i orzeczenie. Czasownik i rzeczownik — główne składowe części zdania. Przymiotnik i imiesłów pojawiają się tylko tam, gdzie — żeby tak powiedzieć — trzeba zanotować ruch, przejścia i zmiany — zmiany obrazów i nastrojów. Wszystko to jednak zawsze związane z obiektem obserwowanym i nigdy nie wynika jako "autorska liryczna emocja" lub gra z dźwiękami i wyrazami, jak np. w wypadku Gogoła.

W tym względzie był Puszkין niewątpliwie uczniem Francuzów XVIII wieku, a być może i Szekspira. Voltaire pisał w tym samym duchu — proszę porównać np. **Candide'a** (a również napisanego w tym samym stylu, acz wierszem, podszeptanego przez Voltaire'a, byronowskiego **Don-Juana**). O Szekspirze zaś Puszkין sam powiedział: "Scena ducha w **Hamlecie** napisana jest żartobliwym, a nawet niskim stylem, a jednak włosy stają na głowie od hamletowskich żartów".⁴¹⁾

Znamienne jest, że chociaż Puszkין uważał (w tym sensie wypowiedział się w r. 1825), iż "romantyczne przejścia" "chryznych powieści" (tak charakteryzował prozę Marlińskiego) "dobre są dla poematu byronicznego, powieść zaś wymaga gadulstwa"⁴²⁾ — "weź no się do powieści (pisał do Bestużewa w innym liście z tego samego roku) i pisz ją z całą swobodą, rozmowy lub listu, — inaczej styl będzie ciągle wpadał w coś à la Kotzebue,⁴³⁾ — do swoich własnych powieści "gadulstwa" nie wprowadził.

Wreszcie — "ideowa" treść prozy Puszkina okazała się niezwykle bogata. Przykazanie "proza wymaga myśli i jeszcze raz myśli" Puszkין realizował bez reszty. Nie "psychologizował" swej prozy — on ją "ulogiczniał", nasycając ją "ideową" nie zaś emocjonalną treścią.

W tym właśnie kryje się istota reformy, dokonanej przez Puszkina: "gadulstwo" zastąpione zostało przez "myśli i raz jeszcze przez myśli". Przykazanie to nie zawiodło ani Puszkina, ani literatury rosyjskiej.

Wypełnienie zaś w praktyce tego przykazania przez samego Puszkina koniec końcem nie przeszło bez echa — do prozy Puszkina literatura rosyjska nawróciła, mimo że nie od razu zdała sobie z tego sprawę.

Wacław LEDNICKI.

(Dokończenie w następnym numerze)

41) Puszkין o literaturze, str. 153.

42) *Ibidem*, str. 77.

43) *Ibidem*, str. 89.

Uwagi o formie artystycznej Conrada

Conrad — postać renesansowa

Styl to człowiek, ale z pewnością także na odwrót: człowiek to styl. Nie ma wyraźnego stylu bez wybitnej indywidualności. Dlatego w tej garści uwag o stylu Conrada — stylu pojętym oczywiście najbardziej szeroko, jako swoistej formie tak pojedynczych zdań jak i całych utworów — zacznę od zwrócenia uwagi na parę cech psychicznych Conrada, które w szczególności wpłynęły na ukształtowanie się jego postawy twórczej.

Krytycy mieli od samego początku kłopot z zakwalifikowaniem Conrada: narrator przygód czy historyk duszy, pisarz egzotyczny czy obyczajowy? Sam Conrad zrywał się nieraz, gdy zacieśniano go określeniem pisarza-marynisty. Trzeba istotnie daltonizmu artystycznego, by mieścić Conrada w jakiegokolwiek szufladce. Ten pęd do klasyfikacji można jednak zrozumieć. Cechą znamioną dzisiejszych czasów jest postępujące różnicowanie, zarówno wiedzy jak i sztuki. Wobec narastającego ogromu zjawisk i wnikania coraz szczegółowiej w ich podłoże, umysł ludzki musi z konieczności zrezygnować z objęcia rozszerzanych wciąż widnokęgów i poświęcić się badaniu, czy przedstawianiu jakiejś tylko ograniczonej dziedziny. Na takiej specjalizacji zyskuje się wiele, ale traci coś bardzo istotnego: widzenie całości i związków szczegółu z całością — bez czego niepodobna dobrze zrozumieć szczegółu. Specjalizacja to wielki triumf, ale na pewno także wielki dramat dzisiejszych czasów.

To samo zjawisko dostrzegamy w dziedzinie powieściopisarstwa. Matką tego rodzaju była powieść awanturyczna, ale odziedzenie się powieści psychologicznej i obyczajowej od wspólnego pnia nastąpiło bardzo dawno — jeszcze w XVIII-ym stuleciu. Próżno byłoby jednak u Conrada szukać oznak takiego podziału. Zainteresowanie wnętrzem człowieka przeważa wprawdzie u niego, ale niemniej ciągnie go przepych egzotycznego tła, albo dzieje porywających przygód. Najwięcej psychologicznych wątków znajdujemy w utworach pierwszego okresu twórczego Conrada, powiedzmy do "Nostroma" włącznie; później wybi-

ja się na pierwszy plan raczej narracja dramatów uczuciowych i porywających zdarzeń, jak gdyby urok przygód za młodu przeżytych mocniej czarował z oddali, a równocześnie wygasła wiara, że warto szukać prawdy o człowieku. Ale od początku do końca pozostaje Conrad wielkim przedstawicielem połączenia w powieści pierwiastków awanturycznego i psychologicznego, fabuły i analizy.

To jednak nie wszystko. W liście do amerykańskiego wydawcy Kane'a, który prosi Conrada o podanie swoich doświadczeń pisarskich dla użytku "braci po piórze", Conrad odpowiada, iż mógłby wskazać jedynie na "kilka ogólnych nakazów moralnych". Obawiam się, że większość braci po piórze nie zrozumiała, o co autorowi listu chodzi lub wzruszyła lekceważąc ramionami. Sztuka i aspekty moralne — w pojęciu rówieśników wielkiego pisarza — dawno wzięły rozbrat. Tymczasem atmosfera moralna (atmosfera — nie tendencje!) przenika jak powietrze całą twórczość Conrada. I nie przeciwstawia się ona wcale jak też nie osłabia ani mocy artyzmu, ani bystrości psychologicznego spojrzenia — przeciwnie, pogłębia je. Rodzi się bowiem z odmiennej, niż u ogółu współczesnych, struktury duszy.

Moralista, psycholog i powieściopisarz przygód — to już niemiernie rzadkie połączenie w zróżnicowanej twórczości XIX-go stulecia. U Conrada widzimy uniwersalizm zaiste nie naszych czasów, jakąś renesansową wielość i pełnię pierwiastków duchowych, przywodzącą na myśl Rabelais'a czy Cervantes'a, którzy w jednym dziele potrafili być równocześnie bazarzami, humorystami, moralistami i Bóg wie czym jeszcze. Jakkolwiek tym, co różni geniusz od talentu, bywa często jego uniwersalizm — nie chcę zadowolić się tu okólnikiem o tajemnicy geniuszu. Wskażę natomiast na dwa uchwytnie czynniki takiej postawy duchowej: Conrad może dużo zawdzięczać temu, że wyszedł z narodu młodego i świeższego psychicznie od starzejących się narodów zachodniej Europy. Ważną rolę musiał także odegrać surowy zawód marynarza i otoczenie ludzi prostych, w ciągu dwudziestu najbardziej chłonnych lat jego życia. Te początki pozwoliły Conradowi zachować wszechstronność i nierozszczepienie natury pierwotnej — chociaż później wznosił się na szczyty różnicowania i wyrafinowania swych czasów. I zapewne dzięki tej antycznej świeżości duszy, wciąż jeszcze nęci go i bawi zarówno przygoda jak wnętrze duszy ludzkiej, zaś w ocenie uczynków ludzkich służy mu jako drogowskaz prosty osąd moralny. Conrad to na prawdę cały człowiek, nie wykolejony jeszcze, ani rozwinęty jednostronnie przez rozproszkowaną cywilizację naszych czasów.

W tym jego niezwykłość jako człowieka i pisarza, jego siła przyciągania i wiązania na stałe wyznawców, i jego nadrzędne prawo do przewodnictwa. Tu także w dużym stopniu powód tej odrębności i wprost jedyności artystycznej, która pobudziła je-

dnego z angielskich krytyków do żalnego stwierdzenia, że — Conrad nie stworzył szkoły.

Wtajemniczenie w Conrada

Styl Conrada pojęty jako całość (nie myślę oczywiście o tych wielu poszczególnych ustępach, których wspaniałość przemawia bezpośrednio i od razu do każdego) wymaga, bardziej może niż styl innych autorów, pewnego wtajemniczenia. Wyjaśniam o co mi chodzi:

Wiadoma to rzecz, że o wrażeniu z dzieła sztuki decydują zarówno jego "obiektywne wartości", jak i nasz osobisty do niego stosunek: a zatem nastrój chwili w której wrażenie odbieramy, a także to czy dzieło odpowiada nam osobiście, czy zbiega się, z naszymi potrzebami uczuciowymi lub umysłowymi. Mniej uświadamiane, choć nieraz doświadczone bywa w wrażeniu estetycznym coś, co leży na pograniczu czynników subiektywnych i obiektywnych. Mam na myśli wiarę w pisarza, odpowiednie nastawienie i wniknięcie w jego twórczość, które jest ważnym czynnikiem wrażenia. Każdy tego doświadczył, że wiele utworów zaczyna się podobać i nawet nabiera jasności, gdy czytamy je na ciepło, pod wpływem jakiejś dodatniej sugestii albo własnego rozmówienia w pisarzu. Takie nastawienie oświetla dopiero w odpowiedni sposób i nadaje właściwego smaku temu, co mogłoby się na pierwszy rzut oka wydać niejasne, pretensjonalne lub przestarzałe. Nastawienie to trafnie można by nazwać wtajemniczeniem. Niewtajemniczonemu rzeczy pełne ukrytego znaczenia wydają się całkiem zwyczajne i bez znaczenia.

Najbardziej może typowym przykładem potrzeby uprzedniego nastawienia są utwory Conrada. Ten natchniony i pogardliwy pisarz może się często wydawać z początku przesadnym i zgrzytliwym, póki przez dalsze wczytanie nie wnikniemy w istotę i nie odczujemy jego prawa do pogardy i wzniosłości.

Osobiście przechodziłem długo, bodajże przez kilka lat, moje wtajemniczenie w Conrada. Pamiętam, że w pierwszym okresie doznawałem często wrażenie iż Conrad w swoim stylu sili się — na niszczący humor, który wcale mnie nie bawił, na głębie spozrzeżeń, które wydawały mi się głoszonymi z powagą komunałami, na urok niedbalstwa, w którym wyczuwałem przymus.

Zdarza się oczywiście, że Conrad z pewnym wysiłkiem wchodzi w tok opowiadania. Pisarz sam przyznaje się do wielkich oporów twórczych; nie zawsze łatwo mu rozplątać i nieraz, zwłaszcza w początkach, utyka. Jest także inny czynnik, który może nas łudzić. Myślę, że pewna doza rozwlekłości czy pospolitości bywa w utworach Conrada umyślna — zwłaszcza tam, gdzie pisarz przemawia ustami przybranych narratorów. Pisarz jak gdyby celowo obciążał lot swoich myśli gliną ziemi, by ton gawędy wydał się bardziej prawdopodobny i ludzki. Przyznać muszę, że właśnie ten powszedni ton brzmi często u Conrada

niedość naturalnie i prawdopodobnie. Nie wydaje się to jego właściwą dziedziną.

Dziś mi te drobne uchybienia, od których nikt z wielkich nie bywa wolny, nie tylko nie przeszkadzają — ale nie widzę ich prawie. Wtajemniczenie nastąpiło i nieobjęta wielkość Conrada nadaje nawet tym chybionym krokom sens swoisty. Dodam, że utworem, który mi otworzył oczy na właściwego Conrada, był "Nostramo".

Rzeczywistość Conrada

Co przy czytaniu Conrada najbardziej może uderza, to wyjątkowa, wprost niesamowita, wyrazistość jego opisów. Po wielu latach pamięta się sceny przez niego narysowane, z wszystkimi szczegółami — jak gdyby przeżyło je się osobiście. I nieraz chciałoby się, zwłaszcza w początkach, wykrzyknąć: cóż za genialne wyczucie rzeczywistości! Im lepiej jednak poznajemy Conrada, tym częściej doznawać musimy wrażenia, że wyrazistość jego obrazowania rodzi się nie tyle z tęgiego wyczucia rzeczywistości czy wagi życia, ile — wręcz przeciwnie — z jakiejś niewiary w widzialną rzeczywistość, niewiary którą trzeba zastąpić i przemóc dokładnością opisu. Dokładność tę czerpie Conrad z nieobjętej wprost znajomości życia, a kieruje nim uparta wierność jego prawdzie. Pisarz z jakąś nieznużoną, stale czujną, chwilami aż nużącą precyzją, przedstawia wszystkie momenty akcji, od najważniejszych aż do najbardziej poślednich — jak na filmach puszczonej a u r a l e n t i. Jest to jednak raczej wierność z wewnętrznego nakazu, niż z przywiązania, z istotnych związków z rzeczywistością. Przypomina się Flaubert, wielki realista, który również, wbrew pozorom, nie posiadał zmysłu rzeczywistości, a był tylko fanatycznie wierny znieprawionej prawdzie życia; zdradzał ją zresztą zawsze z rozkoszą na rzecz wspaniałych barw i dostojnego patosu (Salammbô). Wyczucie rzeczywistości we właściwym tego słowa znaczeniu zmysłowe, bezpośrednie a równocześnie intuicyjne znajdujemy u Balzaca, Maupassanta, czy pisarzy rosyjskich.

Conrad sam mówi niejednokrotnie o "romantycznym poczuciu rzeczywistości", tj. rzeczywistości nie tylko widzianej, ale i kształtowanej przez własną wyobraźnię i uczucie. Takie też ujęcie rzeczywistości przemycą Conrad do swojej sztuki. Nadaje on życiu zawsze więcej wymowy, wyrazistości, znaczenia, aniżeli spostrzega się w nim zwykłymi oczyma.

Ale w tym Conradowskim romantycznym poczuciu rzeczywistości kryje się jeszcze inny sens — choć ukryty głęboko i nieśmiały: że może tą drogą właśnie dociera się do istotnej prawdy o życiu poprzez kłamliwość i ułudy powierzchni — że tam jest dopiero — o ile jest w ogóle — prawdziwa rzeczywistość. I jeżeli powiedziałem przedtem, że w pasji rzeczywistości, tak typowej dla Conrada, wyczuwam jakby wysiłek utrwalenia zwiewnej ułudy — to nie powiedziałem wszystkiego. Jest w tej

pasji także chęć uchwycenia czegoś poza złudą rzeczywistości, wykreślenia linii prawdziwych, wyrażenia znaczeń tkwiących pod powierzchnią. Pisarz jak gdyby rył się mocnymi kresami w głąb widzialnej rzeczywistości, poszukując jej istotnego sensu, tego z czego ona wyrasta, czym ona jest. Oczywiście, że rzeczywistość w ten sposób oglądana traci znowu potrosze swoją realność, stając się symbolem czy wyrazem głębszych ujęć.

Nie łatwo będzie w poglądach wyrażanych przez samego Conrada — z reguły pesymistycznych — znaleźć uzasadnienie tego ukrytego oblicza jego wizji życia. Ale prawdy utajonej w duszy pisarza należy poszukiwać przede wszystkim w sztuce, którą tworzy. Jest przy tym różnica w nastawieniu wcześniejszego i późniejszego okresu Conradowskiej twórczości. Pierwszy, to okres upartego doszukiwania się prawdy, drugi — raczej rezygnacji i już tylko zabawy wstrząsającym widowiskiem życia, jakkolwiek do końca oba te piewiastki przeplatają się z sobą.

Z powyższym wiąże się wrażenie, jakie mi się zawsze uparcie narzuca, że rzeczywistość Conradowska, pomimo całej wierności życiu, jest jakby ucharakteryzowana, podrysowana mocniej, podkreślona w pewnych charakterystycznych rysach. Trochę szminki, a zwłaszcza węgla. Doprowadza to aż do wyrażenia pewnej typowości czy posągowości niektórych Conradowskich postaci — tym bardziej, że Conrad często uwyrażnia je przez jakieś klasyczne, powtarzane niby refren, porównanie. O klasycznych upodobaniach pisarza będę jeszcze mówić.

Na szczęście ta typowość i usztywnienie rysów u niektórych bohaterów Conrada (Sybilla z "Korsarza", Falk — "Centaur", Jörgensen z "Ocalenia" — "duch, który się zablakał w życie") ogranicza się przeważnie do rysów widzianych, zewnętrznych, gdy wnętrza pozostają żywe i ruchome. Postacie te mają nawet jakiś swoisty urok mieszańców charakteru z typem.

Idę dalej. Myślę, że można nawet zaryzykować ujęcie: widowiskowość, teatralność sztuki Conrada; ten pęd do charakteryzacji, wyrazistość postaci i konfliktów, pociąg do dramatycznego prowadzenia akcji. Zresztą Conradowi życie przedstawia się nieraz jako sceneria i teatr. W "Wspomnieniach osobistych" pisarz wyraża przypuszczenie, że jedyny sens bytu — to być widowiskiem.

Ale tak widziane życie znowu przestaje być czymś realnym. I to wyczuwa się u Conrada stale. Cała jego tak przeraźliwie widzialna rzeczywistość ma w sobie zawsze jakiś odcień niereczywistości, ułudy, poza którą dopiero — oby — da się może odnaleźć twarde dno.

Wspomniałem już że porównania z mitologią klasyczną odgrywają w sztuce Conrada wybitną rolę. Wyczuwa się w tym znowu owo Conradowskie pragnienie nadania rzeczywistości mocniejszego wyrazu i głębszego znaczenia, przez związanie jej ze światem wielkich symbolów. Wspaniałość i potęga tego świata wyraźnie czarują wyobraźnię Conrada; umie on też ze zdu-

miewającym artyzmem korzystać z ustalonego znaczenia i doskonałej wyrazistości symbolów mitologicznych — by stapiając je z postaciami własnych utworów uwyraźnić te postacie i wyjaśnić ich rolę. Jest to aliaż swoiście Conradowski i trzeba przyznać, że uroczy. W ten sposób Conrad staje się twórcą jakiejś współczesnej mitologii, rodzicem nowych mitów.

Na zakończenie tych uwag o Conradowskim widzeniu i przedstawianiu świata warto zaznaczyć, że nastawienie wyobraźni i uczuć Conrada wyraźnie z latami się zmienia, przechodzi, — że tak określe — ewolucję, od widziadłowości do posągowości. Zrazu jego spojrzenie na świat ulega potężnym wpływom nastroju, przemocy uczuć, tak że kształty świata bywają często wręcz niesamowite, groteskowe, to groźne, mienia się i dwoją w oczach, jak przez szkła zniekształcające, posiadają przeraźliwą wyrazistość — ale widziadeł ("Wykolejencie", "Karain", "Jądro ciemności", choć z drugiej strony mamy trzeźwego "Murrzyna z załogi Narcyza" — boć wszelkie podziały są tylko uproszczeniem). Później (powiedzmy od "Nostroma") świat utworów Conrada ścina się w kształty twarde i określone, utrwalone raz na zawsze w tworzącym oku, o bryłowatości posągu ("Złota strzała", "Korsarz"). Można by także powiedzieć, że wczesna wizja świata jest u Conrada podobna do snu, a często do koszmaru, gdy późniejsza robi wrażenie świetnie skonstruowanego i przemyślanego obrazu. Pierwszą zrodziła przemoc uczuć, gdy drugą raczej zaduma i zainteresowanie widowiskową stroną życia. W obu jednak okresach Conrad jest nie tyle widzem, co wizjonerem, nad obydwojma panuje ta sama potęga wyobraźni, która przetwarza rzeczywistość na swój własny, pozarzezowy twór. Gdy się jednak dłużej przebywa z Conradem nabiera się niezbitego przekonania, że taka właśnie jest prawda życia. I na tym polega wielki triumf jego sztuki.

Patos Conradowski

W "Zwierciadle morza" przejawia się najwybitniej, do jakiego stopnia Conrad jest pisarzem patetycznym. Z utworu tego widać, że Conrad lubi nie tylko rysy świata i ludzi rysować zawsze nieco wyraziściej niż się one ukazują w rzeczywistości (o czym już wspominałem), ale że nadaje on również uczuciom ton i wyraz nieco mocniejszy, aniżeli mają go w życiu (a to jest właśnie patos). Trwoga bywa u niego "przerażająca", a każdy żywił zaraz "duszą świata".

Jestem przekonany, że jednym z ważnych czynników, który zdobył Conradowi powodzenie w literaturze, to ów szlachetny patos. Patosu prawdziwie cennego — szczerego i równocześnie umiarkowanego, nie spotyka się często — i najobrzydliwsze nadużycia bywają popełniane właśnie w tej dziedzinie sztuki. Cóż może być przykrzejszego, jak patos fałszywy, a choćby tylko przesadny; jak szybko np. zaczyna razić patos, wielkiego zresztą artysty, Victora Hugo.

Polska, uczuciowa natura Conrada, opanowana szkołą angielskiej flegmy i poddana kontroli jasnego umysłu, znalazła sobie tę "złotą" drogę zrównoważonego patosu, który tak musiał zaskoczyć i zarazem oczarować angielskich czytelników.

Warto tu zaznaczyć, że patos swój — jak w ogóle styl angielski niecodzienny, niewiktoriański — Conrad zawdzięcza na pewno także Szekspirowi, wspaniałemu mistrzowi elokwencji i patosu. Przecież na Szekspirze Conrad uczył się angielskiego języka.

Co czyni patos Conrada trafnym i znośnym, to nie tylko umiar wewnętrzny, ale i niezwykle szczęśliwe związanie z ostrym obrazem rzeczywistości oraz ze swoistym humorem, który, w najbardziej niespodziewanym momencie, przywraca równowagę nadmiernemu przechyleniu się w patetyczną przesadę.

Droga patosu jest chodzeniem po linii nad przepaścią. Jeżeli Conrad kroczy to tej linii, niezawodną stopą, to: 1) Dzięki prawdzie i głębi uczucia, które wyraża; można by określić, że patos Conrada ma pokrycie; u dna patetycznych zwrotów wy czuwa się zawsze szczerłość uczucia. 2) Dzięki własnemu, niepodległemu żadnym kanonom ani nakazom stosunkowi do sztuki, który pozwala Conradowi iść swobodnie i niemylnie za intuicją artystyczną — a zaiste tylko intuicją wielkiego artysty może na tych karkołomnych szlakach znaleźć ścieżkę właściwą.

Rytm prozy Conrada

Kto czyta Conrada po angielsku, odczuje od razu, że prozę jego cechuje swoisty rytm. Uroczej tej właściwości stylu Conrada nie oddał niestety, w sposób wystarczający i poznawalny, nikt z polskich tłumaczy. Ową rytmiczność języka zawdzięcza Conrad zapewne w dużym stopniu swojej polskiej, uczuciowej naturze — i ona musiała być jedną z tych obcych a czarujących cech, które uderzyły Anglików w angielszczyźnie przybysza.

Idzie tu oczywiście o swoisty rytm prozy, nie wspólnego nie mający z wierszem — o to pulsowanie języka, te dostojne kadenacje lub niespokojny bieg i nagłe skoki zdań, które tak świetnie, tak jedynie potrafią wyrazić tętniące w słowach uczucie. Rytm prozy, to przecież niemal funkcja uczuciowego jej napięcia. Wolę rytmu Conrada nawet niż Żeromskiego, tego mistrza rytmicznej prozy; Żeromski nieraz popada w stopę wierszową, gdy proza Conrada pozostaje zawsze próżnie wierna.

Bez tego rytmu nie poznalibyśmy prawdziwego Conrada. Rytm Conradowskiej prozy jest niezbędny do przekazania uczuć i nastrojów, które ją zrodziły.

Źródła gawędy

Dużo pisano na temat pochodzenia swoistej formy opowieści Conradowskich, w których całość obrazu układa się stopniowo

z elementów dowolnie rozmieszczonych w czasie. Najczęściej wskazywano na wpływ Henry Jamesa.

Sądzę, że można wskazać co najmniej na trzy czynniki w życiu samego Conrada, które do tego stopnia musiały wpłynąć na rozwinięcie się jego swoistej techniki, iż szukanie pierwowzorów literackich staje się zbyteczne.

1. Bardzo trafne określenie właściwej Conradowi formy opowiadania dał V. Larbaud: że jest to narastanie utworów dookoła jakiegoś wykrawka przeszłości — krajobrazu czy postaci ludzkiej — przy czym zwolna dopiero wyłaniają się wcześniejsze czy późniejsze zdarzenia oraz reszta postaci. Larbaud nazywa ten proces "poetycką rekonstrukcją z materiału pamięciowego". Prościej mówiąc, jest to technika każdego wspomnienia — tak dobrze zrozumiała u pisarza, który najpierw sam dużo przeżył, a potem dopiero zaczął tworzyć. Mamy na to zresztą świetne polskie określenie: gawęda. Gawędziarz zazwyczaj zaczyna od jakiegoś narzucającego się pamięci szczegółu i potem dopiero wypływa na morza przeszłości, zataczając coraz szersze kręgi, nie licząc się z czasem ani z kolejnością zdarzeń.

Conrad to gawędziarz — o genialnym zakresie. Cała opowiadana przeszłość żyje równocześnie w jego pamięci, wobec czego kolejność opowiadania staje się nieważna. Conrad patrzy na wszystko pod kątem widzenia całego horyzontu — jest równocześnie wewnątrz każdej sytuacji i trochę poza nią, ogląda ją spokojnie ze wszech stron, opisuje z precyzją, nie czuje potrzeby pośpiechu. Nie jest on pochłonięty chwilą opowiadania, jak ktoś kto ogląda ją po raz pierwszy — może ją więc bardziej świadomie analizować, przetwarzać, zabarwiać późniejszymi nastrojami i myślami. Panując nad swoją wizją, buduje ją spokojnie z zasobów swej fenomenalnej pamięci i sprawnej wyobraźni.

Wspomnienie — jeżeli nie napływa porywającą falą, co się nie często zdarza — bywa stopniowym i usilnym dobywaniem z pamięci szczegółów, by rzecz wspomnianą niejako przybliżyć i na nowo ożywić — stąd często większa dokładność opisu i bogactwo szczegółów, niż to bywa przy wizji wyłącznie twórczej.

Nie jest to pierwsza miłość, życie nie ma już dla Conrada dziewiczego uroku, a sztuka nie jest mu środkiem osobistego wyżywiania się, jak bywa dla wielu pisarzy. Dlatego można mówić nie tylko o obiektywności i spokoju (inna rzecz, że w gruncie pozornym) ale nawet o pewnym chłodzie Conradowskim — a zawsze o dystansie w stosunku do wywoływanego obrazu. Conradowska wizja życia, zawieszona pomiędzy kreacją a wspomnianiem, ma swoisty urok spraw równocześnie bliskich i odległych, przeżywanych dzisiaj ale już odważonych dojrzałym sądem, widzianych z niesamowitą dokładnością a trochę już nierzeczywistych.

Oto właściwości artystycznego podejścia do tematu, które pisarz zapewne w dużym stopniu zawdzięcza kolejkom życia. Za-

nim — syt przygód i wrażeń — zaczął pisywać, Conrad pływał przez dwadzieścia lat po morzach. Stosunek uczuciowy do tej bujnej przeszłości mógł mu samorzutnie podsunąć gawędę, jako naturalną technikę artystyczną — z której rozwinęła się z czasem metoda twórcza nawet w opracowaniu materiałów, które już nic wspólnego nie miały ze wspomnieniem.

Zazwyczaj gawędę cechuje jeszcze wiele innych rysów, których na próżno by szukać u Conrada: chepliwość, wracanie do ulubionych wątków, mętność całości. Ale tym razem gawędzi geniusz; gawęda jest dlań po prostu dogodnym środkiem artystycznego wypowiedzania się.

Pamiętajmy również, że nazywając Conrada gawędziarzem, upraszczamy znacznie sprawę. Gawędziarstwo to tylko zrąb, podstawa, z której niejako wyszedł i na której wznosi się twórczy geniusz tego pisarza. W "Nostromie", najwspanialszym jego dziele, nie ma prawie uchwytne wątku wspomnień, ale technika gawędzenia pozostała.

2. Jeśli chcemy uświadomić sobie inny ważny czynnik w kształtowaniu gawędziańskiej manieri Conrada, przeczytajmy bezpośrednio po sobie jego "Wspomnienia osobiste", a potem pamiętnik Aleksandra Fredry z pierwszej połowy XIX-go stulecia "Trzy po trzy". Kiedy się czyta tę porywającą, niestety zbyt mało znaną gawędę o młodych latach wielkiego komediopisarza, miałoby się ochotę wykrzyknąć, zapominając o chronologii: "Cóż to za świetny naśladowca Conrada!" "Trzy po trzy", jest dla mnie oczywistym dowodem, że swoista forma Conrada wywodzi się w dużym stopniu z ducha staropolskiej gawędy. Nie myślę tu nawet o wpływach literackich, choć Conrad niewątpliwie czytywał w młodości i poniósł w życie pamięć gawęd Chodźki, Rzewuskiego, Kaczkowskiego; myślę o krwi, o polskim temperamencie pisarza.

Podobieństwo rodzaju jest w pamiętnikach Conrada i Fredry zdumiewające. Ta sama sobiepańska dowolność i bezceremonialność narracji, kierowanej fantazją rozległą a zmienną; ten sam sposób nawiązywania wątków, luźny, z okazji przygodnego obrazu, a nawet słowa; to samo igranie z czasem, niespieszna swoboda opowiadania, kołowanie w okrąg obranego zdarzenia czy wątku. Nawet zawężenie obu pamiętników, niby całkiem niedbale, z byle czego — u Conrada jakaś scenka na "Adowie", u Fredry pierwszy lepszy moment kampanii 1813 roku — jakież to podobne! (pamiętników Fredry, wydanych w XX-ym stuleciu, Conrad oczywiście nie znał). Słowem u Conrada (a cóż dziwnego, że u Fredry) spotykamy w świetnym artystycznym przetworze, wszystko co tak cechowało staropolską gawędę, a wywodzi się z narodowego indywidualizmu, kapryśnej fantazji, zmienności zamiarów, a może także z wpływu wsi na psychikę szlachecką, wsi, gdzie ludzie zawsze mieli czas, spokój i pewien dystans spojrzenia na sprawy tego świata.

Oczywiście jest między Fredrą i Conradem różnica jedna i to zasadnicza. Co u Fredry rodzi się tylko z temperamentu, jest

u Conrada już wynikiem poznania istoty własnego temperamentu i opanowania jego dróg. Toteż, gdy gawęda Fredry powstaje po prostu z tego, co "ślina na język przynieść" i jedynie dzięki wielkiemu talentowi wiąże się w żywą i jako tako jasną całość, gawęda Conrada, przy pozornej swobodzie, podlega ścisłej kontroli świadomości i posiada swój przemyślany ład wewnętrzny. To już jest dyscyplina Zachodu, która stoi poza kulisami polskiej wyobraźni.

Ze analogię powyższą ograniczyłem do pamiętnikarskiego utworu Conrada, było tylko ułatwieniem. Technika pisania jego powieści nie różni się zasadniczo od układu "Wspomnień osobistych" — jest pamiętnikarska, czy, ściślej mówiąc, gawędziańska — więc powiedziane wyżej odnosi się do całej twórczości Conrada. Myślę, że przełożenie "Trzy po trzy" Fredry na język anielski lub francuski stałoby się odkryciem dla Conradystów całego świata i przyczyniłoby się do otwarcia oczu na niejedyn conradowski problemat.

3. Warto jeszcze zwrócić uwagę na pewną analogię pomiędzy staropolską, tym samym zaś i conradowską gawędą, a bajkami "Z tysiąca i jednej nocy" — z ich niespiesznym tokiem i przeplataniem się tematów, zachodzących na siebie, niby bezlik współśrodkowych szkatułek. Podobną technikę opowiadania posiada zresztą także klasyczny "Złoty osioł" Apulejusza, barwny kilim wątków, z których jeden ciągle wpada w tok drugiemu; przez Apulejusza zaś docieramy do nowelistów Renesansu, Boccaccia, Bandella, czy królowej Navarry — bo i "Dekameron", seria powiastek objętych kłamrą jednej opowieści, należy do tego samego rodzaju.

Pokrewieństwo formy i nawet wątków jest między tymi starymi zbiorami opowieści wyraźne — i jakkolwiek częściowo można przypisać je wzajemnym wpływom, w szczególności wpływowi baśni wschodniej — to jednak głównej przyczyny tego podobieństwa rodzaju należy szukać w warunkach, w jakich rozwijała się sztuka opowiadania w owych minionych wiekach. Łatwo jest wczuć co musiało nadać tej sztuce cechę niespiesznej, różnolitej i powikłanej gawędy: wolny czas. Ludzie mieli dużo czasu, mogli się więc w opowieściach nie śpieszyć, mogli nieraz zboczyć z drogi, spokojni, że nic im nie przeszkodzi do końca zdążyć. Niezależni od czasu, niewpleceni w jego pedzace koło, jak człowiek współczesny, nie odczuwali jego ważności i znaczenia, skłonni więc byli bawić się nim i niejako lekceważyć.

Obok niekrepowania się czasem cechuje dawnych pisarzy jeszcze co innego: pewien dystans w stosunku do opisywanego wątku, dystans uczuciowy i faktyczny. Niegdyś wielki świat i główny prad życia, a małe kółko życiowe, w którym się istotnie przebywało — to były rzeczy odległe i prawie niezależne od siebie. Dziś natomiast wszystko się zazębia, dziś coraz mniej jest cichych katów, z których można by beztrudno oglądać daleką panoramę życia. Dawny narrator był spokojnym obser-

watorem tego, co się działo z dala od niego, albo co on sam gdzieś kiedyś bezpowrotnie przeżył. Dlatego dawna gawęda dy-szy spokojem i niejako igra z życiem (a jeżeli oczy narratora są mądre, przygląda się życiu ciekawie i ze wszystkich stron). Gawęda narodziła się i kwitła przy domowym kominku w długie wieczory zimowe, a dalej niesi ją bajarze czy rapsodzi, których ciekawie słuchał próżniaczy tłum.

Sztuka gawędzenia, wygasająca wraz z warunkami, które ją zrodziły, przetrwała dłużej i wykwitła swoiściej w Polsce niż wśród innych narodów, może dlatego, że z przyczyn zaznaczonych poprzednio (żywość wyobraźni, kapryśność jej i zmienność) gawęda wyobraźni polskiej szczególnie odpowiadała. Poza tym Polska bardzo późno — znacznie później niż reszta Europy Zachodniej — przestała być zaściankiem, który stanowi, jak się rzekło, niezbędne podłoże dla ducha gawędy.

Wskazałem już poprzednio na związek gawędziarskiej formy dzieł Conrada z duchem gawędy staropolskiej. Ale wszystko co teraz napisałem służy do tego, ażeby ukazać jeszcze jedno źródło tej swoistej formy: wpływ zawodu marynarskiego, a potem stałego prawie przebywania na wsi. Analogie biją w oczy. Punkt widzenia, z którego Conrad spogląda na bieg współczesnego życia nie różni się od punktu widzenia dawnych pisarzy. Okręty żaglowe były idealnym środowiskiem dla rozwinięcia zdolności gawędziarskich. W chwilach ciszy morskiej czasu jest dużo, a świat daleko. Conrad powiedział raz Rettingerowi, że zaczął pisać dla zabicia czasu w chwilach wolnych od służby. W kajucie gwarzy się jak przy kominku, a zarówno opowiadającego jak i słuchaczy nic nie przynagla, ani nie odrywa. Tam to zapewne nauczył się Conrad czasu nie szanować, tam wyzwolił się raz na zawsze z jego obieży, co wiąże człowieka na lądzie. Czas stał się dla niego czymś zewnętrznym, w czym się nie tkwi — terenem do swobodnej przechadzki. Tam również ugruntował się w nim dystans spojrzenia na życie, które już się dokonało w przeszłości, albo ubiega gdzieś daleko na lądzie i któremu można się spokojnie, z wszystkich stron, przyglądać.

Druga połowa życia — literacka — nie zmieniła już w Conradzie takiego stosunku do świata. Conrad zamieszkał na wsi, którą opuszczał rzadko; a jeśliby nawet nie był pozostał przestrzennie poza wielkim nurtem życia — pozostałby w duchu, pograżony w wspomnieniach i przetwarzaniu ich na sztukę. Ten późniejszy stosunek Conrada do życia, jako do przebrzmiałej bezpowrotnie przeszłości, wyzwolonej już z kategorii czasu, a za to doskonale ze wszech stron widzialnej, pogłębił jeszcze nabytą na morzach gawędziarską skłonność pisarza.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że Proust to przecież także — gawędziarz, w którego niebywalej pamięci wałęsa się ogrom przeszłości, stopniowo zmartwychwstającej w jego dziele. Prou-

sta, inny czynnik — choroba zamykająca powrót do czynnego życia — wyzwolił na zawsze od czasu.

Jeśliby Conrad nie był Polakiem, jeżeli by natura jego wyobraźni i żywa jeszcze tradycja gawędy staropolskiej, którą się na pewno karmił w swojej młodości — nie predestynowały go na gawędziarza, może byłby się jednak poddał, z chwilą opuszczenia morza, ogólnie przyjętym we współczesnej literaturze formom i obyczajom. Ale połączony wpływ rasy i zawodu był — Bogu dzięki — dość silny, by podsunąć mu swoistą formę i skłonić do wspaniałego przeciwstawienia się szablonowi.

Chłód Conradowski

Co czyni Conrada ostatecznie wielkim artystą: potęga jego wizji, przenikliwość myśli, patos wyrazu? Nie, panowanie nad tymi elementami. Panowanie to jest tak świadome, nieustępliwe, zawsze wyczuwalne — że budzi nieraz wrazenie chłodu. Nawet, właściwa Conradowi, pośrednia forma opowiadania przez trzecie osoby, zdaje się rodzić z tej woli stworzenia przez artystę dystansu pomiędzy sobą a obrazem życia.

Nasuwa się znowu analogia z Flaubertem — pisarzem jak niewielu, gorącym — który przez poskromienie swego bujnego, uczuciowego stylu nadał mu w "Pani Bovary" wieczną młodość i zwartą niezawodną moc wyrazu. Dynamit — dopiero w zamknięciu — rozsada.

Conrad to także twórca gorący — który na szczęście zaczął pisać późno, kiedy już umiał wziąć się w ręce. Do tej zamierzonej powściągliwości artystycznej dołączył się wpływ przyrodzonych czynników, pogłębiających szczerą i pewną takiego zamiaru: przemoc intelektu, rezerwa właściwa naturze uczuciowym, rozczarowanie i oddalenie się od życia.

Jeżeli kto z pisarzy był tu Conradowi wzorem — to wspomniany Flaubert, natura pokrewna pod wieloma względami. Z jego szkoły i z wspaniałego samouctwa narodził się Conrad, władca angielskiej prozy. Opanowanie bujności uczuć stwarza i cechuje prawdziwego artystę. Istota sztuki polega w pewnym sensie na zakreśleniu granic bezmiarowi zjawisk życiowych.

Łącznik między dawnymi i nowymi czasami

Pod koniec wracam do tego, od czego zacząłem: Conrad, poeta renesansowa. Odnowiciel klasycznych wiecznych sposobów sztuki — podobnie jak mistrze renesansu przywrócili wagę wartościom antyku. Co dla współczesności zdawałoby się bezpowrotnie przebrzmiało, co zostało zepchnięte do literatury dla młodzieży i ludzi prostych: patos, wyrazistość i dramatyczność konfliktów, urok gawędy, kult bohaterstwa, wyraźna linia moralna — wszystko to ożyło pod magią Conradowskiego słowa. Sztuka jest oczywiście z istoty swej patetyczna, upraszczająca i dramatyzująca życie — ale trzeba mistrza, jak

Conrad, by te odwieczne sposoby nie wydawały się zużyte i przestarzałe — trzeba przede wszystkim wielkiej duszy, by wypełniły się rzetelną treścią, żeby nie brzmiały pusto.

A równocześnie — ten pisarz czerpiący pełną garścią z starych tradycji artystycznych, to jeden z najbardziej przenikliwych znawców i krytyków współczesności, poprzednik Sartre'a w opisie zgubienia się i niepokoju dzisiejszego człowieka. Zaiste, łącznik między dawnymi i nowymi czasy. Toteż zarówno myśl ludzka, jak sztuka będą jeszcze nieraz wracać do tego samotnego twórcy — który nie stworzył szkoły.

Zamknięcie

Uwagi powyższe nie żywią roszczeń do tworzenia jakiegoś całości kształtu ani do przeniknięcia istoty stylu Conrada. Łatwą rzeczą jest rozwikłać sztuczki stylowe średniego pisarza i wykryć rządzące nimi prawa, ale triumfalna prostota wielkiego stylisty najczęściej umyka się ujęciu. Bardziej tutaj, niż w innych dziedzinach sztuki, wypada ograniczyć się do osobistych wrażeń i wyczuć — które nie pretendując ani do zgłębienia, ani do ogarnięcia całości — mogą służyć jedynie do obudzenia własnej wrażliwości czy intuicji czytelników.

Wiążąc te luźne uwagi dałem folię osobistej potrzebie. Tyle się dziś pisze o ideologicznej stronie utworów Conrada i tyle sam o niej, pisałem — że zapragnąłem odetchnąć od tamtych zagadnień i zająć się tym razem Conradem — artystą. Myślę, że jest to właściwe oddanie hołdu wielkiemu pisarzowi — który zagadnienia formy traktował z najwyższą powagą — w 25-tą rocznicę jego zgonu, przypadającą w tym roku.

Wit TARNAWSKI.

POLSKA
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
 w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

Jeden rejs

I. Pożegnanie lądu

Ciężkie, opuchnięte powieki niechętnie ulegają natręctwu szarego światła, ale dobroczynność snu jest skąpa i trzeba wrócić spojrzeniem do niemiłej rzeczywistości.

Na stoliku przed łóżkiem stoi wielka szklanka z grubego, nierównego szkła, do którego w górze przyrósł wianuszek zaszniętej piany, spływający dwoma warkoczami do pozostałego na dnie, złotawo-brunatnego płynu; unosi się jeszcze nad nim wspomnienie pijanej żłudy. Na poduszce tkwi wyzywająco podłużna plama karminu, jedyny ślad odeszłej, nieuchwytniej kąpieli miłości. Na niedomkniętej książce leży rozgnieciony niedopałek, a z przewróconej butelki sączy się w dół niesmak.

Dlaczego nie można cofnąć nieczułego czasu i urządzić wszystko jeszcze raz od nowa; lepiej, realnej, bez kolorowych złudzeń, ale kompletniej i tak, aby nie było potem żalu...

Anemiczne myśli zawieszają się na pęknięciach sufitu, ześlizgują wzdłuż poplamionej tapety ścian, a potem niedołącznie przeskakując na zakurzone lustro szafy stają w pół skoku i bezradnie powracają do okna. Za szybami Obojętność rozwiesiła gęstą firankę deszczowych nitek, zasłaniając wszystko przed światem. To lepiej, nie trzeba się przynajmniej przed nikim więcej wstydzić, tylko przed samym sobą.

Skądś z trudem przebija się głos zegara. Jest ósma, trzeba wstać.

Trzeba pozbierać swój bezwład, stojący na granicy niebytu i jakoś wprawić to wszystko razem w codzienny, obmierzły ruch. Przyzwyczajenia niewolnicze są zbyt silne, aby można było zwrócić Bogu nieproszony podarunek istnienia.

Za godzinę trzeba być na statku, czas wstać. Niepewnymi i jakby mijającymi się z zamiarami ruchami, naciągał Tom na siebie najpierw szorstką, wełnianą bieliznę, potem zaplamione, z powypychanymi kolanami "courderoi'e" i gruby, rybacki sweater. Wraz z dotykiem szorstkiej wełny owinął go szczelnie ostry zapach potu i ryby, którego nie będzie już można zgubić przez całe trzy tygodnie. Trzy tygodnie — ...Kto sekund nie liczy zaspianymi, czerwonymi oczyma, ten nie wie ile przekleństw mie-

ści w sobie minuta i ile minut trzeba gwałtem ze siebie wyrwać, by złożyć całe dwadzieście jeden dni...

Na schodach gospodyni pożegnała Toma złośliwym uśmiechem, który zdawał się mówić: jak to dobrze, że to ty, a nie ja. Nie ma nic przyjemniejszego niż widok cudzego nieszczęścia.

Port jest już w pełni swojego pracowitego dnia. Na molach kręcą się ludzie o brudnych twarzach, poruszając się ciężko, celowo i brutalnie, jak kanciaste bryły węgla toczące się po rynnie. Wszystko tu jest twarde, i niezycliwe, mdła uprzejmość została na granicy świata, w którym pot nie znaczy twarzy ludzkich brudnymi zaciekami mozołu.

Na statku załoga czyni już ostatnie przygotowania. Trzeba złożyć pod pokład nowe liny i sieci, zakręcić i uszczelnić płyty bunkrów węglowych, podnieść tylny żagiel i znieść na dół prowiant. Wszyscy są niewyspani i źli, niezgrabnym rękoma nie dzisiaj nie udaje.

Istnieją na pewno dni, w których przedmioty martwe buntują się przeciw nieudolnemu panowaniu ludzi i podstawiają właśnie najbardziej obolałym miejscom, swoje najtwardsze i najbardziej szorstkie kształty. Na pięćdziesięciu sążniach nowej, stalowej liny przyczają się jeden ostry zadziór i trafia właśnie w najboleśniejszą i zaropiałą ranę dłoni. "Psiakrew", uśmiechy mają krótkie i delikatne żywoty i wiedną jak kwiaty, pod niezycliwym oddechem słonej wody.

A tu jeszcze, jak na złość, na przednim pokładzie piętrzy się góra zapasowego węgla, którą za każdym razem trzeba zdobywać, przechodząc z jednego końca statku na drugi.

— Myślałem, rzuca Tom w przestrzeń uwagę, że tylko w moim kraju bezprawie stanowi główną zasadę życia społecznego, ale w waszej zachodnio-demokratycznej Anglii, prawo też istnieje tylko po to, aby go słaby nie mógł omijać*).

— Tak, odpowiada ktoś spod przygarbionych pleców, a spróbuj zaprotestować, to cię nie tylko wyrzucą, ale jeszcze zamknąć mogą. Były już takie wypadki.

— A co "Trade Union" na to?

— "Trade Union" jeżeli w ogóle coś robi, to robi tak jak chcą właściciele. Są różne prawa, ale prawo pieniądza jest najsilniejsze.

Wreszcie ostatnie zwoje liny znikają w otworze pokładu. "Hatchway'e" obciążnięto brezentem i zabito kołkami. Gotowe? Wszyscy są? Nie, brakuje jednego palacza. Syrena okrętowa rzuca w mgłę niecierpliwie wezwanie i płoszy stado mew z porannego żerowiska.

Jest jeszcze chwila czasu, można zejść pod pokład. W "fok-

*) W myśl angielskiego rozporządzenia o bezpieczeństwie statków na morzu, nie wolno przewozić niczego takiego na pokładzie, co by utrudniało przejście. Oczywiście, że właściciele i skiperzy nie stosują się do tych przepisów i nie ma na to rady. W Aberdeen zdarzył się wypadek usunięcia ze statku i sądowego ukarania protestującego przeciw temu deck-hand'a.

slu" jest ciemno i wilgotny smród przenika nie tylko przez nozdrza, ale zda się oblepia szczelnie każdy skrawek nagiej skóry. Dobrotliwy zmrok tai jeszcze w sobie resztkę złud. Nie widać brudnych, lepkich kofii, rozmazują się nieregularne stopy śmieci i tylko z rzadka przeświecają żółte plamy nowych "oil-skin'ów".

Wracają wspomnienia pijanego łodem wypoczynku. Nawet nad najtańszym champain'em unosi się tęcza pryskających banieczek użycia, nie wolno być tylko trzeźwym, ani przez chwilę! — Jak spędziłeś czas? Padają pytania i odpowiedzi. — Może nie pojedziemy jeszcze dzisiaj, wrywa się skądś westchnienie, — może George nie przyjdzie! To Billy, przed dwoma dniami ożenił się...

Tom próbuje sobie wyobrazić młodą, roześmianą dziewczynę, której pierwszy raz w życiu oderwano od ust, pierwszą, niedopitą czarę rozkoszy. Ma pewno długie, nagie, pomalowane nogi, małe piersi i szpiczaste, dziewczęce ramiona i pewno się pod pudrem czerwieni. Jak to dobrze móc się jeszcze rumienić...

Alé pryskają miraża i ostatnia nadzieja pęka. — „All hands on deck!“. Zdawało się jeszcze przez chwilę, — ...ale nie, nie ma już pana Ski, cały mu bliski świat, świat myśli, słowa i pieśni, opancerza się obojętnością i odwirowuje w niedosięgie. A on zostaje poza nim, zapomniany gdzieś z boku, wyrzucony nie wiadomo dłaczego. On, Tom, "ręka na pokładzie" tylko, twarda, wyrobiona, powiązana grubymi sznurami żył, rybacka ręka. To co najważniejsze. Reszta, trzydziestoletnia sieć innych dróg, to przeszłość. Zapomniana. Czas ma najsilniejsze prawa.

Odpadają liny cumownicze, maleje w dali molo i znika jak krótki sen. Zostaje rozkołysana zjawą, nad którą niemo zwisają ciemne zwały chmur, jak zasępienie czoło niewybaczającego Boga. Morze jest złe. "There is plenty water and plenty wind". "Forecast" przewiduje "fresh to strong", trzeba umocować wszystko na pokładzie, bo grabieżne fale nie przebaczą żadnego niedopatrzenia.

O dwunastej, głos kucharza odwołuje wszystkich z pokładu! "Dinero-o-o!" Obiad jest niedbale przyrządzony i nikt go prawie nie je. Siedzą jednak wszyscy w kabinie i w ciepłe dymiącego kominka usiłują powiązać, zerwane przed kilkoma dniami, nici porozumienia. Zaczyna się pleść warkocz wspólnego losu. Od dobrej woli wszystkich zależy bardzo wiele, kto wie, czy nie to, że wróca!

Po obiedzie wszystko wchodzi w utartą od pokoleń rutynę. Nie ma już żalu, jest tylko rezygnacja. Jest teraz wiele czasu, aby odespać zawody i poczynić nowe przyrzeczenia na przyszłość. Nie ma teraz okazji do łamania ich, wydają się zatem stałe i niewzruszone.

Dojazd trwa pięć dni, o ile pogoda łaskawa. Czasem przedłuża się do tygodnia, a czasem niewiadomo... Wtedy jest strach. Wtedy wisi się jakby na skraju gigantycznych warg i nie wia-

domo czy przy następnym silniejszym oddechu, nie zostanie się wyplutym w nicłość.

Pięć godzin "below", mija w pół przytomnym odurzeniu. Nie można spać, koja jest wąska i twarda, a gwałtowniejsze przechyły grożą wypadnięciem. Dużo jeszcze upłynie bezsennych godzin, nim ciało przystosuje się do niepewności, prawem niepokonanego zmęczenia.

Aby dostać się na tył statku, trzeba przebyć ruchomą górę węgla, zalewanego raz po raz, szerokimi, obfitymi bryzgami. Drogę tę trzeba przebyć jednym szybkim skokiem, gdyż nie wypada staremu rybakowi ubierać nieprzemakalnego płaszcza. Zabawa wymaga wytrawności gracza, połączonej z szybką decyzją i odwagą. Najpierw czai się w drzwiach "foksla" i oszukuje morze. Liczy się kolejne przechyły: zalew, raz, dwa, trzy, zalew, raz, — teraz! gwałtowne odbicie, kilka rozpaczliwych potknięć na osłizgłym węglu i jest się już za windą, w bezpiecznym miejscu chronionej maszynownią odwietrznej. Czasem łobuzerska fala wyłamie się spod zasad gry i wtedy kiedy powinno być "teraz", wyrośnie górą przed dziobem. Wtedy mokry sweter przylepia się chłodem do skóry, zachłyśnięty wydech walczy przez chwilę z przekleństwem, twarze za szybami sterówki rozjaśniają się złośliwym współczuciem i wiatr śmieje się w otakowaniu masztu. — Zmoczyło cię? — pyta dobrotliwie kucharz. — N-nie, t-trochę tylko — wydzwaniamą trzęsące się zęby.

Po kolacji Tom ma wachtę. Jest zwyczaj, że na "Home Waters" pracuje się na dwie zmiany; jedna pełni służbę w sterówce, pali w piecach i gotuje herbatę, druga spi. Życie zamyka się między pracą i snem, na nic więcej nie ma czasu ni chęci. Jest zwyczaj; dlaczego on istnieje i czy nadal ma swój sens, nikt się w krainie mgły nie pyta. Wystarczy że jest. Tak trzeba, a poza tym zwyczaj są zbyt dumne, by odpowiadać na pytania jednego tylko pokolenia śmiertelników. Po prosto rządzą.

Drabinka do sterówki jest stroma i ciało wykorzystuje balans statku, by wdrapać się po niej z jak najmniejszym wysiłkiem. Sprawnie działające instynkty zawodowe, zastępują tu świadomą i wyrozumowaną myśl.

Na mostku sternik stereotypowo zdaje służbę. Kurs NNW, wiatr N do NW, woda 46. Magiczne słowa wodnego drogowskazu. Tom zna je już na pamięć i wie, że drogowskazy płynne są tu jak woda.

Tarcza kompasu kręci się niecierpliwie na swojej osi i ruchliwa, nieuchwytna, ciągle to inną strzałką muska kierunkową czarną nitkę. Czasem odskakuje o dwa rumbly w bok i wtedy ręce kurczowiej zaciskają się na szprychach koła. Po godzinie, mięśnie bolą już od ciągłego liczenia szprych i kark sztywnieje od podtrzymywania zadartej w górę głowy. Kompas zawieszony jest pod sufitem, a wpatrywanie się weń jest nie tylko koniecznością, ale i przyzwyczajeniem. Rozłożysta lilijka pół-

nocy zawiera w sobie magnes nadziei, jedynej na jaką tu jest jeszcze miejsce.

W sterowce zapada powoli zmrok. Słońce zapomniało dzisiaj swoich wieczornych pacierzy i na zachodniej stronie nieba nie ma wróżb jutrzejszego dnia. Przed statkiem leci samotna mewa. Samotna. Ona też?

W sterówce zapadł zmrok. Chwiejne koło złotego światła spływa z kompasu na zadumane twarze. W oczach mata zapala się złoty blask i rozjaśnia całą zwiędłą i starczą twarz — wspomnieniem. Snuje się opowieść buńczucznej młodości, gęsto umajonej kwiatem dziewczęcych ocz. Za szybami morze całuje się z niebem, a po szkle spływają dreszcze ich wodnej rozkoszy. Przez nieszczelne ramy wpada ciekawski wiatr.

Lewą burtę statku muskają cztery długie błyski, potem przerwa i znów cztery, skupione, uważne, jak ostatnia na drogę przestroga. To Dunet Head śle pożegnanie lądu.

II. Galernicy.

Dni stają się coraz dłuższe, wschodzące i zachodzące słońce barwniej maluje schyłki nieba, a w mroźnym powietrzu czuć bliskość podbiegunowego koła. Nocami Niedźwiedzice wiodą swe rozmowy bliżej środka ugwieżdżonej kopuły, a amplituda przy wschodzie słońca była dzisiaj W 45° N. Wyspy Owcze zostały z tyłu o dwa dni drogi, z pokładu znikła góra węgla. Na północnej stronie widnokregu zarysowuje się wąska, długa linia. Za rufą zostaje warkocz zburzonej piany, linia pęcznieje zwolna, nabrzmiewa, aż naraz rozstrzela się srebrnymi masywami szczytów. Islandia. Zimna i niegościnna piękność, otulona płaszczem wiecznych śniegów, lecz jakże swojska równocześnie, znajoma z samotnych wacht. Teraz przypatrywać się będzie uparcie i obojętnie, gorączkowym, mrówczym wysiłkom dwudziestoczterogodzinnych dni.

— Po herbacie powinniśmy rzucić sieć, — mówi Tom do młodego rybaka. On wie, a tamten dopiero zaczyna. — Iglę z podwójną nicią! — rzuca krótki rozkaz mat. Twarde, sekaty palce, szybko przerzucają drewniane wrzeciono, znacząc górną linię srebrnymi bańkami pływaków. Roboty jest wiele i pot rosi się już na zaczerwienionych twarzach. Trzeba jeszcze falbankowato przywiązać sieć do spodniej liny i przyczepić ją do kulistego balastu, przyszaklować do skrzydeł długie nogi orczyków i uzbroić nylonowy worek grubymi, ochronnymi fartuchami. Potem pokratkuje się pokład w głębokie, trzy-rzędowe sadzawki i rozrzuci wzdłuż burt stalowe liny wyciągów.

Zupełnie oddzielny rozdział stanowi przygotowanie "fish-room'u". W czasie drogi znajdował się tam węgiel, trzeba więc teraz szczególnie dokładnie wymieść osiadły miał, a potem zmyć wodą i wyszorować szczotką drewniane przegrody. Węglowy żwir jest uparty, trzeba więc z niektórych zakątków wyrwać go

paznokciami; od czystości przechowania ryby zależy jej cena. Wreszcie deski świecą się bielą, trzeba je więc teraz ustawić w półki i zbudować roboczy korytarz, oraz pochylnię, po której ryba będzie spływała w dół. Pozostaje jeszcze narabianie zapasowego lodu i zrobienie lodowych podłóg. Z chrzęstem wdziera się ostrze siekiery między pozlepiane kryształki i pryska wokół śnieżny pył. Ciało przejmuje rzeźwiący chłód, gdy roztopione okruchy ściekają za koszulę, wymieszane z potem.

Wreszcie wszystko gotowe. Można wyjść z powrotem w dzień, parzyć gardło gorącą herbatą, patrzeć w słońce przymrużonymi oczyma i głęboko wciągać w płuca ostry dym papierosa przemieszany z zapachem jodu.

W między czasie ściana gór rozstała się ku wschodowi, odkrywając rozległą, płaską zatokę. Zbocza ustawiły się w pryzmat by bogaciej odbijać refleksy północnego słońca, a w powietrzu drży czystość śniegu i światła. Łowisko. Na mapie znaczą się ono gromadą głębokościowych cyfr, na zewnątrz mieniąca tarcza kryje tajemnice dna i tylko wyobraźnia rysuje nieodgadnię szlaki ryb.

Po kolacji dzwonek maszynowy wstrzymuje rozpędzone tłoki i cisza tłumi rytmiczne drżenie kadłuba. Ostatnim parciem w przód, statek nastawia prawą burtę do wiatru. Strzela się pod wiatr. Zasapana winda otacza się parą i wreszcie ze stękiem, jak drwał, zrywa spiralę stalowej liny w okrągły ruch. Wolno z metalicznym szczękiem podnosi się rząd kul i niezdecydowanie, w takt przechyłów waha się nad burtą: wrócić czy wyjść? Wreszcie wygięte brzemie zwisa ponad wodą. Wyszedł! Puść! Srebrny ślimak zeskakuje z bębna, wali się okrągły ciężar w dół. Wyciąga przedni żóraw kratkowany worek „wysoko poza burtę”; zamiata pokład obwisła gardziel. „Let go!” Poszedł. Rozprostował za sobą zwisającą sieć. Teraz napina się struna przedniego „jilson'a”, staje naprzeciw siebie rząd ludzi i rząd kul. Wpierają się ramiona w wypukłe ściany, rozhuśtuje się wysiłkiem bezwładny, martwy zwis. Teraz! Ześlizgują się ręce po toczzonej gładzi, głuchy łomot odbija się o drewno pokładu. Całe szczęście że nogi w porę zdążyły uskoczyć. Jeszcze raz! Znowu napina się stalowa lina i znów ręce podejmują niebezpieczną grę. Nareszcie!

Rozprostowują się wolno plecione kable, fala odrywa od statku półkolisty rząd pływaków. Grzybiasty zaczep osadza się w strzemionach drzwi, ręce gorączkowo spinają duże, żelazne kłamy. Przedni gotów. Teraz spod uniesionych drzwi, trzeba zrzęcznie odczepić podtrzymujący łańcuch. Płasko uderzają okute deski o szklistą gładź, zamyka się nad nimi woda. Klębi się jeszcze przez chwilę wirowata fala, a potem niecierpliwie wygładza na sobie ślad ludzkiego gwałtu.

Teraz statek idzie pełną pod wiatr, podrzuca buńczucznie dziobem na grudzie fal i odwija z klębów dwie nici lin. Biegną podstępny ruchem żółte, włochate marki, gonią jedna za drugą

przeskakując przez nierówności bloków. Siedem, osiem, dziesięć, piętnaście, następna! Rzuć hak! Po wysprzęglonej windzie przelatuje jęk, niechętnie schodzą się liny w holowniczym bloku. Wreszcie jednak zapięte. Rozpoczął się pierwszy ciąg.

Należy jeszcze tylko zmyć pokład i można iść spać. Spać... Ciało przeciąga się słodką obietnicą bezruchu, a myśl roi sobie barwne sny, prywatnych, własnych dwu godzin.

Lecz sen jest krótki, — sny są zawsze za krótkie, — i brutalnie wdziera się weń przeciągły krzyk: „u-u-up tra-aw!” Tom wie, że za chwilę będzie się musiał dopuścić samogwałtu wstania i że ten gwałt, straszny, znieawidzony, godzący w całe fizyczne i psychiczne jestestwo, zaprzeczający podstawowym zasadom wolności, powtarzać się będzie z dwugodzinną regularnością, przez całe dwa tygodnie. Tom boi się tych chwil najwięcej. Nie dlatego że to jest walka z sobą, czy przełamywanie słabości, ale dlatego że jest to podły, zewnętrzny mus, na który najbardziej kompromisowy rozsądek nie jest w stanie znaleźć usprawiedliwienia. — To nie jest szkoła charakteru, to jest nieludzkie, galerniane niewolnictwo, powtarza sobie nie wiadomo który już raz i nie wiadomo który raz, przyrzeka sobie bunt. I wie, że to iż wytrwał w tym zawodzie bez przerwy, najdłużej ze wszystkich kolegów, to jest właśnie największa jego słabość, słabość niewolnika bojącego się swobody, dziecka drżącego przed samodzielnością. Lub może jeszcze gorzej bo nie słabość woli, ale słabość chęci i zamiarów, degeneracja aspiracji. Wola jest tylko dążeniem do zaspokojenia pragnienia, obojętnie—pozytywnego czy negatywnego. Skoro więc nie ma pragnień nie może być mowy o tym czy wola jest słaba czy mocna; po prostu nie istnieje ona wcale. W tej chwili Tom ma pragnienie odwrócenia się na drugi bok, lecz taki bunt jest nieistotny i nierozsądny, a z perspektywy ładu błędną nateżenia nienawistnych uczuć, pogwary fal zachowują jedynie przyjemne wspomnienia, gotówka spływa łatwo do rynsztoka i znowu jest wszystko jedno. Znow biernie idzie się na statek.

Tom przypomniał sobie kaprała M., z pułku, który piętnaście lat spędził w Legii Cudzoziemskiej, z czego osiem w kompanii karnej. Gdy opowiadał o tych czasach, każde jego słowo ziało nienawiścią. Zdawało się, że człowiek ten resztę życia które mu jeszcze zostało, poświęcił dla tępienia w nieświadomych głowach fałszywego romantyzmu Legii. Zapytany jednak co będzie robił po wojnie, odpowiadał: — Wrócę do Legii. — Jaki? dlaczego? — nie mógł zrozumieć Tom. Stary kapral wruszał na to bezradnie ramionami i z dziecinnym uśmiechem odpowiadał: — Ha, trudno. Nałóg, mus.

Teraz Tom chciałby spotkać kaprała M. i powiedzieć mu, że już go rozumie.

Ale rzeczywistość bije w uszy miarowym stukiem windy, trzeba otworzyć oczy. Do ostatniej chwili trzymało się pod powiekami inny, ciekawszy świat, ale terazniejszość jest zachłanna

i nie godzi się na anachronizmy. Trzeba całą swoją uwagę skupić na wąskim, powierzonym sobie wycinku i odmierzać ją powoli, systematycznie, w takt ciągle jednakowych, zmechanizowanych ruchów. Praca jest prosta i łatwa, ale znużonej myśli nie wolno błądzić pod gwiazdami. Trzeba ją gwałtem wtłoczyć w wzrok, dotyk i słuch. Wszystkie zmysły grają tu rolę, gdyż nawet smak wyczuwać musi pod językiem sól.

Ale trzeba wstać. Ręka półprzymknięta błędnymi jeszcze za papierosem, lecz pierwsze hausty mocnego, grzącego dymu budzą zaspaną trzeźwość. — Aha! — gwałtowny siad, świdrującym bólem przechodząca nad głową, żelazną kantzówkę ożebrowania. — Psiakrew, ciągle ten sam guz! Teraz ze złością już wciąga się sweter i długie, gumowe buty i owijają się szyję wysoko pod brodą, dużą kraciastą chustką. Z kolei z trudem utrzymując równowagę na niepewnych nogach, należy się wkręcić w długą, sztywną i nieprzemakalną koszulę. Resztę możliwych przecieków zabezpiecza opadający na kark kaptur, zwany od najczęstszych na tych morzach wiatrów, "South-west".

Mroźne, niezmiennie białe powietrze przenika przez nozdrza i wprowadza w członki prężną, młodą moc.

Winda przygotowuje się teraz do podejścia drzwi, spod tylnej szubienicy przyszło ostrzeżenie: "marka!" Za chwilę wyłania się ociekająca płyta i — łańcuch, hak, gotowe! — leci ze szczękiem w dół. Potem to samo w przodzie, znów sprzęgło i znowu szpule grubieją o równe, ciasne zwoje. Orczyki. Teraz wyciąg z czasem. Niecierpliwie ręce targają mokry, gruby węzeł i ociekające wodą ćwiartkówki wędrują z ręką do rąk, na podwójny, kręcący się beben. Liny przyzeczony są do spodu sieci i okrągłym ruchem podciągają ją aż pod samą burzę. U nasad znajdują się żelazne, podłużne ogniwa, za które trzeba zaczepić haki wyciągów. Bobinsy. Szereg żelaznych kul przechyla się przez burzę: — Opuść, niżej. "go!" Osiadły równo pod burzą, znowu martwe i już nieszkodliwe. Teraz zakrzywione palce wdzierają się w oka i dra wyprężoną sieć z gardzieli zardrosnego morza. A ono rozigrane, to raz im podda mokry zwis, to znów próbując ich siły, wrywa z powrotem w dół. Wtedy wyprężone grzbiety trzeszczą, na skroniach występują grube skręty żył, a w zakrzywione palce do bólu wpija się nie. Lecz przemyślność ludzka jest podstępna i na powierzchni ukazuje się wielka, żywym mięsem stłoczona bania. Podwójny! Dobry omen i twardy start. Śruba rusza powoli w tył i długa, ruchliwa kiszka wyciąga się wzdłuż burty: Drewniany bosak sprawnie podchwytuje małą, żelazną banieczkę, potem — "jilson", "tygrys" i przez burzę przewala się ogromny, pękający worek. Starszy rybak czeka już przyczajony pod wantami; misterium specjalnego węzła należy do niego. Sypią się z worka długie, obłe cielska miekkokształtnych dorszy i srebrzystych plamiaków. Czasem gładzica zatrzepocze czerwonymi kropkami,

lub majestatycznie przewali się kulbak, król dna. Zawiązany worek idzie z powrotem w morze, znowu wczepiają się palce w rozmoknięte sznurki i nowa porcja ryby rozpryskuje się fontanną w sadzawkach. I znowu "jo-jo", "jilson" i rząd kul i dwa skretne robaki gonące nieodmiennie ciągle ten sam dyktans. Statek zatacza koło z ukosa pod wiatr, idą szerokie bryzgi na skrzepnięte twarze. — Będzie dzisiaj gorąco, woda rośnie! — krzyczy mat w wiatr. Rozstrzępione słowa, opornie wpadają w zasłonięte uszy. Tom kiwa wyzywająco głową. — Co mi tam? — myśli. Lubi te chwile, gdy obok mata stojąc pod okapem mostka, trzyma pewną dłońią krzyżak hamulca i tętniące krwią policzki nastawia szorstkiej pieszczocie wiatru. Szeroko rozstawione stopy mocno wpięra w pokład, a plecyma wyczuwa taniec powiązanych płyt. Należą wtedy do siebie nierozdzielnie, on i statek, dwaj zdobywcy północnych mórz.

Lecz wszystkie uniesienia trwają tylko chwilę, kolej na prozaiczne gatowanie ryb. Stoi się powyżej kolan w oślizgłej, zimnej masie i tłumi zaciśniętymi zębami przenikliwy ból krzyży. Na rozprostowanie się nie ma teraz czasu, a potem ból stępuje, "przyzwyczaj się". Lewa ręka chwyta kolejno coraz to inną rybę, kciuk wbija się pod skrzele, a palec wskazujący szuka oparcia w oku. Gałka oczna jest galaretowata i niemiła w dotyku, ale ryba rzuca się mocno i uchwyt musi być niezawodny. Wbity pod skrzelem nóż pruje miękką, poddającą się skórę, a kciuk krótkim ruchem otwiera krwawe wnętrze. Palce prawej dłoni zgrabiają białą wątrobę, potem dwa cięcia noża i płaskim łukiem przelatuje trup rybi na drugą stronę pokładu. Następnie. I tak w kółko. Błyskają ostrza noży, wnętrzności pryskają wysoko i na pochylonej twarzy miesza się sól morza, pot i rybja krew. Kręcą się obłędne koła rąk, szybciej migają połyski noży, maleje góra wylupiastych oczu i w ostatnim, desperackim wdechu rozwartych pysków. I znowu kciuk, nóż, kciuk, — i szerokim ruchem leżą smrodliwe wnętrzności w kupę pół-żywych ciał. Miesza się wszystko zgodnie: łajno, krew i różnokształtna, żywa, drgająca tkanka. Wolno, beznamiętnie biją w lepka maź mięsiste ogony ogromnych, starych dorszy, obok drży nerwowo, całym ciałem, wrzcionowaty, granatowy czarniak, mienia się srebrem smukłe witlinki, zębacz grozi żelaznymi obcęgi szczęk, złoćce wzbijają sprężystym ruchem tysiące słonych kropli, a tuż obok nawet w skrętnych drgawkach zamiata brudny pokład. Z ogromną głową i trójkątnym, miękkim ogonem, przypomina gigantyczną kijankę. Bramiaste szczęki najeżył setką szpilkowanych zębów, a spomiędzy małych, złośliwych oczu wysunął długą antenę z kropelką fosforyzującego światła; kuszący latarnik niebezpiecznych złud.

Czas nagli obietnicą parzącej herbaty i sztuka za sztuką — coraz częściej zakreśla płaski łuk. Ale żniwo jest bogate i dopiero w połowie sadzawek przeświecają żółte deski, gdy niemiłym

przypomnieniem odzywa się głos skipera: — Zmyć pokład, dziesięć minut zostało.

Strumień wody wdziera się pod rozgniecione jelita i obślizgła masa ścieka smrodliwym rynsztokiem w białą pianę fal. Mewy-czyszcicielki mórż spadły z lotów wyczekiwania i w chwilę potem widać już tylko gromadę stłoczonych piór.

Przy płukaniu rąk, pieką dziesiątki ranek na przezartej, rozmięklej skórze, a zmoczone rękawy trą zimnym, szorstkim komplem po zaognionym przedramieniu. Zadyszane płuca głęboko zaciągają się papierosem, a skołowaciały język liże skrzczone warg. Herbata wlewa się ukropem w przełyk i przyjemne ciepło rozchodzi się po zeszywniałych członkach.

Ale znów z łomotem uderza w burtę odbity blok i znowu winda występuje monotonne sążnie lin.

Tym razem część wyczyszczonej ryby trzeba wymyć i złożyć do luku, gdyż sadzawki po obydwu stronach są już wypełnione. Ekipa schodząca do fishroom'u zostaje w samych tylko koszulach, a i te wydają się być jeszcze za dużym, przygniatającym ciężarem. Chciałoby się skórę zdjąć i pławić nagie, rozpalone mięso w chłodzącej kąpieli. Praca tu jest podzielona. Dwóch "trimerów" rąbie lód i podrzuca go w pobliże ładowanych skrzydeł, a mat i Tom odbierają rybę i przesypują ją lodowym miakiem. Ryba sypie się obfitym strumieniem i tempo przerasta możliwości normalnego pośpiechu. Tutaj pracy nie można zbyć. Trzeba zapamiętać się w niej i rwać ją do kresu wytrzymałości naprzężonych mięśni. Poza kres!... Nic to, że nogi drżą w kolanach i przestając wyczuwać przechyły statku nie stanowią już podpory podwójnie ciężkiego ciała: nic to, że mdlejące ręce nie mogą unieść siekiery, a rozdętych płuc nie chłodzi połykany lód. Nakaz ruchu jest silniejszy. Oczy wychodzą z orbit, twarz płonie, a jeszcze skrzepła złość targana trzonek łopaty i nienawiść odrzuca ogromne ryby w głąb. Aż dziw! To już nie ludzie, ale stalowe części obłąkanej maszyny, której jedynym celem jest już chyba tylko samozniszczenie.

Gdy po odbitym bloku wychodzi się na pokład, stawy naraz wiotczeją i ciało jak miękki worek wali się z nóg. Jest tak, jakby nagle stanął rozpedzony motor, lub jakby z trzaskiem się zerwał przesilony sens. Tylko ręka machinalnie wyciąga się po kubek herbaty i drżąc rozchlapuje ją po trzęsącej się brodzie, a skołowaciała myśl usiłuje nawiązać zerwany wątek: — Dopiero trzeci trał.

Lecz trzeba ścisnąć zęby, schwycić rozdygotane nerwy w garść i dalej ciągnąć, pchać, ciąć rybę i rąbać lód, jakby to był jedyny sens życia i cel. Tom podejrzewa, że tak nie jest, ale właśnie dlatego i dlatego że przez trzydzieści poprzedzających lat życia jego sens zawierał się w wygodnym klubowym fotelu, w książce w cielej oprawie i w tryskającym dociwem towarzyszywie ciekawych ludzi, teraz czuje do wszystkich pogardę. I do tamtych wytwornych i tych cuchnących zdrowym

potem i łajnem ryb. Właśnie dlatego... Stać go na to.

I znów winda, ryba, lód — i znowu winda i znowu lód... i tylko ślina gęstnieje pod językiem, w ustach czuć kloakę, oczy głębiej wpadają w cień brwi, a ruchy stają się coraz wolniejsze, pełne niechętniej, półprzymotnej rezygnacji.

Czterdzieści osiem godzin na pokładzie i w czasie tego tylko pięć półgodzinnych posiłków.

A wiatr rośnie, złe fale pienią się białymi grzywami i ostrzegawczo, złowroźnie, podnoszą stożkowate głowy.

Teraz prócz normalnego wysiłku dochodzi drugi, utrzymania równowagi. Płaszczyzna pokładu kręci się jak rozwirowany bąk i nieprzyjemnym odkryciem staje się bezwładność własnego ciała. Podrzuty są gwałtowne, ostre i w nieodgadniętej złośliwości kryją całą gnomią złośliwość. Wszystko zaś co nie jest na stałe przymocowane, powstaje w piekielnym chaosie, żywe, ruchliwe, jakby Bóg od początku zaczął tworzyć świat. Strach opanowuje zmęczenie, ruchy są znowu uważne, oczy zimno taksują szanse miękkiego ciała. Przedmioty są ciężkie i twarde, a za burtą czyha tańcząca śmierć. Największa ostrożność nie jest jeszcze wystarczająca.

Po kładącym się na boki statku przechodzą góry wody i teraz wyciągnięcie sieci staje się syzyfową zgoła pracą. Stają rzędem czujni, z plecyma wygiętymi w kabłąki i badawczymi oczyma wypatrują w wodzie swoich wrózb. A morze to raz otwiera się przed nimi przepaścią, to ze złowieszczym jazgotem rośnie, rośnie, zakrywa już pół nieba i — przerażenie zastęga w wyczekujących źrenicach — wali się płynną masą, łamie, miesza, gniecie i gwizdząc ze złą uciechą, toczy dalej przed sobą strach. Za sobą zostawia przekleństwo. Śmieszny, stratowany, ociekający wodą człowiek, usiłuje dochodzić swoich praw i niebaczny przestrogi, miota w niebo zuchwałym wyzwiskiem.

Czasem ugnie się twardy rząd i nie czekając spotkania pryśnie w popłochu pod maszynownię. Wtedy jest jeszcze gorzej, gdyż czoło fali ciska człowiekiem o żelazny mur, a dolno idące strumienie zamasyście odbijając się o prostopadłą ścianę, wpadają od spodu pod nieprzemakalny "oil-skin". A na przebranie się nie ma czasu i trzeba od nowa wciągać zgubioną sieć.

Wtedy w sercu rodzi się dziwny, srogi upór, a energię zastępuje desperackie wyzwanie natury, Boga i siebie też. Praca idzie dalej tępo i opornie, co chwila napotykać nową, nieprzewidzianą przeszkodę. W sadzawkach ryba przesypuje się z jednej strony na drugą a niezgrabni ludzie, za długi jacyś i za prości, podobni są do śmiesznych zabawek, którym do ebonitowych nóg poprzyczepiano ółowiane kulki. Tom wie, że w takich chwilach nie wolno stracić głowy i nie wolno zacząć się denerwować. Trzeba zaprzeć się siniakami ud w róg sadzawki i spokojnie, uważnie, uprzedzać ruchy statku i

odgadywać zamiary fal. Trzeba pedantycznie, dziesięć razy podnieść wyrzuconą z kosza wątrobę i sto razy umknąć z twarzą przed nadlatującym zimnym prysznicem. Oczywiście, że praca teraz jest dużo mniej wydajna i nie ma mowy o pójsię spać. Lecz wytrzymałość ludzka zdaje się nie mieć granic.

Sześdziesiąt godzin na pokładzie.

I znowu ryba, wszędzie ryba, jakby nic na świecie nie było prócz ryb. Ryba jest na jawie i w na wpół halucynacyjnym śnie.

Siedemdziesiąt godzin na pokładzie...

Nogi napelnione są ołowiem, ręce zgrzytliwie i niepewnie poruszają się w swoich stawach, a zeszywniały kark nie chce już nosić głowy. Powieki same opadają na niewidzące oczy, a przy śniadaniu szczęka staje w połowie rozgryzionego żółtka. Spać! Za wszelką cenę spać! Chociaż przez chwilę, chociaż przez pół godziny. Tu już kończy się wola wolna czy niewolna, chce się spać. Jest się zwierzęciem, które musi spać. I wtedy śpi się z na pół pokniętym kawałkiem chleba w gardle; krtań śpi i myśl śpi; wszystko śpi. Jest to jak gdyby przerwa w egzystencji, luka, biała karta w zapisanej książce.

Siedemdziesiąt pięć godzin na pokładzie...

— Jak ten ogród pachnie... i ile tu barw. Dziwne, że nie zauważyłem tego nigdy przedtem... I skąd ta jasnowłosa dziewczyna przy ramieniu?.. To jakaś nieznajoma... nie, to tylko już trup... Jakto? przecież się rusza... i razem zbieramy truskawki do koszyka... Ale dlaczego ta truskawka rośnie?.. O, już jest jak dynia... już zakrywa dziewczynę... już wyższa niż dom... Dosyć!.. dosyć!.. Stop!.. Szarpnięcie, a potem trzask. To odbity blok. — Zaczepiliśmy, a ty bredziłeś coś, śpiąc — mówi Bill. Tom nie rozumie jeszcze o co chodzi i gdzie jest i z żalem myśli o dziewczynie, która już drugi raz w życiu od niego odeszła. Ale to był przecież tylko sen.

Cieężko pracuje winda, przerywa gdy fala się usuwa, a potem znów podbiega, gdy pokład idzie w dół. Statek drży na całym cielem, biedny teraz jakiś, jak uwięziony ptak. Liny zwisają pionowo i przy przechyłach w tył, naprężone, grożą pęknięciem. Trzeba wyłączyć tylne sprzęgło i wyrwać najpierw przód. Ciaśno nawija się lina, trzeszczy, staje, — załomotała winda, puściło. Teraz szybko już podchodzą orczyki i nawet ciągnięcie sieci idzie jakoś lżej... — Aha, poszło "belly", przednie skrzydło i w worku nie ma ryb.

Waha się w decyzji skiper, pomruk idzie przez załogę i gniewnie błyskają oczy. Wreszcie padają rozkazy: — Skrzydła i drzewy w górę, a potem ryba. Ostatnia przyczajona energia wyskakuje nagle nie wiadomo skąd i w półtora godziny potem, zanim statek zdążył wjechać w fiord, ryba jest już w lodzie. Widząc pierwszy raz od trzech dni czysty pokład, cień zadowolenia zrodził się gdzieś pod sercem i wykwitł na ustach bladym uśmiechem.

Półprzutomnie jeszcze rzuca się kotwicę, i już w połowie trapu rozpoczyna się sen. Z zamkniętymi oczyma ściąga się gumowe buty i "oil-skin" i bezwładnie, jak kłoda, tonie w upragnionym bezczuciu.

Nie ma już czasu na papierosa...

III. Odprężenie.

W dwie godziny później, kucharz na próżno usiłuje obudzić nieprzytomną załogę i przypalony obiad bez wstydu idzie w morze. Dopiero piekielny hałas kotwicznego łańcucha połączony z wyzwiskami mata, jest w stanie wywołać w zamglonych białkach przebłyski zrozumienia.

Ale pierwszym konkretnym uczuciem ściągającym człowieka na ziemię, niestety aż zbyt niedelikatnie, jest dopiero suchy, piekący ból dłoni. Tom przypomina sobie profesora chemii z gimnazjum, starego dziwaka noszącego zawsze kolekcję kamieni w kieszeniach, którego ulubionym dowcipem, było! — Sól jest hygroskopijna dlatego, bo jest jej słono i ma pragnienie. "O tak, miałeś rację staruszk, ale jak bardzo chce jej się pić, o tym nie tylko ty, ale nawet cała Sorbona paryska nie ma zielonego pojęcia".

Stawy palców dosłownie zaschły w pozycji w jakiej je chwycił sen i wykluczone jest jakiekolwiek ich zgięcie lub wyprostowanie. Gdyby nie parzący ból stu rozognionych ranek, miałyby się niepokojące podejrzenie, że zamiast palców ma się wiązkę suchych szczap. Szczególnie nieprzyjemne jest doknięcie wełny, wciągnięcie więc swetra i długich skarpet powoduje świerzbienie w zagryzanych wargach. Prawdziwą ulgą staje się dopiero zanurzenie rąk w zimnej, morskiej wodzie.

W międzyczasie wiatr nieco przycichł i można w czasie powrotu na łowisko reperować sieci. Nic jest szorstka i ostrymi włoskami razi co chwila pociętą skórę, ale Tom lubi tę robotę; jest przynajmniej czysta i daje złudzenie samodzielności. Można krajać dziury jak się chce, a przy tym można myśleć o własnych przyjemnych sprawach.

Statek przechodzi teraz przez wąską gardziel fiordu i można kamieniem dorzucić do pasących się na brzegu owiec. Brzeg jest urwisty i tarasowato schodzi do morza, obnażając przerosłe zielenią czarne warstwy, świadczące wyraźnie o osadowym pochodzeniu gór. Zbocza pocięte są głębokimi żlebami strumieni i nad tarasowatymi stopniami wykwitają białe pióropusze wodospadów. Szczyty są jeszcze pod śniegiem i powietrze drży walką ich zimnych prądów, z ciepłymi, nizinnymi.

Charakterystyczny jest brak drzew, które tu ze względu na płytką glebę nie mają wystarczającego zaczepienia. Tym dziwniej więc wygląda niewielka osada, zbudowana cała najwyraźniej z drzewa. Domki są maleńkie, czyste i kolorowe i wyglądają zupełnie jak miasteczko lalek, lub jak wzorowe minia-

turki na plastycznym stole. Schludnie tu jest i przyjemnie, tylko jakby za bardzo familiarnie. Wydaje się, jak gdyby w skutek braku ogrodów i cienistych zakątków, nawet różnokolorowe ściany nie stanowiły zapory dla ciekawego oka bliźniego. Taka wieś z konieczności musi być gromadą i niebezpiecznie byłoby w niej kochać grzech. We fiordzie jest zacisznie i statek idzie gładko, ale na pełnym morzu wiatr burzy pianę. Załoga mruczy więc z cicha, tym bardziej, że jest ciągle jeszcze niewyspana. Ale na tym się kończy, bo "skiper jest dobry i robi pieniądze". W praktyce wygląda to tak, że skiper rzuca bez względu na pogodę i wysysa do ostatka wszystkie siły ze statku i załogi; jest jak to się mówi „rzeźnikiem”. Wszyscy jednak uważają, że to jest w porządku, bo w tym kraju pieniądź jest jedynym miernikiem wartości, choćby to nawet był pieniądź robiony nie dla siebie. Ludzie zrobili tu sobie z niego jedyny cel i nawet wilcze prawa są dobre, gdy chodzi o brzęczącą monetę. Rzecz jasna, że w tej monetarnej klasyfikacji nie ma miejsca na bezinteresowne wartości grupowe, lub choćby rodzinne. Kucharz ma 63 lata, do sześćdziesiątego roku życia pływał jako mat. Zarabiał dobrze, teraz jest już za stary. — Dlaczego więc ciągle jeszcze pracujesz? — pyta Tom. — Pieniądze były na nazwisko żony — odpowiada — w zeszłym roku umarła i w testamentie zostawiła wszystko dzieciom. Było tego ponad pięć tysięcy! — A co dzieci robią? — O, dzieciom dobrze się powodzi — mówi kucharz — jeden syn jest adwokatem, drugi ma sklep, a córka wyszła za architekta w Birmingham. Ona jest najbogatsza. Ma piękny dom, dwa samochody i stajnię wyścigową. — Jakto, i ty ciągle jeszcze musisz pracować, nie możesz siedzieć z nimi? — dziwi się Tom. Kucharz nie rozumie. — Mam jeszcze dwa lata do pensji, — odpowiada — a do tego czasu muszę jakoś żyć.

Tom przypomina sobie teraz Mrs. P., swoją ostatnią gospodynię, egzaltowaną przyjaciółkę Polaków. Mrs. P. jest stara, schorowana i mieszka sama w ogromnym, zapuszczonym mieszkaniu. Jej syn wskutek trudności mieszkaniowych, gnieździ się z żoną i dwojgiem dzieci w jednym małym pokoiku wynajętym u obcych ludzi. — Bardzo tam ciasno mają — opowiada Mrs. P. — i szkoda mi ich. Ja nawet lubię Betty, i mogliby mieszkać u mnie, ale ja nie mogę się zgodzić w kuchni z inną kobietą. It is terrible!

Tom mieszkał kiedyś pod Aberdeen, w ślicznym, wiejskim hoteliku Deeside, należącym do Mrs. C. Mr. C. był kiedyś skiper'em statku rybackiego, zarabiał świetnie i wszystkie swoje pieniądze posyłał żonie. — Ten hotel kupiony jest za moje pieniądze — mówił z dumą Mr. C., ale teraz Mr. C. jest ogrodnikiem u własnej żony, zarabia 2 £. tygodniowo i utrzymanie, a kiedy przed wypłatą zabraknie mu pieniędzy na szklanek piwa, żona bez słowa pokazuje mu ręką duży, umieszczony na głównej ścianie, rymowany napis:

Kredytu udzielałam,

Zebrałam.

Zmądrzałam,

Na kredyt dawać przestałam.

— Tak, w tym kraju kredytu nie udziela się, trzeba za wszystko z góry płacić — konkluduje Tom.

O trzeciej rzucono sieć. Znowu dwie godziny snu, Billy tylko klnie, bo to jego wachta.

Pierwsze trzy dni połowów w dwudziestu ośmiu "strzałach", dały 1400 koszy. Teraz ryba idzie wolniej i przed każdym ciągnięciem zostaje czasem piętnaście minut, a czasem nawet pół godziny, na sen. Za to barometr ustalił się na "zmianę" i wiatr ciągle waha się między "umiarkowanym" a "silnym". Pas Atlantyku pomiędzy 60 a 70 równoleżnikiem północnym, jest terenem ciągłych starć cyklonów i antycyklonów, które nawet w tej porze roku powodują, długotrwałe i silne wiatry. Gorzej jest w jesieni, w zimie i na wiosnę. Wtedy nawet największe trawlerzy nie mogą łowić i leżą całymi dniami, lub "dodge'ują",*) czekając na łaskawszą przepowiednię pogody.

Najtrudniejsze do przełamania są pierwsze dni połowów. Teraz, po gwałtownym przesileniu umysły obojętnieją, ciała przystosowują się do nieustannego wysiłku i wszystkich ogarnia tępa rezygnacja. Przestają już czekać na "niespodziewane" i krzepną, twardnieją w monotonności nieustannego wysiłku. Nie rachuje się już nawet dni, nie ma niczego co by zaznaczało noc, słońce bowiem przesuwając się płaskim łukiem, schodzi na dwie godziny tylko poniżej widnokregu, utrzymując przez cały czas jednakowe niemal światło. Gdyby nie uczciwość kucharza, można by zawsze jadać tylko kolację. Wydaje się jakoby koło czasu zatrzymało się nagle w swoim najbrzydszym miejscu i złudzeniu temu zaprzecza tylko powolne, lecz ciągle napełnianie się "fishroom'u". Potok spływających pod pokład kadłubów, przerywa tylko pedantyczna klepsydra stukającej windy.

Nawet w długim i jednakowo dokuczliwym bólu wbijanej pod paznokcie szpilki, można doszukać się z czasem przyjemności. W chwilach więc wytchnienia toczą się normalne rozmowy, przewijają dziewczęce twarze, a czasem nawet nieśmiało tryska blady śmiech. To wścibskie życie dopomina się o swoje prawa, nie można z nim tak łatwo zerwać więzów krwi. Tylko Tomowi jest trudno zdobyć się na uśmiech. Oni są tu między sobą, mają wspólne męskie plotki, ambicje i nienawiści, wspólne zainteresowania i ich własny świat; on jest obcy, "foreigner", "Pole". Oni mają niemal swój kompletny dzień, on ma tylko pracę i samotność. Wprawdzie szanują go za fachowość, lojalność i fizyczną siłę, czują respekt dla jego "wiedzy", ale nie ma między nimi wspólnego języka, on nie jest jednym z nich.

*) Leżenie polega na utrzymaniu statku ze stojącymi silnikami, bokiem do fali; "dodging", na utrzymaniu go na najmniejszych obrotach pod wiatr.

Toteż podświadomie szuka w łączności z morzem rekompensaty za swoje opuszczenie. Czasem udaje mu się wywołać na jego srogiej twarzy uśmiech porozumienia i wtedy przez chwilę nie czuje się intruzem. Pozawierał znajomości z mewami, karmi je, przejmując się ich podwórkowymi sporami i wzrokiem towarzyszy im w ich beztroskich, radosnych lotach. Najbardziej lubi małe Kittiwakes*), białe, puszyste kłębuszki ze ślicznie na czarno obramowanymi skrzydełkami, przypominające bardziej symboliczne gołąbki miłości, niż drapieżne ptaki północy. Gdy gromadą przylatują do jego ręki po kawałek rybiej wątroby, czuje się jak młody chłopak i pieszczotliwie strofuje je. A one kręcą roztropnie główkami i ufnie patrzą mu w oczy, dłużej jakoś gmerają się przy otwartej dłoni. Chyba lubią go.

Pobłaźliwie spogląda na kłótlive "Fulmarr'y",**) które rozgda-kane, szeroko siedząc w wodzie, zawsze w rajcujących stadach, przypominają plotkujące praczki, lub zacierzewione nad ziarnem kury. Jest to niewątpliwie miewi plebs, o brudnej, szaro-brązowej, nieokreślonej barwie, z krepymi, z szyją zróżnionymi skrzydłami; parobczasto zadzierzasty w gminnych, przyziemnych zainteresowaniach.

Czasem Ganet***) zapuszcza się aż tutaj w swych samotnych łowach. Szybuję górną, majestatycznie, świadom swej mocy, największy, królewski ptak tych wód. Wypatrzył w morzu żer, wyciął płasko skrzydła i leci w dół. Nad wodą składa pióra i z wyciągniętą długą szyją zakończoną mocnym, szpiczastym dziobem, wygląda jak pocisk i jak pocisk nurkując głęboko, tnie wodę białym długim śladem. Po chwili wyłania się na powierzchni dumny, spokojny, z wdziękiem łabędzia w wygiętej szyi, doskonalny w linii i barwie. Przy nieskazitelnej bieli wyraźniej odbijają się trójkątne, czarne koniuszki skrzydeł, czarny dziób i łukowata osada oczu oraz żółta głowa i górna część szyi. Rysunek jest tak dokładny, że w niezamąconej perfekcji bardziej wygląda na fantazję malarza, niż na żywe dzieło przyrody.

Przy następnym holu sieć niepokojąco lekko wychodzi na pokład. Aha, porwany cały worek, a prócz tego w belly i skrzydłach dziury. Skiper położył statek lewą burtą pod wiatr i wściekły, poszedł spać. Roboty jest na kilka godzin. Przy sieciach zostaje mat, starszy rybak, Joe i Tom. Billy nawija igły, a reszta idzie do gotowania ryb.

Tom zabrał się do tylnego skrzydła. Musi najpierw podcerować brzegi dziury, a potem wstawi dużą łatę. Później zrobi "splajs" na przewencyjnej linie i zawiąże kilka "sytynsów". Podwiesił sieć na hakach przy poręczy, naostrzył nóż i szyje.

*) Polska nazwa: acewia trójpolewska.

**) Polska nazwa: "Fulmar".

***) Należy do rodziny pelikanowatych, główne jego siedlisko jest na św. Kildzie, skąd wychodzi na bardzo dalekie czasem polowania. pols. Głup.

Bołą go zgarbione plecy, pieką ręce, lecz igła kreśli coraz szybsze zygzaki i zostawia za sobą równy, biały ścieg. Wreszcie sieć załatana, a i rybę już w międzyczasie uprzątnięto z pokładu; będzie można znowu spać całe dwie godziny. Lecz tym razem Tom ma wachtę i on jeden będzie musiał czuwać.

Dostaje od skipera kurs, gderliwą przestrożę na drogę i zostaje sam na mostku. Cieszy się, że przynajmniej jest sam, będzie mógł sobie pozwolić na nieuwagę i puścić luzno wodze myśli. Łowisko jest duże i niemal puste, a na ster zakłada się sznurowe zaczepy i statek sam utrzymuje kurs. Od czasu do czasu tylko rzuca się okiem na kompas i jeśli trał wypaczył kierunek, należy poprawić ster.

Teraz można wcisnąć się między skrzynkę echo-sondy i telegraf maszynowy i pozwolić ciału odpoczywać. Skurczone mięśnie wiotczeją z wolna, pierś chwytą normalny pełny oddech i w całym jestestwie czuć błogie odprężenie. Świat jakby zmalował nagle i zbliżył się. Nawet zachmurzona twarz nieba rozjaśniła się uśmiechem słońca, wiatr nie świszczuje już, ale śpiewa, a złaskawiałe morze pieszczotliwie liże boki statku. Oczy leniwie błądzą po rozkołysanej powierzchni i krew zaczyna krążyć w takt jej harmonicznego ruchu. Jest tak, jakby się wypiło szklanekę mocnego wina. Uwolnionej i jasnej myśli wszystko wydaje się proste, zrozumiałe i bliskie. Znikają nierozwiązalne problemy. Tom dziwi się nagle, że przez trzydzieści lat życia budował mozolnie i uczenie całą swoją filozofię, podpierał pekające ściany, usuwał gruz i właściwie nie zbliżył się do Prawdy ani o jedną cegłę, a teraz, w jednej chwili zrozumienia przejrzał, odkrył intuicją tajemnicę istnienia. Szkoda tylko, że nie może jej sformułować i zapisać, ale słowa są niewystarczające; za ubogie i za ciężkie, by mogły nadażyć myśli. Właśnie trzeba je zniszczyć. Trzeba rozbić w proch i usunąć wszystko, czym fałszywa ludzka pycha odgradziła się od natury. A potem trzeba wyciągnąć tyłko czystą, zawiścią niesplamioną rękę. Światłość bytu jest wszędzie, w tęczowym rozprysku białych grzyw, w zrzeszeniu chmur w aureoli słońca wiszącego nad zachodem, a nade wszystko w nieustannym ruchu fal.

Bo cokolwiek jest, jest w Bogu i bez Niego nic nie może być, ani być pojete*)

IV. Powrót.

Gdy własnym żarem zmęczone słońce zbliża się do wieczornego upoju,
Kosiarze różnie spoglądają na ostatni łan
i dźwięczniej śpiewają kosy.

Rejs zbliża się do swojego końca, w powietrzu czuć radosną niecierpliwłość. Co chwilę ktoś pyta palaczy, ile jeszcze węgla zo-

*) Spinoza: "Bóg, Natura, Konieczność".

stało, ktoś zagląda do fishroomu czy jeszcze jest lód. Coraz częściej sypią się żarty i wspomnienia ładu, niektórzy zgadują, kiedy statek przybije do portu i kiedy wyładuje rybę. Nikt nie pyta kiedy wyjdzie na następny rejs...

Najpopularniejszą osobą jest kucharz, który ma kalendarz, no i dlatego że on zawsze wszystko pierwszy wie. Lecz teraz nikt nie wie jeszcze dokładnie "kiedy" ,nawet on. Skiper datę powrotu utrzymuje w ścisłej tajemnicy, może dlatego, że on także nie wie sam...

Dopiero świecące, świeżo ogolone policzki skipera, zadecydowały, że to dziś. Skiper goli się zwykle na dzień przed końcem połowów, lecz z reguły sam nie wytrzymuje nerwowo napężonego oczekiwania i już po drugim czy trzecim holu, zarządza zwinienie "messenger'a". W takim wypadku nie ma już żadnych wątpliwości i trzymający wachtę idzie z radosną nowiną do koksla. Ostatni raz zegną się plecy przy gotowaniu ryb, ostatni raz ubierze się oblepiony krwią, cuchnący "oil-skin".

Likwidowanie pokładu idzie już sprawnie i wesoło i ktoś nawet ochotniczo podejmuje się rąbania lodu. Pracujący w fishroom'ie muszą jeszcze pokryć rybę na wierzchu grubą, ochronną warstwą lodu i ostatnie zapasy sił wspaniałomyślnie oddaje się do pomocy kolegom. Wesoły człowiek miewa nawet czasem serce, smutny ma tylko jad...

Po śniadaniu zaczęły się normalne wachty, a wolni poczeli się golić i myć. Wydawałoby się prozaiczne i codzienne zajęcie, — o tak, codzienne, pierwszy raz od szesnastu dni. Śmiesznie wyglądają teraz białe i świąteczne jakieś twarze. Oczy przywykły już do brudu i zarośniętych bród i w tym nowym widoku ze zdziwieniem odnajdują indywidualne cechy: zmarszczki, załamania, lub dołki na policzkach. Zupełnie jak u ludzi...

Teraz foksel rozbrzmiewa nie tylko rozmowami, ale nawet piosenką. Gwiżdże się sentymentalne, taneczne melodie, głośno opowiada plany, snuje marzenia jak się spędzi wolne dni. Często też liczy się ile jest razem ryby, ile płaskiej, ile dorsza, a ile plamiaka i ile można za nią wziąć. Oby tylko dostać kontrolowaną cenę wyraża się pobożne życzenia. To nie wszystko złapać rybę, trzeba ją jeszcze przywieźć i dobrze sprzedać. Czasem cena nie opłaca kosztów.

Lecz przy wyładowaniu pierwszego, gromadnego entuzjazmu, potrącono o osobiste struny. Każdy więc w własnej koji gromadzi własny świat i zazdrośnie zamykając go powiekami, wiedzie z nim długie rozmowy. No i nareszcie można teraz spać i można rozebrać się pierwszy raz od kilkunastu dni. Pięć godzin stoi się w sterówce, dwie je, a siedemnaście śpi. I znów następny dzień snu.

Statek zaś jak koń czujący stajnię, szybciej rozbija grudę fal. Dnie są z powrotem krótsze, słońce przy zachodzie stawia kolorowe kabały, a nocami znowu świecą gwiazdziste drogowaskazy.

Coraz częściej też spotyka się idące na pomoc statki i posyła się im myślami współczucie. One dopiero idą...

Pod Faroe statek wchodzi w ostry szkwiał i jest trochę nieprzyjemnie. Jest noc, gęsty deszcz i widzialność zero, a kręci się sporo rybackich statków. Skiper przez cały czas tkwi na mostku i usiłuje przebić wzrokiem czarną i grubą zasłonę. Niepokój okazuje się w pełni usprawiedliwiony, bo nagle tuż przed dziobem wyskakuje zielone światło. Jest chwila zamieszania, mat kręci sterem na prawą burzę, skiper na lewą, ale kończy się na przekleństwach.

Wprawdzie przepisy ruchu na morzach nakazują parowym statkom w mgle dawanie sygnału co dwie minuty, ale inteligentni i leniwi skiperzy, rozumują: — Wszyscy słuchają przepisów. Skoro więc jest cisza, to znaczy, że jestem tutaj sam. Po co zatem mam trąbić? Odpowiem jak usłyszę sygnał innego statku. Rezultat jest taki, że najczęściej spotykają się właśnie dwaj rozumujący jednakowo.

Od tej chwili obydwie syreny buczą już regularnie. Nie tylko Polak bywa mądry po szkodzie.

Wreszcie po godzinie denerwującego nawigowania na słuch, znowu widać bladą twarz księżycy i skiper może iść spać. Po szkwale powierzchnia wody wygładziła się granatowym blaskiem i jest jak lustro — jak tysiąc płynnych luster, z których każde odbija w sobie cały świat. Morze zmienne jest jak piękna kobieta i jak ona, żąda miłości i podziwu. Teraz z powrotem jest dobrze i zacisznie, znowu stanowi się centrum rozmruganej świeatełkami kopuły. Gwiazdy są w górze i w dole, a na niewidzialnym horyzoncie świetlne żorawie ustawiły się w okolny sznur. Najpierw dwa małe świeatełka to tułów, a potem jedno w górze i lekko w przód, jak połysk żółtego oka na przedłużeniu wyimaginowanej szyi. To statki rybackie, które w czasie połowów noszą na przednim maszcie 360° widzialną latarnię. Prócz niej jest jeszcze druga trójkolorowa, ale z większej odległości nie widać jej.

Jest cicha, zadumana noc, pełna szeptanych czarów. Czasem, z rzadka dysonansem wkradnie się rozbłyszcany lampion pasażerskiego statku i umknie jak lekki motyl, pyszny i nieuchwytny. Tam ludzie są beztroscy, bawią się i nudzą się...

O świcie drugiego dnia, na nieskazitelnym horyzoncie zacieśnia się szary wąski obłoczek. Ład. Magnezem ciągnie oczy, rośnie, pęcznieje, aż wreszcie formuje się w dwie grupy gór. To Pentland Firth. Teraz już widać niską linię brzegów, spiętrzoną gdzieniedzie w białe, popękane skały.

Jeszcze pół godziny i: Stop! Ster na całą burzę, pod wiatr!

Skiper schodzi na dół, — po śniadaniu wchodzimy — mówi. Czeką się na przypływ. Cieśnina jest wąska i płytka, a prądy opływowe są silne i można łatwo sięść na mieliznie.

Na mostku zostaje mat i Tom. Poranne słońce przenika ciało przyjemnym lenistwem. Jest ciepło, otwiera się okna i niewi-

dzającym spojrzeniem muska niebieską falę i żółty brzeg. Linia piasku jest porwana i z lewej strony wybiega w morze grupa zwietrzałych skał. Wysepka jest niska i pocięta białymi rozpryskami wody. To morze na pozór obojętne prowadzi swą odwieczną walkę z lądem.

— Skerry's Rock, — mówi mat. Przykucnięty na mechanizmie sterowym, żółtym palcem co chwila przyciska gasnącą fajkę i strzyka na boki gęstą, brązową śliną, obnażając przy tym skurczone, bezzębne szczęki. Zamyślony, patrzy na skały. Sieć zmarszczek promieniście zbiega się pod brwiami, a w wypływających, bezbarwnych oczach tli zmieszane przypomnienie jakby wyzwania i żalu. Zwiędłe policzki zasysa dymem i z głośnym mlaśnięciem spłowiących warg, odrywa raz po raz krótką, przepaloną fajeczką. Ruchy ma celowe, wolne i celebryje bardziej niż pali.

— Przez te przeklęte skały jestem starym kawalerem, — rzuca w przestrzeń, do nikogo, jakby się kłócił z cieniem minionych lat.

Tom również milczy, tylko łukiem zdziwienia unosi brwi. Trudno wyobrazić mu sobie ten zasuszony okaz jako kawalera, obojętnie młodego czy starego, a już wręcz śmiesznie, paradoksalnie wyglądałby usztywniony w granatowe, świąteczne ubranie, eskortujący grubą, pulchną jejmość do kościoła. Nie, to niemożliwe, skrzywia się w uśmiechu. Ludzie tak związani z morzem, z konieczności sami muszą pić mętne piwo lądowego życia.

Ale maci też kiedyś bywali młodzi.

Znowu odkłada fajkę, strzyka brązowa śliną i jakby skupia się w sobie. Tom wie, że teraz już na pewno popłynie nabrzmiałe wspomnienie. Bo musi, bo krzywda ludzka nigdy nie jest za często wypominana Bogu:

— Było to dawno temu — snuje starczy głos — w 1908 roku, kiedy to niewiele jeszcze było trawlerów w naszym porcie i stary Davidson był największą firmą. Ja byłem wtedy młody, ale od dawna uchodziłem już za dobrego mata. Jakoś na wiosnę pozdawałem egzaminy skiperskie i Davidson obiecał mi u siebie nowy statek. Miało to być moje pierwsze samodzielne do wodzenie, ale miałem przecież zostać zięciem Davidsona i w przyszłości może objąć po nim firmę. Stary kochał mnie jak syna i miał do mnie nieograniczone zaufanie. Mawiał zawsze, że we mnie wynagrodził go Pan Bóg za córki. Miał ich aż dwie, jak łanie. Mary była już mężatką, ale w młodszej kochałem się ja. Na imię jej było Ela, była dobra, ładna i kochaliśmy się jak szczęśliwe dzieci. Zawsze byliśmy razem i tak świata nie widzieliśmy po za sobą, że aż ludzie kręcili głowami, przewidując nieszczęście. I wykrali je.

— Mieliśmy się pobrać w zimie, po moim pierwszym skiperskim rejsie. Statek przyszedł w październiku, nazywał się Bracconlynn. Stary odkupił go od braci Yolland z Lowestoft, ale

był jeszcze w dobrym stanie i mieliśmy z miejsca wyruszać w morze. Dostałem doświadczonego i dobrego mata, młodą i pracowitą załogę i wszystko zdawało się układać jak najlepiej. Sam dopatrzyłem zaopatrzenia. Wzięliśmy wszystko nowe, szliśmy bowiem pod Islandię. W owym czasie, mało kto zapuszczał się tak daleko, nie było jeszcze echo-sond i radia, ale ja chciałem zrobić swój pierwszy dobry trip. W tamtą stronę zaszliśmy gładko. Pogoda była, jakby się coś popsulo w ziemskim kalendarzu i w osiem dni załadowaliśmy pełen fishroom i to połową płaskich. Razem 2500 skrzyń.

— Chciałem być w domu na piątkowy targ, w niedzielę więc nad ranem wyciągnęliśmy ostatni hol. Ale tu od razu zaczęło się coś psuć. Najpierw mieliśmy dwa dni silnego SW, a potem przez cały czas mgłę. Ale to taką, jaką czasem diabeł rozpostrze o tej porze roku, chcąc zmylić drogę odlatującym na południe ptakom.

— Oczywiście pod Pentland przyszedliśmy za późno i od nowa musiałem obliczać przypływy. Była pierwsza w nocy z czwartku na piątek i za dwie godziny według mojego rachunku miała się zacząć wysoka woda. Kazałem się więc matowi obudzić o czwartej i jeszcze raz w Almanachu sprawdziłem tabelę pływów. Wszystko się zgadzało, o piątej będzie można wziąć kurs.

— Nad ranem podniósł się silny wiatr i rozpuścił wprawdzie mgłę, ale podniósł falę i zaczął zacinać gęstym kapuśniakiem. Widzialność była ciągle zła. Polegając więc już tylko na wyzuciu, trzymałem się jak najbardziej lewej strony cieśniny. Wiatr wprawdzie był South, ale przy nowiu jest tu bardzo silny prąd przypływowy i liczyłem, że zniesie mnie on na środek.

— Coś było jednak nie w porządku. Od początku mat zauważył, że idziemy za bardzo w lewo, ale ja wierzyłem rachunkom i szczęściu. I wtedy zaczęło się.

— Właśnie Jack, stojący przy lewym otwartym oknie zaczął mówić, iż zdaje mu się, że słyszy huk fal, gdy naraz światła zgasły i mnie rzuciło ostro w przód. Próbowałem chyba coś krzyknąć, ale głos nie dobiegał do moich uszu. Łomot był tak wielki, jakby sto okutych nóg waliło razem w pustą, żelazną beczkę. Potem trzask i jeszcze jeden wstrząs i nic. Cisza. Tylko od spodu słychać było szmer przeciekającej wody.

— Muszę przyznać, że nie wiedziałem o co chodzi. Był to mój pierwszy w życiu statek i pierwsza awaria.

— Czasu było na wszystko dość, mat spuścił szalupę na wodę, a ja, pamiętam jak dziś, pozbierałem jeszcze trochę drobniaków z kabiny, Almanacha, mapy i "log-book". Potłuczony był palacz George i "chief", miał złamany obojczyk. Reszta wyszła bez śladu, tylko ja miałem na czole dużego, piekącego guza.

— Rano zabrał nas "coaster" do Aberdeen.

— W tydzień potem odebrano mi bilet skiperski i wyjechałem

na kargowcu do Indii, jako drugi mat. Na pięć lat. Nie chciałem już widzieć Eli.

Żółta ślina znów chlapnęła głośno o podłogę. Dopiero po dłuższej chwili Tom odważył się przerwać odmierzane pykaniem milczenie.

— A co było właściwym powodem?

— O, komisja szukała, badała i wydała orzeczenie, że 29 października, w piątek, o godzinie 5.30 rano, w Pentland Firth była połowa odpływu. Najsilniejszy prąd.

— Jakto? A Twoje obliczenia?

— Almanach był z 1907 roku. Zostawił go poprzedni skiper. Mam go jeszcze, pamiątka.

Tom patrzył się z powrotem w morze, jakby szukał w nim sterczących szczątków Braconlynn.

— O, nie ma już śladu po nim — powiedział mat — burze rozbiły go dawno, a fale rozniosły po świecie. Siedział tak, że i dwa holowniki nie dałyby go rady ściągnąć. Rozumiesz, prąd, wiatr i pełna, wszystko w tym samym kierunku.

— A co Ela?

— Ot jak kobieta, popłakała i w rok potem wyszła za księdza. Ma dwie dorosłe już córki i jest panią pastorową.

Wieczorem, razem z pierwszymi światłami, statek wchodził już do portu. Mola pełne były spacerujących letników i rybacy drwiąco, z pogardą spoglądali na tych, którym pod nogami grunt się nie ugina i którzy zawsze wiedzą, gdzie będzie ich grób.

Formalności celne trwały krótko i w chwilę po tym leccy, beztroscy, przekrzykując się na pożegnanie, rozproszyli się po porcie.

Tom przyłączył się do mata: — Gdzie idziesz? — Pod Koronę. Poszli razem. Za chwilę już siedzieli w długim, zadymionym barze.

— Co pijesz?

— Chyba rum.

— Dwa rummy i dwa pint'y!

Słów było mało, za to uczucia wiele. Prężyła się pierś poczuciem słusznej dumy, oczy wyzywały buńczucznie cały świat, a w sercu mile drżała zapowiedź przygody, jakby po nią trzeba było wracać aż na brudny ląd.

Tylko gdzieś, głęboko, odpychany rozsądek brzęczał natrętnym głosem: — Znowu zaczynasz? A przyrzeczenia, obietnice?... wstyd?...

— Cicho! Należy się, nie plosz złud...

Kazimierz Stanisław DZIURMAN.

Archiwum polityczne

Życie ekonomiczne w Polsce

Przyjęcie przez Redaktora "Kultury" nieostrożnej propozycji napisania artykułu na temat stanu ekonomii w obecnej Polsce postawiło mnie w trudnej sytuacji. Nie łatwo jest napisać o takim temacie, opierając się tylko na źródłach drukowanych, a nie słysząc tego, co się mówi w dyskusjach ekonomicznych w kraju, a zwłaszcza w rozmowach prywatnych. Od półtora roku mego pobytu w Ameryce echa tych dyskusji nie dochodzą mnie nawet w okrucach. Oddalenie od kraju ma w tym wypadku jedną zaletę; ocena moja pozbawiona wpływu elementów pobocznych, związanych z dokładną znajomością układu personalnych stosunków i wpływów może być bardziej obiektywna. Obiektywizm w omawianiu prac ekonomicznych, zwłaszcza z dziedziny polityki gospodarczej może być zawsze, i nie bez racji, kwestionowany. Jest zresztą rzeczą niemożliwą uniknąć w artykule, który nie jest suchą recenzją, akcentów politycznych. Postęp i rozwój nauki ekonomicznej jest, nawet dla nie marksisty, związany z postępem i rozwojem gospodarstwa, toteż konieczne jest podmalowanie tła gospodarczego i warunków politycznych w jakich się ta nauka obecnie rozwija.

Pisząc zagranicą o obecnych publikacjach gospodarczych w Polsce jest się wystawionym na specjalną trudność omawiając prace, w których szczerłość i uczciwość naukową trudno uwierzyć. Ludzie, którzy przeszli tylko okupację niemiecką nie mogą ocenić granic odporności psychicznej tych, którzy pozostali w kraju. Z tych względów, jak również z innych, zrozumiałych powodów, będę, o ile możliwości, unikał cytowania nazwisk osób żyjących.

Zanim przystąpię do omawiania obecnego stanu nauki ekonomii w kraju wydaje mi się konieczne omówić pokrótce tendencje jakie w nauce i publicystyce gospodarczej w Polsce nurtowały bezpośrednio przed wojną i przemian zaobserwowanych w kraju w okresie okupacji niemieckiej.

W dużym skrócie wachlarz kierunków przedstawiał się w latach trzydziestych następująco:

Kierunek liberalny reprezentowany był przez szereg uczonych. W Krakowie obok prof. Adama Krzyżanowskiego działał rozstrzelany przez Niemców w 1941 prof. Adam Haydel, w Poznaniu prof. Edward Taylor i zamordowany w Katyniu prof. Janusz Libicki, na terenie Warszawy, zmarły w Oświęcimiu prof. Rybarski obok szeregu innych. Spośród publicystów tego kierunku na pierwszym miejscu wymienić należy ortodoksyjnego liberała jakim był Ignacy Matuszewski. Wśród osób zaliczanych do kierunku liberalnego istniały oczywiście znaczne różnice nie tylko w sensie politycznym, ale także w ujmowaniu zagadnień naukowych. Wspólne było im natomiast krytyczne spojrzenie na rzeczywistość gospodarczą Polski przedwrześniowej i na środki stosowane w tej dziedzinie, zwłaszcza w ostatnich latach. Choć wymienieni uczeni posiadali oddanych uczniów i wielu przyjaciół wpływ ich na opinię, a zwłaszcza na kształtowanie się polityki gospodarczej był w latach przedwojennych nieznaczny.

Trudno mówić o katolickiej szkole ekonomicznej w czasach przedwojennych. Z przedstawicieli tego kierunku wymienić należy zmarłego w 1946 prof. Ludwika Górskiego. Dla porządku wspomnimy w tym miejscu próbę popularyzowania przez głósnego polityka obozu narodowego filozofii gospodarczej św. Tomasza z Akwinu. Nie można jednak z perspektywy czasu i późniejszych przemian pominąć enuncjacji Rady Społecznej powołanej do życia przez Prymasa Hłonda, choć echo ich w przedwojennym świecie ekonomicznym było prawie żadne.

Znaczny wpływ na urabianie poglądów, a równocześnie na kształtowanie rzeczywistości społecznej przed wrześniem miała grupa "Gospodarki Narodowej", reprezentowana przez szereg zdolnych publicystów i wyższych urzędników o tendencjach nazywanych obecnie "gospodarstwem uspołecznionym", a wtedy kwalifikowanym krótko jako "etatyzm".

Silnie reprezentowana była w polskiej ekonomii szkoła socjalistyczna. Ze zmarłych w czasie wojny jej przedstawicieli wymienimy: prof. Ludwika Krzywickiego i Zygmunta Limanowskiego, a z młodszych dra Ludwika Landaua. Oczywiście i w tym kierunku zarysowały się różne odcienie, choć na zewnątrz przynajmniej wyraźnie przeważał socjalizm typu idealistycznego.

Polski świat ekonomiczny pozostawał oczywiście pod silnym wpływem zagranicznych prądów naukowych. O ile starsze pokolenie profesorów kształciło się głównie we Wiedniu, na uniwersytetach niemieckich lub, rzadziej francuskich i szwajcarskich, o tyle młodsze zorientowane było wyraźnie na kraje anglosaskie. Stypendia fundacji Rockefellera ułatwiały studia w Stanach Zjednoczonych, ale oczy zwrócone były przede wszystkim na przodującą w nauce ekonomii Anglię. Mało było w Polsce ekonomistów, którzy przed wojną nie zabierali piórem lub słowem udziału w dyskusjach toczonych około dzieł Kay-

nes'a, Robbins'a, Pigou itd. Wobec upadku szkoły wiedeńskiej i niskiego stanu teorii ekonomii pod rządami nar. socjalistycznymi nie można mówić w latach przedwojennych o wpływach współczesnej nauki niemieckiej. Próby przeszczepienia na grunt polski włoskich teorii korporacyjnych były bardzo nikłe. Jeżeli chodzi o marksistów to starsze pokolenie kształciło się głównie na zachodzie, a młodsze szukało tam również natchnienia (m. i. w tak "nieortodoksyjnej", z punktu widzenia marksistowskiego, "London School of Economics"). Trudno dopatrzeć się było przed wojną wyraźnych wpływów komunistycznych, choć kierunek ten występował wśród socjalistów zgrupowanych około Głównego Urzędu Statystycznego, którego urzędnikiem był obecny dyktator komunistyczny, Hilary Minc.

Nie łatwo jest mówić o tendencjach panujących w świecie ekonomicznym pod okupacją niemiecką na terenie Warszawy. Prasa konspiracyjna koncentrowała, siłą rzeczy, uwagę na zagadnieniach ściśle politycznych i na wiadomościach zagranicznych. Departament Przemysłowo-handlowy Delegatury wydawał biuletyn gospodarczy odbijany na powielaczach i dostępny ograniczonej liczbie czytelników. Biuletyn ten nie mógł oczywiście zamieszczać obszerniejszych prac i miał charakter czysto informacyjny. Z końcem 1943 zmontował Departament Informacji miesięcznik społeczno-gospodarczy, w którym ukazywały się obszerniejsze prace programowe. Zapotrzebowanie na prace ekonomiczne w formie projektów rozwiązania zagadnień gospodarczych po zakończeniu wojny, względnie zbierania materiałów gospodarczych dla rządu w Londynie istniało ze strony Delegatury w miarę jak rozbudowywała się organizacja Polski Podziemnej. Opracowywanie tych zagadnień wymagało wymiany poglądów i wpłynęło na ożywienie dyskusji ograniczonych, w warunkach konspiracji, do grup złożonych najwyżej z kilkunastu ludzi. Zebrania te odbywały się w lokalach biurowych lub, częściej, mieszkaniach prywatnych. Grupy te dobierały się głównie wśród osób żytych w pracy naukowej lub zawodowej przed wojną lub zbliżonych pracą konspiracyjną. Było ich oczywiście dość dużo o różnym poziomie naukowym i obliczu politycznym. W tym miejscu pragnę poświęcić serdeczne wspomnienie młodemu ekonomście A. Dąbrowskiemu zmarłemu tragicznie w czasie okupacji niemieckiej. Był on często amfitrionem dobrych obiadów połączonych z dyskusją ekonomiczną, kontynuując w ten sposób przedwojenną tradycję obiadów u zmarłego po wojnie w Londynie prof. Henryka Tenenbauma. Wielu z uczestników tych zebrań zginęło z ręki Niemców, wśród nich świetnie się zapowiadający, pełen głębokiej kultury humanistycznej, młody ekonomista Dr Jerzy Massalski. Inni siedzą obecnie w więzieniach Bezpieki lub są rozproszeni po świecie, pozostali — pisują w "Ekonomiście".

Ocenić dorobek myśli gospodarczej w okresie konspiracji jest oczywiście niezmiernie trudno. Pomimo pracy zarobkowej uczo-

nych i trudności korzystania z tych bibliotek, które uniknęły zniszczenia w 1939 r. powstały w tym czasie wartościowe prace oryginalne i tłumaczenia dzieł obcych. Niestety, wiele z tych rękopisów zginęło w czasie powstania. Istniały również półjawne i tajne wykłady z dziedziny ekonomii, pisano prace magisterskie i doktorskie. W ogóle zainteresowanie naukami społecznymi i gospodarczymi, wśród młodzieży zwłaszcza, wzrosło wybitnie w czasie wojny.

Cechą specjalną warunków okupacyjnych było odcięcie od zachodniej myśli gospodarczej. Praca prof. Zweiga o gospodarce planowej, wydana w Anglii, była bodaj jednym dziełem tego rodzaju przywiezionym przez "cichociemnych". Projekty społeczne Beveridge'a, plany walutowe White'a i Keynes'a znane były tylko z drugiej ręki, a raczej "krzywego zwierciadła" tj. wydawnictw niemieckich.

O ile doktryny narodowo-socjalistyczna i komunistyczna nie miały wpływu na kształtowanie się myśli społecznej i gospodarczej w tym okresie, to niewątpliwie musiały one — a zwłaszcza wytworzone przez okupację warunki — wywierać wpływ pośredni, który nie zaznaczył się w ideologii, ale w metodach, jakimi projektowano rozwiązywać zagadnienia gospodarcze.

Każdy trzeźwo patrzący człowiek widział już w latach 1943/44, że kraj przeszedł głęboką rewolucję społeczną i gospodarczą. Proces ten był w znacznej części wynikiem politycznej i gospodarczej działalności okupantów, choć stanowił on częściowo przypadkowy wynik tej działalności. Gwałtowne zmiany wojenne przyspieszyły równocześnie dojrzewanie pewnych procesów występujących przed wojną 1939, wyzwalając równocześnie tendencje, których istnienia nie można się było przed wojną domyślać.

Stare polskie zagadnienia gospodarcze musiały znaleźć nowe formy i nowe rozwiązania, gdyż wszyscy prawie zdawali sobie sprawę, że powrót do stosunków przedwojennych był nie tylko często niepożądany, ale wprost niemożliwy. Na czoło zagadnień gospodarczych, wymagających ustalenia jasnego programu jeszcze w okresie okupacji niemieckiej wysuwały się: naprawa ustroju rolnego i sprawa formy władania przemysłem. Ze spraw wymagających przygotowania projektów gotowych do realizacji w momencie objęcia administracji — uporządkowanie stosunków pieniężnych. Wszystko to wiązało się ze sprawą zakresu i środków państwowej polityki gospodarczej.

Jeżeli chodzi o sprawę tzw. reformy rolnej to zagadnienie to wskutek wojny i okupacji nabrało całkiem innego znaczenia. Przedwojenne przeludnienie wsi stanowiło przy braku możliwości szybkiego odpływu ludności do miast wskutek powolnego tempa uprzemysłowienia kraju i zamknięcia zamorskich terenów emigracyjnych najtrudniejsze zagadnienie, bo równocześnie zapas ziemi, nawet przy najbardziej radykalnej parcelacji większej własności był niewystarczający do upełnorolnienia kar-

łowatych gospodarstw chłopskich. Ogromne straty, jakie w czasie okupacji niemieckiej podniosła ludność miejska (m. i. wskutek wymordowania Żydów) musiały być po wojnie automatycznie wypełnione przez wpływ ludności wiejskiej do miast. Zdawano sobie już w czasie wojny sprawę, choć nie przewidywano przyłączenia tak wielkich obszarów, że ludność wiejska znajdzie również nowe tereny pracy i osiedlenia na zachodzie. W tym stanie rzeczy było jasne, że naprawa ustroju rolnego na terenach położonych w granicach z r. 1939 polegać powinna przede wszystkim na melioracjach i na komasacji, do czego posłużyć może jedynie ograniczony zapas ziemi na tych terenach, a główny wysiłek należy skierować na skolonizowanie ziem zachodnich.

Następnym ważnym problemem gospodarczym i społecznym dyskutowanym w czasie wojny, było zagadnienie przemysłu. Sytuacja ulegała w tej dziedzinie również głębokim zmianom jak w rolnictwie. Przed wojną aktualne było przede wszystkim zagadnienie uprzemysłowienia kraju i sprawa silnie już rozwiniętego przemysłu państwowego. Obecnie zagadnienie to stało się na znacznie szerszej podstawie, gdyż należało brać pod uwagę następujące momenty: Występujące prądy społeczne, żądające upaństwowienia tych gałęzi produkcji, które posiadają zasadnicze znaczenie dla rozwoju gospodarczego kraju i koniunktury. Sprawę własności przemysłowej ponemieckiej w dawnych i nowych granicach. Wreszcie własności bezpańskiej (głównie żydowskiej). Rozwiązanie zagadnień gospodarczych w tej skali wysuwało zagadnienie tzw. gospodarki planowej, a zatem wkroczało głęboko w przyszły ustrój polityczny i społeczny.

Nastroje wśród społeczeństwa specjalnie uczulonego na zagadnienie walutowe i posiadającego bogate doświadczenia z okresu inflacji markowej, załamania złotego w 1925 r. i nieustannego psucia się pieniądza okupacyjnego w czasie wojny wymagały radykalnych środków zaradczych, przygotowanych na chwilę odzyskania niepodległości. Przygotowano w tym kierunku szczegółowe projekty oglądając się równocześnie na pomoc Zachodu. Echa umów w Bretton Woods dochodziły do Warszawy, pozwalając liczyć w przyszłości na pomoc mających powstać po wojnie Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Odbudowy. Zagadnienie walutowe, choć opinia przywiązywała do niego znaczną wagę, było jednak zagadnieniem technicznym drugorzędnym w porównaniu ze sprawą rolnictwa i przemysłu lub ustroju gospodarczego.

Nie łatwo jest odpowiedzieć na pytanie, jakie tendencje w okresie konspiracji przeważały w programach rozwiązania tych wszystkich kapitalnych dla przyszłości kraju zagadnień. Jak już wspominałem, prasa konspiracyjna nie mogła poświęcić wiele miejsca zagadnieniom tego rodzaju. Partie polityczne wstrzymywały się od ogłoszenia szerokiego programu. Z szeroko rozpracowanym programem społecznym i gospodarczym wystąpiła jedynie "Unia" (organizacja ideowa, opierająca się na za-

sadach chrześcijańskiej demokracji, politycznie oparta na stronnictwie pracy).

Dopiero 15 marca 1944 ogłosiła Rada Jedności Narodowej program społeczno-gospodarczy, stanowiący wyraz oficjalnej opinii, czy raczej kompromisu czterech stronnictw. W jakim stopniu program ten odpowiadał prądom nurtującym społeczeństwo i rzeczywistym potrzebom kraju? Trzeba przyznać, że konsultowanie opinii w warunkach konspiracji było praktycznie niemożliwe. Deklaracja była aktem politycznym, uchwalonym przez szczupłe grono osób i ogłoszonym w chwili, gdy wojska sowieckie z oddziałami Berlinga wkraczały na ziemie polskie. Nie mogła ona być poddana, tak jak w normalnych warunkach, jawnej dyskusji parlamentu, prasy i opinii. Była ona kompromisem i dziełem polityków, a nie ekonomistów, co występowało wyraźnie w różnych sformułowaniach deklaracji. Można tylko stwierdzić, że tkwiła ona głęboko w przedwojennej problematyce, a nie uwzględniała dostatecznie tych przemian strukturalnych i zmian społecznych, jakie wojna i okupacja przyniosły.

Program Rady Jedności Narodowej operował pojęciem "uspołecznienia", a nie "upaństwowienia" przemysłu. Na rozróżnienie to kładziono nacisk w wielu projektach czy dyskusjach. Jeżeli chodzi o praktyczne rozwiązanie, to różniły się te projekty znacznie. Administracja państwowa, skomercjalizowanie przedsiębiorstw, powierniczy zarząd związków branżowych, lub samorządu gospodarczego i spółdzielczość — oto najczęściej spotykane projekty rozwiązań. Wiele miejsca poświęciła deklaracja R.J.N. zagadnieniu gospodarki planowej. Znaczenie tego terminu, jego zakres i metody, sporne w samej nauce ekonomii, nie zostały oczywiście, tym bardziej sprecyzowane w deklaracji Rady. W każdym razie szeroko ujęta w programie gospodarka planowa nie dałaby się w praktyce pogodzić z gwarantowaną, w innym miejscu deklaracji, zupełną swobodą zmiany pracy i zawodu.

Oczywiście nie można przewidzieć jakie były szanse realizacji programu Rady Jedności Narodowej, gdyby społeczeństwo miało decydować o jego zastosowaniu. Wydaje się, że w warunkach wolnej gry sił społecznych uległyby one znacznym zmianom. Program ten był wyrazem kompromisu czterech partii politycznych. Tymczasem w życiu społecznym kraju zaznaczał się podział nie tyle wzdłuż linii, dzielących przed wojną stronnictwa polityczne ile raczej pomiędzy starszym pokoleniem, tkwiącym w dawnej problematyce i sporach, a pokoleniem młodszym, które w czasie wojny nie tylko pracowało w konspiracji, ale także weszło w życie gospodarcze od strony praktycznej i nabrało wiary we własne siły i praktyczne rozwiązania.

Część gospodarcza programu Rady Jedności Narodowej spotkała się, wkrótce po ogłoszeniu, z krytyką grupy ekonomistów, których zbiorową pracę na ten temat wydrukowano w lipcu

1944 r. Cały nakład przeniesiony z konspiracyjnej drukarni do kilku "melin" spłonął w czasie powstania.

Uporządkowanie stosunków gospodarczych w kraju z chwilą zakończenia działań wojennych było ogromnym zadaniem. Kraj bez ustalonych granic, ze stolicą w gruzach, zniszczony wojną, przeżywał równocześnie przymusowe przesiedlanie paru milionów własnych obywateli z dawnych siedzib na wschodzie i wędrowkę "narodów sowieckich" na wschód, wreszcie rabunkową okupację armii czerwonej. Wszystko to odbywało się w skali i tempie, które przekraczają wprost wyobraźnię. Ruchy te nie znalazły do tej pory opracowania w polskiej literaturze ekonomicznej. Cyfry Rocznika Statystycznego nie są kompletne, co jest częściowo zrozumiałe, wobec tego, że odbudowa i ogromne przesunięcia ludności odbywały się w warunkach organizującej się dopiero administracji. Okres ten czeka jeszcze opracowania, ale bodaj jedynie literatura piękna oddać będzie mogła bezmiar cierpień, wysiłków i wyrzeczeń związanych z epopeją lat 1945/46. Na podstawie posiadanych informacji można jednak już teraz ocenić wyniki gospodarcze tego okresu. Bilans ten jest wybitnie pozytywny. Odbudowa komunikacji kolejowej nastąpiła w tempie nadzwyczaj szybkim, zwłaszcza jeżeli uwzględni się wyniszczenie taboru i urządzeń, nieustanny rabunek sowieckiego okupanta, brak środków technicznych i ogromne zadania, jakie stanęły przed aparatem transportowym w związku z przesuwaniem wielomilionowych mas ludności cywilnej i wojska w kierunku ze wschodu na zachód i odwrotnie. Kolejarze polscy zdali wspaniale ten egzamin. Zaludnienie i zagospodarowanie terenów zachodnich odbyło się też w tempie niespodziewanie szybkim. W pierwszym okresie polegało ono głównie na uruchomieniu opuszczonych przez Niemców warsztatów pracy; potem na przeprowadzaniu najkonieczniejszych napraw i odbudowy w stopniu, na jaki pozwalał brak materiałów, fachowców i trudności transportowe. Odbudowa największych zniszczeń została podjęta później i proces ten daleki jest jeszcze od ukończenia.

Jakim siłom należy przypisać tak wspaniałe gospodarcze wyniki odbudowy, które wywołały podziw zagranicznych obserwatorów, a dumą napełniły Polaków? Reżim osiągnięcia te przypisuje swoim własnym zasługom: planowaniu gospodarczemu, a przede wszystkim "uspołecznionej" formie gospodarstwa, co miało wyzwolić w społeczeństwie zapał do pracy i odbudowy, którego nie wykrzesaliby rzekomo nigdy odbudowa prywatnych zakładów pracy. Tezy te, propagowane z dużym nakładem środków, nie znalazły w części tego kredytu w kraju co wśród emigracji. Wymagają one zatem dokładniejszego zbadania. Co do planowania, to oczywiście każda działalność administracyjna czy gospodarcza wymaga posiadania planu ustalonego z góry. Każdy rząd musiałby w danych warunkach ustalić program

odbudowy i osiedlenia. Kolejność podejmowanych robót, wybór terenów osiedleńczych dla różnych grup repatriantów itd. musiały być ustalone w centralnym ośrodku kierowniczym. Natomiast ich "rozplanowanie" w terenie i wykonanie, musiało być w bardzo szerokim zakresie pozostawione czynnikom lokalnym. Nie mogło zresztą być inaczej w ówczesnych warunkach, przy braku zorganizowanej administracji, nieznajomości nowych terenów i ich zasobów materialnych itd. Toteż wiadomo dobrze w kraju, że wszystkie prawie plany szczegółowe przygotowane centralnie okazały się bezużyteczną, bo niewykonalną, a często szkodliwą, robotą. Prace posuwały się szybko i dobrze tam, gdzie na miejscu kierowali nią ludzie posiadający zdrowy rozsądek i ofiarność. Specyficzne warunki wyzwoliły w wielu ludziach zmysł inicjatywy i odwagę brania na siebie odpowiedzialności. Dobrą zaprawą dla prywatnej inicjatywy była zresztą okupacja niemiecka. Wyjątkowo szczęśliwy okazał się poza tym fakt, że wskutek trudności skomunikowania się z centralnymi ośrodkami i braku jasnego rozdziału kompetencji, a przy naporze zagadnień wymagających natychmiastowego załatwienia bez czekania na instrukcje i okólniki, społeczeństwo cieszyło się w tym najtrudniejszym okresie swoistym samorządem. Wbrew oficjalnej tezie należy stwierdzić, że sukcesy tego okresu zawdzięcza kraj brakowi szczegółowego planowania, a nie — jak to chce Warszawa — jego istnieniu.

W życiu ważniejsze od planu jest jego wykonanie. Tutaj też okoliczności sprzyjały. Polacy, jak wszystkie społeczeństwa biedne, posiadają wrodzony zmysł do improwizacji i łataniny w warunkach trudnych czy nadzwyczajnych, w których społeczeństwa Zachodu, przyzwyczajone do maszyn, potrzebują pomocy skomplikowanego aparatu technicznego. Klęska polityczna ujawniona społeczeństwu z chwilą zakończenia wojny z Niemcami, skierowała energię jednostek do pracy organicznej w dziedzinie odbudowy. Najlepsze jednostki, gotowe w innych warunkach do objęcia stanowisk w życiu politycznym lub w administracji, skierowały swoje wysiłki w kierunku gospodarczym. Władza leżała w rękach komunistów i ich kreatur, placówki zagraniczne obsadzali karierowicze spośród emigracji i kraju, do pracy gospodarczej stanęły najlepsze siły jakimi dysponowało społeczeństwo. "Kompensowanie" braku swobody politycznej działalnością gospodarczą jest znane w historii. Przykładem: szybki rozwój Królestwa Kongresowego pod rządami Lubeckiego, osiągnięcia gospodarcze doby pozytywizmu po klęsce powstania styczniowego; nowym — sukcesy spółdzielczości ukraińskiej w latach trzydziestych. Jeżeli chodzi o miliony masy, które brały udział w osiągnięciach lat 1945/1946, to kierowały się one głównie zrozumiałymi momentami natury materialnej. Po strasznych przejściach osobistych, nędzy i poniewierce lat powojennych powstał pęd do szybkiego zapuszczenia korzeni na nowym terenie i podniesienia nędznej stopy

życiowej. Stąd nadzwyczajna energia i pracowitość jaką wykazało społeczeństwo w odbudowie. Nie zamierzam pomniejszać znaczenia momentów pozagospodarczych, takich jak patriotyzm, chęć szybkiego opanowania ziem zachodnich, przywiązanie do Warszawy i duma z jej odbudowy itd., które również znaczną rolę odegrały w tym zrywie.

Oficjalna propoganda, ze zrozumiałych względów politycznych przemilcza, pomimo swej materialistycznej filozofii, działanie gospodarczych sprężyn w okresie odbudowy. Co dziwniejsza na emigracji pomija się także ten czynnik i spotyka się nawet próby tłumaczenia osiągnięć gospodarczych kraju rzecką psychiczną predyspozycją Polaków do "społecznego modelu gospodarczego"). Jest to dziwna aberracja w ocenie okresu, w którym inicjatywa prywatna świeciła największe triumfy, nie wyłączając smutnych objawów "szabrownictwa" i nadużyć. Emigracja zdaje się zapominać, że pierwsze lata były okresem NEP'u, czyli zupełnej swobody bogacenia się w handlu, rzemiośle, drobnym przemysłem i rolnictwie. Zapewne większość społeczeństwa uprawiała wtedy "wisfull thinking" i liczyła, że stosunki te będą trwałe wiecznie, a nawet ulegną poprawie. Rząd pilnie podtrzymywał te nastroje szeregiem oficjalnych enuncjacji o chronieniu "sektora prywatnego" w gospodarstwie, a nawet przyznając tym, którzy odbudowywali domy, znaczne ulgi podatkowe i zwolnienie od rekwizycji mieszkań. Słowne i ustawowe przyrzeczenia nie zostały oczywiście dotrzymane w następnych latach. Prywatna inicjatywa we wszystkich formach jest obecnie tępona, skutkiem czego budownictwo w miastach ogranicza się do kosztownej akcji publicznej, nie stojącej w żadnym stosunku do palących potrzeb w tym zakresie.

Wydawnictwa gospodarcze w kraju niezmiernie mało zawierają danych, jeżeli chodzi o pomoc materialną jaką Polska otrzymała od Zachodu. Jest to niewątpliwie celowo robione i nie przeszkadza, że rząd warszawski zabiega usilnie zagranicą o wszystkie formy pomocy i kredytu jakie są dostępne. Z pomocy planu Marshalla nie pozwoliła swoim satelitom skorzystać Rosja, ale inne formy pomocy z Zachodu są w Moskwie mile widziane. Jakby echem planów opracowywanych w okresie okupacji niemieckiej są dwie prace wydane w 1947 nakładem Narodowego Banku Polskiego). Społeczeństwo w kraju jest celowo utrzymywane w nieświadomości faktu, że bezzwrotna pomoc Zachodu dla Polski w latach 1945 - 1946 wyniosła około miliarda dolarów, czyli cyfrę wielokrotnie wyższą od ogólnej

*) Alfred Zauberman: "Jaka jest naprawdę psychologia gospodarza Polaka", "Wiadomości" Nr. 174.

**) Dr. M. B. Wyczałkowski: "Instytucje gospodarcze Narodów Zjednoczonych".

Dr. Józef Świdrowski: "Istota i sposób dokonywania zapłat międzynarodowych".

sumy pożyczek zaciągniętych przez Polskę w latach 1919 - 1939'). Toż z chwilą ustania tej pomocy stosunki gospodarcze w kraju znacznie się pogorszyły.

Obiektywizm nakazuje przyznać, że reżim ma także zasługi w dziele odbudowy. Pierwszą jest szybkie uporządkowanie stosunków walutowych przez radykalne cięcie deflacyjne, polegające na wymianie drobnych kwot pieniędzy okupacyjnych na bilety Narodowego Banku Polskiego, drukowane w Moskwie na potrzeby komitetu lubelskiego. Polityka finansowa była z początku prowadzona zreżymnie i zdecydowanie. Główny nacisk położono słusznie na podatki pośrednie i stosunkowo szybko zrewnoważono budżet. W stosunku do walut zagranicznych zastosowano politykę liberalną i bardzo elastyczną. Do tej pory przywóz z zagranicy i posiadanie walut obcych jest legalne, w odróżnieniu do większości państw Europy Zachodniej. Z drugiej strony reżim nie cofa się przed fałszowaniem cyfr gospodarczych, które podaje do wierzenia społeczeństwu i zagranicy. Pomijając nawet, ogólnie znaną, sprawę fałszowania statystyki dla ukrycia rzeczywistej cyfry eksportu węgla do Rosji, należy pamiętać, że wskaźniki gospodarcze oparte są na porównywaniu produkcji przedwojennej z obecną nie przyjmując bardzo istotnej poprawki dla wytwórczości wysoko uprzemysłowionych ziem przyłączonych. Są to zatem cyfry zupełnie nieporównywalne, obliczone na brak uświadomienia czytelników, zwłaszcza zagranicznych. Warto także wspomnieć, że bilanse i cyfry obiegu biletów Nar. Banku Polskiego były tajemnicą państwową do 1947. Nie trzeba dodawać, że praktyki te są sprzeczne z elementarnymi i ustawowo warowanymi prawami. Myślenie kategoriami gospodarczymi i wzorowanie się na sowieckim NEP'ie przez dysponentów politycznych kraju wyszło na dobre procesowi odbudowy. Skanalizowanie energii społeczeństwa w kierunku działalności gospodarczej jest wynikiem stosunków politycznych, ale rząd nie przeszkadzał bogaceni się w pierwszym okresie po wojnie i tylko na niektórych odcinkach apelował do patriotyzmu i (rzadziej) do uświadomienia klasowego społeczeństwa. Wreszcie nie należy zapominać, że reżim używa w swej polityce gospodarczej środków pozagospodarczych, którymi nie dysponują rządy demokratyczne. A więc: kierowanie przez aparat państwowy związkami zawodowymi, tłumienie najmniejszych odruchów niezadowolienia robotników przez władze bezpieczeństwa itp. Trzeba zaznaczyć, że w pierwszych latach braków powojennych robotnicy polscy rozumieli, że pierwszym zagadnieniem jest zwiększenie produkcji, a dopiero następnym podział dochodu. Stosunki wyglądają — jak wiadomo — odmiennie na Zachodzie, gdzie związki zawodowe mają wpływ na rządy, które perswazją muszą nakłaniać robotników do zwiększenia produkcji.

*) Na fakt ten zwrócił uwagę W. A. Zbyszewski: "Wiadomości" Nr 180.

Kiedy społeczeństwo swoją pracą i energią dźwigało kraj, organizował się równocześnie ogromny aparat administracji gospodarczej, zarówno w ministerstwach jak i w centralnych i regionalnych zarządach "zrzeszeń" gospodarczych. Poza Centralnym Urzędem Planowania w Warszawie, powstało wiele komórek planowania w stolicy i na prowincji. Planowanie i gospodarka planowa stały się najmodniejszym tematem studiów*). Większość tych prac miała na celu wykazanie wyższości ustroju, w którym gospodarstwo poddane jest administracji publicznej, nad ustrojem prywatno-gospodarczym. Innym słowem, artykuły dorabiają na ogół ex-post teorię do stosunków powstałych w kraju w wyniku okupacji sowieckiej. Obiektywny i naukowy artykuł pośmiertny Jerzego Massalskiego, redakcja "Ekonomisty" uważała za konieczne opatrzyć uwagą, że "napisany był on jeszcze w 1940 roku. Od tego czasu teoria planowania gospodarczego posunęła się znacznie naprzód". Broszura Konstantego Turowskiego, który spróbował oświetlić problem od strony doktryny katolicko-społecznej, doczekała się drugącej krytyki z punktu widzenia marksistowskiego pióra Hilarego Minca**).

W praktyce planowanie i administracja publiczna doprowadziły w niezmiernie krótkim czasie do potwornego rozrostu biurokracji we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Znając polską tradycję urzędniczą i biorąc pod uwagę wyniszczenie kadr prawdziwej inteligencji w czasie wojny, łatwo sobie wyobrazić jaką "ujemną wartość" przedstawiają następujące cyfry***): W marcu 1947 w przemyśle hutniczym zatrudnionych było 73.162 robotników i 8.544 urzędników, czyli jeden pracownik umysłowy wypadał na 9 fizycznych! Koszty gospodarcze tego stanu rzeczy ponosi oczywiście w pierwszym rządzie warstwa robotnicza, której stopa życiowa ciągle jeszcze utrzymuje się na poziomie znacznie niższym niż przed wojną. Faktowi temu próbuje zaprzeczyć oficjalne wydawnictwa, nie ulega on jednak wątpliwości na podstawie analizy cyfr spożycia. Klasa urzędnicza, która przed wojną dzieliła z wolnymi zawoda-

*) Janusz Jeżewski: Problem gospodarki planowej, Wiadomości Nar. Bku Pol. Nr. 4 1946.

Mirosław Orłowski: Gospodarka planowa sektora prywatno-gospodarczego, ib. Nr. 11/1946.

Ryszard Sęk: Funkcjonowanie gospodarki planowej, ibidem Nr. 5, 1946.
Józef Zagórski: Zadania i trudności gospodarki planowej, ibidem Nr. 10, 1946.

Witold Trampeczyński: Uwagi o roli banków w gospodarce planowej, ibidem Nr. 8, 1946.

Kazimierz Secomski: Z problematyki gospodarki planowej, "Ekonomista" tom II, 1947.

Jerzy Massalski: O systemach gospodarki planowej, "Ekonomista" tom III/IV, 1947.

Konstanty Turowski: Gospodarka planowa w koncepcji katolicko-społecznej, Kraków 1947.

**) "Ekonomista", tom II, 1948.

***) "Wiadomości Narodowego Banku Polskiego", Nr 6, 1947.

mi i grupką kapitalistów nieproporcjonalnie wielką część dochodu społecznego, jest obecnie jedynym beneficjentem panującego kraju systemu gospodarczego. Nic też dziwnego, że z tej klasy rekrutują się najbardziej przekonani zwolennicy reżimu, i że członkowie gospodarczych misji na zachodzie są najbardziej gorącymi propagandystami rzekomych osiągnięć gospodarczych reżimu. Najtrudniej znaleźć zadowolonych wśród chłopów, a zwłaszcza robotników, którzy, jak zwykle, płacą rachunek tej nowej "radosnej twórczości".

W ocenie osiągnięć gospodarczych kraju i jego obecnego stanu należy uwzględnić nie tylko ogromny handicap obciążający początki odbudowy, ale także poważne korzyści gospodarcze jakie przyniosło przesunięcie granic na zachód i zmiany struktury ludnościowej. Publicystyka krajowa pomija oczywiście to zagadnienie milczeniem, a na emigracji, o ile wiem, jedynie W. A. Zbyszewski, we wspomnianym artykule w "Wiadomościach", zwrócił uwagę, że zarówno bogactwa naturalne (pomijając ropę naftową) jak i wyposażenie kapitałowe terenów zachodnich nie daje się porównać z ziemiami za Sanem i Bugiem. Stworzenie w dawnych granicach kapitałów w formie kopalń, fabryk urządzeń komunikacyjnych, budynków mieszkalnych itd., które Polska zastała gotowe na ziemiach zachodnich, wymagałoby wyrzeczeń i pracy pokoleń. Poza tym, pomimo mniejszego terytorium, Polska obecna jest krajem rzadziej zaludnionym, niż była nim w granicach z 1939. Struktura ludności uległa z punktu widzenia demograficznego poprawie w skutek wymordowania lub przedwczesnej śmierci starszych roczników. Politykę niemiecką w tym zakresie kontynuuje obecny reżim przekreślając prawa nabyte do emerytur i rent starczych. Co najważniejsze, po raz pierwszy w historii miał kraj okazję radykalnego uzdrowienia swojego ustroju rolnego, który był najważniejszym i najbardziej ciężącym społeczno-gospodarczym problemem Polski przedwrześniowej. O ile w warunkach przedwojennych uzdrowienie struktury rolnej było zadaniem, które przy zastosowaniu najbardziej drastycznych środków mogło być "zaleczone" tylko w drobnej części o tyle w 1945 r.—jak to wspomniałem poprzednio — powstały warunki szybkiego stosunkowo stworzenia w Polsce zdrowego stanu chłopskiego, podniesienia kultury i produkcji rolnej, przy równocześnie trwałym skolonizowaniu ziem zachodnich. Reżim nie tylko nie wykorzystał tych możliwości, ale zrobił wszystko co mógł, w istniejących warunkach, aby ustrój rolny kraju pogorszyć. Do tej pory nie zaczęto nawet komasacji i melioracji (w niektórych województwach np. wołyńskim, były one bardzo zaawansowane przed wojną). Przez chaotyczną parcelację niewielkiego zapasu posiadanej ziemi obniżono kulturę rolną i produkcję w okresie głodu w kraju i wyjątkowej koniunktury eksportowej. Co gorsze, poza tym złem, które przynajmniej teoretycznie może być z czasem naprawione, zahamowano wśród ludności najbar-

dziej przeludnionych okolic (krakowskie, rzeszowskie, kieleckie), naturalny pęd do osiedlania się na zachodzie. Ten zdrowy i spontaniczny ruch kolonizacyjny zastępuje się obecnie przymusowym wysiedlaniem na zachód. Nieodwracalna strata, jaką Polska poniosła w tej dziedzinie, przerasta wielokrotnie w swych trwałych skutkach, przemijające straty na eksporcie węgla do Rosji, o którym tyle pisało się zagranicą. Oczywiście, reżim działa w tym wypadku, jak i w innych, świadomie i konsekwentnie w myśl leninowskiej zasady "rewolucji permanentnej". Obserwowałem pierwszy etap likwidacji większej własności, drugi likwidacji "kułaków") wchodzimy w trzeci okres kolektywizacji i sowchozów, do których przygotowaniem jest konserwowanie pod administracją Państwowego Zarządu Nie ruchomości Ziemijskich majątków większej własności, głównie poniemieckiej (1.750 tys. ha według Rocznika Statystycznego za 1947 r.).

Osiągnięcia reżimu w innych dziedzinach są równie ujemne, choć znacznie jeszcze bardziej reklamowane w oparciu na fałszywych porównaniach. W dziedzinie przemysłu produkcja jest ciągle bardzo niska, pomimo, że wartość zainwestowanego kapitału na głowę robotnika jest znacznie większa niż przed wojną. To też dla ukrycia prawdy coraz częściej, na wzór sowiecki, operuje się cyframi wykonania planu lub procentami wzrostu produkcji, w porównaniu z poprzednimi okresami, co zmierzają do wywołania dodatniego wrażenia. Faktem jest, że produkcja rosła szybko w pierwszym okresie, gdy uruchomiano coraz inne przedsiębiorstwa. Obecnie rośnie w miarę powolnej odbudowy, czy budowy nowych zakładów, ale wydajność pracy przy zastosowaniu sowieckich metod stachanowskich jest niska, nie mówiąc o wartości wyprodukowanych dla rynku wewnętrznego towarów. (Nie należy sądzić tej jakości po towarach przeznaczonych na eksport).

W nadwyżkach eksportowych węgla górnośląskiego uzyskał kraj wyjątkowy atut w rokowaniach zagranicznych w latach 1946 - 1948, kiedy cała Europa odczuwała dotkliwy brak węgla. Stanowiło to wyjątkową okazję do stałego wprowadzenia się na rynki zagraniczne i zdobycia na nich tych surowców i maszyn, których kraj najbardziej potrzebuje. I ta okazja została w znacznej mierze stracona. Nie potrafiono (czy nie chciano) zawrzeć umów długoterminowych na dostawę węgla i już w 1949 wystąpiły pierwsze trudności w jego ulokowaniu zagranicą. Wielomilionowe sumy, wpłacone za dostarczony węgiel, leżały na zagranicznych rachunkach bankowych nie wykorzystane, ponieważ zapłata i przywóz najbardziej koniecznych dla przemysłu maszyn i surowców wymaga uzgodnienia pomiędzy niezliczonymi urzędami planowania, centralami zakupu, zarządami

*) Proces ten określa się pięknym neologizmem "rozwarstwiania", porównaj A. Żabko-Potopowicz: Zagadnienie rozwarstwiania wsi, "Ekonomista", tom IV, 1948.

przemysłu, biurami rozrachunkowymi itd. Na mniejszą skalę to samo odnosi się do eksportu artykułów rolnych. Warto tutaj zaznaczyć, że w miarę wzrostu produkcji, stanie Polska wobec ciężkiego problemu eksportowego w zakresie węgla i żyta, w rozmiarach przekraczających podobne trudności okresu przedwojennego*).

Oto wprost tragiczny bilans planowania i scentralizowania gospodarki kraju w państwowym ośrodku dyspozycji. Nie ulega wątpliwości, że Hilary Minc, dyktator gospodarczy kraju, posiada znacznie lepsze przygotowanie naukowe i większe zdolności do kierowania ministerstwem Przemysłu i Handlu, jak niektórzy jego poprzednicy na tym fotelu, którzy chcieli życie gospodarcze organizować metodami stosowanymi w koszarach, należy jednak pamiętać, że ministrowie przedwrześniowi starali się, choć często błędnie, działać dla dobra gospodarki polskiej, on zaś realizuje etapami plan dyktowany sowiecką racją stanu. Nic tu nie pomogą wysiłki Polaków, którzy starają się w narzuconych warunkach ratować resztki, a częściej — pozory. Zresztą sam system gospodarki planowej i "modelu społecznego" w wydaniu tym, czyli rządów biurokracji i etatyzmu jest zabójczy w polskich warunkach. W krajach takich jak Szwecja czy Anglia, w których istnieją liczne kadry kierowników gospodarczych wyrobionych w dużych przedsiębiorstwach prywatnych lub we własnej działalności gospodarczej, można obsadzać nimi przedsiębiorstwa państwowe lub centrale spółdzielcze, ratując konieczną dla działalności gospodarczej elastyczność i odwagę podejmowania nieuniknionego ryzyka. W Polsce spółdzielczość nawet miała obok tendencji monopolistycznych rozwinięte cechy biurokracji. Oczywiście, planowanie w gospodarce jest konieczne, a przemysł polski, samą siłą wypadków, musiał przejść w znacznej części na własność publiczną, ale nie oznacza to bynajmniej, aby etatyzacja całego życia gospodarczego była konieczna.

W związku z tymi uwagami nasuwa się pytanie w jakim stopniu zależna jest polityka gospodarcza kraju od moskiewskiego ośrodka dyspozycji i w jakim stopniu kierunek tej polityki może być zgodny z interesami kraju. Nie jest to pytanie retoryczne, gdyż na ten temat istnieje zagranicą, a nawet w kraju, zasadnicze nieporozumienie.

W pierwszym okresie administracja warszawska rozszerzała na cały teren kraju reformy komitetu lubelskiego, a zatem natychmiastowej parcelacji większej własności i upaństwowienia przemysłu średniego i większego. Reformy te nie mogą być w całości zapisane na konto wpływów rosyjskich; widzieliśmy po-

*) Nie natrafiłszy na opracowania polskiego handlu zagranicznego w krajowej literaturze gospodarczej. Artykuł A. Wakara: Monopol handlu zagranicznego w Związku Radzieckim, "Ekonomista" III, 1948, spotkał się z niszczącą krytyką z zastosowaniem licznych cytatów z dzieł Lenina, pióra Zygmunta Jana Wyrozembskiego, "Ekonomista", IV, 1948.

dobne ujęcie tych problemów w deklaracji Rady Jedności Narodowej, natomiast sposób i tempo ich przeprowadzenia pozostawały pod wpływem Wschodu. W dążeniu do zwiększenia produkcji, w stopniu możliwym do osiągnięcia przy równoczesnym świadomym dezorganizowaniu aparatu produkcyjnego, i w polityce pieniężnej (ostra deflacja obiegu), doktryna i praktyka gospodarcza administracji były zgodne zarówno ze zdrowymi zasadami, jak i przykładem rosyjskim. Wzory bolszewickie z 1918 zastosowano w zupełnym przekreśleniu wszystkich dawnych zobowiązań finansowych publicznych i prywatnych. (Dla amatorów śmiałych porównań warto przypomnieć, że Lubecki budował swą działalność na uporządkowaniu kredytu i zaufania w stosunkach finansowych). Równocześnie kraj poddany został igrzysku "kolonialnemu" wyzyskowi w formie dostawy węgla "reparacyjnego" i przeróbki surowca sowieckiego przez polski przemysł włókienniczy.

Oficjalny plan dalszego inwestowania i uprzemysłowienia kraju zgodny jest z interesem polskim o tyle, o ile łączy się z podnoszeniem stopy życiowej społeczeństwa, a nie oddawaniem nadwyżki produkcji wschodniemu sąsiadowi. Na wzrost stopy życiowej postawiło społeczeństwo, widząc w pracy organicznej jedyną możliwą formę ratowania częściowej niezależności. Kierunek, który można nazwać neo-realizmem głosi, oczywiście nie w piśmie, że Rosja nie może zaryzykować przyłączenia do Związku sowieckiego krajów takich jak Polska lub Czechosłowacja, które wskutek wyższej stopy życiowej działałyby "rozkładowo" na dawne republiki sowieckie. Rozumowanie to jest jeszcze jednym przykładem wishfull thinking. Przy zastosowaniu odpowiedniego stosunku płac i cen stopa życiowa robotnika polskiego może być jednym pociągnięciem pióra zrównana z poziomem sowieckim. Tylko dlatego, że produkcja krajów wasalnych jest obecnie ważna dla Rosji pozwala się im na nieznaczne podnoszenie stopy życiowej jako zachęty do większego wysiłku.

Przekrój tego co się publikuje w kraju z dziedziny ekonomii daje "Ekonomista"*, który, podobnie jak przed wojną, jest najważniejszym pismem gospodarczym w kraju. Nie jest możliwe omówienie wszystkich 8 tomów, wydanych od wznowienia pisma w 1947, zresztą szereg prac w nim drukowanych cytowałem poprzednio. Początkowe numery podają skład komitetu redakcyjnego, złożonego z czołowych ekonomistów. Od drugiego kwartału 1948 komitet i nazwiska jego członków nie figurują na okładkach, pozostało tylko nazwisko redaktora. Od numeru 1/II 1949 anonimowe kolegium objęło redakcję. W pierwszych numerach po wznowieniu spotykało się w piśmie dość nazwisk zaliczanych przed wojną do kierunku liberalnego. W tym czasie ogłoszono też sporo recenzji i rozbiórów prac za-

*) "Ekonomista", kwartalnik poświęcony nauce i potrzebom życia. Organ Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

granicznych, głównie anglosaskich. Pisarze tendencji katolickiej drukowali swoje prace ekonomiczne wyłącznie w tygodnikach tego kierunku. Z czasem w "Ekonomiście" coraz bardziej zaczęły przeważać artykuły marksistów, przy czym nie byli to socjaliści, pisujący przed wojną, lecz tacy, którzy nie drukowali swych prac dawniej (np. Mine) lub w ogóle byli nieznanymi (np. Wyrozembski). Artykuły innych autorów są zresztą na ogół także naszpikowane cytatami z dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Szybka ewolucja, jaką przeszło pismo ilustrują najlepiej: wstęp "Od Redakcji" w związku z połączeniem PPS i PPR i umieszczane obecnie długie tłumaczenia z artykułów z moskiewskich "Woprosy Ekonomiki". Artykuły polskie na tematy techniczno-gospodarcze, a zatem pozbawione wszelkich akcentów politycznych, są zaopatrywane przez redakcję w przypiski w rodzaju, że "szkoda, że autor ograniczył się tylko do materiałów analizujących stosunki głównie na Zachodzie". Prawdopodobnie, biedny autor przy najlepszych chęciach nie znalazł cyfr dotyczących Rosji Sowieckiej, która — jak dobrze w Polsce wiadomo — nie ogłasza wielu, wielu najbardziej zasadniczych danych gospodarczych. W chwili obecnej drukuje się w kraju cały cykl tłumaczeń klasyków marksistowskich. Z odpowiedzi redaktora w "Ekonomiście" wynika, że tłumaczenia autorów sowieckich są w prasie ostro krytykowane przez rozmaitych gorliwców, za uchybienia formy czy treści.

Tak oto na tle dostępnych materiałów i z uwzględnieniem istniejących w kraju stosunków gospodarczych przedstawia się w Polsce piśmiennictwo ekonomiczne.

Tadeusz SOŁOWIJ.

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

((LIBELLA))

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

Najnowsza historia Polski

Gdy ministrowie byli wywrotowcami

II. NIE MASZ, BRACIE, JAK W KOMUNIE

Wspomagany radami "Rudego", mego najświeższego przyjaciela, komunisty, rozpocząłem w Związku Młodzieży Demokratycznej walkę o włączenie Związku "w nurt akcji przeciw opłatom akademickim".

Czesne w Uniwersytecie wynosiło ok. 200 złotych rocznie, opłata za każdy egzamin, wchodzący w skład magisterium — 15 złotych. Na medycynie i w Politechnice opłaty były wyższe — dodatki za laboratoria i pracownie.

Przyłączył się do mnie Edward Damięcki, student prawa (obecnie nieoficjalny szef ambasady warszawskiej w Londynie). Niski, mrukliwy, o ostrym góralskim profilu w przyciasnym, szarym ubranku — był prawidłowym przedstawicielem niezamównej części organizacji. Bardzo dobry mówca, obdarzony przytomnością umysłu i bystrą inteligencją, stał się głównym mówcą mojej grupki, ponieważ ja przemawiać nie umiałem. Na małych zebraniach i w piśmie dawałem sobie dobrze radę ze słowem, ale widok masy onieśmiał mnie i dosłownie wiązał język w gębie, a myśli zatrzymywał w locie — drętwiały katalęptycznie. Przypuszczam, że to jest właśnie to, co się nazywa tremą.

Toteż Damięcki wysunął się z czasem na czoło naszej akcji. Mieszkał w domu akademickim, gdzie utrzymywał kontakt ze znanymi już komunistami i kierownikami akcji antyopłatowej na terenie domu akademickiego (na Grójeckiej) — Zarneckim, Rumińskim (obecny szef przemysłu w ministerstwie Minca i członek komitetu centr.), Mieczysławem Popielem (dyrektor Biura Planowania, właściwy autor planu trzyletniego) — i innymi. Komuniści w domu akademickim robili wiele hałasu, ponieważ każdy z nich był "aktywistą". Kilkunastu ludzi wytw-

rzało wrażenie, że dom jest całkowicie opanowany przez komunistów.

Pod ich wpływem Damięcki stał się szybko konsekwentniejszy w swym działaniu na terenie Związku Młodzieży Demokratycznej, niż ja. Był po chłopsku twardy i nieprędko, ale zaciekle fanatyczny. Jeśli ja chciałem zreformować Związek i do końca wierzyłem, że mi się to uda, to on jak czołg parł prosto do celu — zdemaskowania "faszystowskiej" góry i przeprowadzenia rozłamu. Ja często w dyskusjach dąłem się przekonywać obu stronom, on uszy miał zamknięte na argumenty tych, którzy już stawali się dla nas "drugą stroną barykady", słuchał tylko swych przyjaciół z domu akademickiego. Ja uważałem się za członka Z.P.M.D., on — już za członka "Życia", półlegalnej akademickiej organizacji komunizującej.

Szulc — ówczesny prezes Związku Młodzieży Demokratycznej — przestrzegał mnie szczerze i po prostu, ale argumentami, które nie przemawiały do mojej wyobraźni — względami na karierę. Ubierał te argumenty w delikatne i subtelne zwroty, ale na dnie pozostawał sens, który mnie oburzał.

— Organizacja da ci możliwość wejścia w starsze społeczeństwo i odegrania roli politycznej. Uważam, że najpierw trzeba zdobyć sobie stanowisko w życiu, a potem reformować życie. Cóż ci da obecna twoja akcja? Tyle, że popchnie cię w ramiona komunizmu (o moich kontaktach z komunistami nie wiedział, albo taktownie udawał, że nie wie). A co ci da komunizm? Więzienie. A poza tym — czym jest komunizm? Ideologią, która szuka oparcia w obcym mocarstwie.

Rozłam pogłębiał się. Powstała zorganizowana frakcja, która odbywała zebrania to w pokoikach domu akademickiego na Grojeckiej, to w apartamentach Jurka Tempła, sympatyka, syna jednego z najbogatszych adwokatów warszawskich.

W owych czasach młodzież burżuazyjna snobowała się komunizmem, który był modą, jako zjawisko wstępujące w zenit swego rozkwitu. Kryzys w całym świecie kapitalistycznym i rozgłosność rozmach "piatilettek" z drugiej strony, wytworzyły falę zainteresowania ideologią, która głosiła, że wynalazła lekarstwo przeciw kryzysom.

Na zebrania przychodzili uczeni w piśmie koledzy "Życiowcy" i opowiadali nam o Marksie. Z czasem kolegów zaczęliśmy nazywać towarzyszami, a Marksa zastąpiły "Zagadnienia leninizmu" Stalina i artykuły "Nowego Przeglądu", organu Komunistycznej Partii Polski, drukowanego na bibułkowych arkuszach.

Komuniści nie tyle przekonywali, ile właściwie obezwładniali tą pewnością siebie i błyskawiczną gotowością odpowiedzi na wszelkie wątpliwości. W okresie, gdy jeszcze nie uważałem się za komunistę i obserwowałem ich z pewnego dystansu, wydali mi się oni bardziej sympatyczni w swej prostocie i zapale, niż mądrzy w swej ocenie zjawisk społecznych. Nie godziłem się początkowo z ich deterministyczną postawą w ocenie roli jed-

nostki w społeczeństwie. Wykazywałem im niekonsekwencje: jeśli człowiek jest wytworem warunków ("Byt człowieka określa jego świadomość" — Marks), to jakże można wymagać od człowieka, aby robił rewolucję, to znaczy zmieniał warunki? Czy nie jest to zadanie ponad jego naturalne siły? Czy naturalna ewolucja nie jest racjonalniejszym sposobem przekształcania społeczeństw? Jeśli jesteśmy przeciwnikami wojen i gwałtu w stosunkach między państwami i narodami, to jakże możemy być zwolennikami gwałtu i rozlewu krwi w stosunkach między grupami tego samego narodu? Jakże można wyjście nienaturalne, krwawe, wyzwalaające najbardziej niskie instynkty w człowieku zalecać jako "jedynę wyjście" z tego, co się nazywa "kryzysem kapitalizmu?" Jaka różnica, czy nawołuje się do mordowania Żydów, czy do mordowania burżujów? Burżujów trzeba uszlachetnić, a ustrój kapitalistyczny przekształcić w socjalistyczny drogą tworzenia wielkich kooperatyw robotniczych i chłopskich, które by przeciwstawiły się trustom kapitalistycznym...

A w kwestiach filozoficznych: czy materializm istotnie jest jedyną teorią poznania, która jest w stanie wytłumaczyć wszystkie zjawiska? Na przykład zjawiska życia psychicznego — sferę uczuć irracjonalnych — choćby takich jak patriotyzm, czy jak nieumotywowane najmniejszymi korzyściami materialnymi zjawisko bohaterstwa? Człowiek żywy jest bogatszy, bardziej skomplikowany, bardziej nieracjonalny niż człowiek, stworzony przez Marksa. Człowiek nie mieści się w doktrynie materializmu.

To były moje wątpliwości. Damięcki, od samego początku, nie miał żadnych.

Najczęściej przychodził na zebrania frakcji student Politechniki, Stanisław Tomaszewski. Wydał mi się najmądrzejszy z tych wszystkich komunistów których poznałem we wstępnym okresie zbliżania się do tego środowiska. Dyskusje z nim nie były rozmowami z płytą gramofonową, miał szeroką wiedzę filozoficzną, a materializm marksistowski pojmował nie jako wiedzę dogmatyczną, absolutną, ale jako narzędzie które rozwija się, kształtuje, udoskonala i wzbogaca coraz to nowymi doświadczeniami ustrojów społecznych i odkryciami nauk przyrodniczych. Był dla mnie typem mędrca, nie mędrka i raczej ekletyka niż fanatyka. (Obecnie, jak się dowiaduję, nie celebrował żadnego dygnitariatu w reżimie Bierutowym, mimo że — a może właśnie dlatego — mniej mądrzy od niego są ministrami i generałami; popadł w melancholię, która okresami przechodzi w stany klinicznej drętwy — ku zmartwieniu i wstydu jego szwagra, ministra kolei, Jana Rabanowskiego).

W owych czasach Tomaszewski reprezentował tak zwane "inteligentkie odchylenie". Twierdził mianowicie, że nie proletariatu, lecz inteligencja, ma dane na to, aby być hegemonem rewolucji. Odwołał wreszcie te heretyckie błędy, ale, wydawało mi się, bez przekonania.

Jeśli Rudy (Stanisław Kropp) pociągał mnie do komunizmu malowniczością swej awanturniczej figury czynnego, "zawodowego rewolucjonisty", to Tomaszewski — bogactwem i umiejętnością formułowania swej wiedzy filozoficznej.

Do idei nie skłania człowieka jej wartość abstrakcyjna, lecz realna wartość, którą reprezentują jej wyznawcy. Do komunizmu pociągnęli mnie żywi komuniści, którzy w moim przekonaniu ówczesnym stali i umysłami i charakterami o wiele wyżej od całego otaczającego mnie środowiska akademickiego. Nie mogli mi imponować i zaspakajać potrzeb mego umysłu ani rozkrzyczani, tępłi korporanci, ani uwikłani w sprzeczności między teoriami demokratycznymi a praktyką dyktatorską, moi przyjaciele ze Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, ani totaliści z Legionu Młodych. Na uwagę zasługiwała młodzież socjalistyczna, ale jej ideologię ośmieszyli mi komuniści jako "socjalfaszyzm".

Był na samym początku moment, w którym moje wzrastające zaufanie do komunistycznego poczucia sprawiedliwości zachwiało się bardzo mocno: sprawa Brześcia.

Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej zwołał zebranie przedstawicieli wszystkich ugrupowań akademickich, celem ustalenia treści rezolucji, potępiającej Brześć. Zebranie było zamknięte, przewodniczył Adam Obarski, dzisiejszy więzień reżimu. Wchodziłem w skład trzyosobowej delegacji Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej.

Legion Młodych z miejsca oświadczył, że nie może brać udziału w zebraniu, w którym uczestniczą przedstawiciele "organizacji wywrotowych" — Młodzieży Wszechpolskiej i "komunizującego Życia". Trzej przedstawiciele Legionu wyszli.

Potem wstał Mosdorf i powiedział prawie to samo o Legionie i "Życiu" i wyszedł.

W imieniu delegacji "Życia" przemawiał Rabanowski. Określił Brześć jako "kłótnię w rodzinie faszystowskiej" i oświadczył, że "postępowa organizacja "Życie" nie może obradować przy wspólnym stole z faszystami i socjalfaszystami", — wskazał na siedzącą jeszcze delegację Z.P.M.D. i na przewodniczącego Obarskiego. Wyszedł.

Na uwagę kogoś z socjalistów, że "życiowcy" wychodzą tak samo jak faszyci z Legionu Młodych, Obarski odpowiedział: "Tak samo nigdy nie znaczy to samo". Obarski, mimo, że uważany za "prawicowego" wśród socjalistów, zawsze bronił komunistów. Pamiętam, że na wszystkich zebraniach przedstawiciele młodzieży u rektora, na które chodziłem jako delegat Z.P.M.D., Obarski pytał demonstracyjnie a rycersko ("socjalfaszysta!"): "Dlaczego Jego Magnificencja nie zaprosił przedstawicieli organizacji "Życie"? Dziś, biedny, musiał już znaleźć odpowiedź na to pytanie w więzieniu, w którym zamknął go towarzysz Chain, wiceminister sprawiedliwości, ówczesny jego kontrahent z "Życia" i kolega z tego samego roku prawa.

Moi dwaj koledzy z Z.P.M.D., Szulc i Szper, opuścili zebranie

ostatni, ale umotywowali je w formie wyjątkowo, ceremonialnie grzecznej, że nie mogą zabierać głosu, dopóki sąd nie wyda wyroku. Ja demonstracyjnie zostałem. Nie mogłem jednak dać swego podpisu pod rezolucją antybrzeską, ponieważ nie reprezentowałem organizacji Z.P.M.D., tylko samego siebie.

Na zebraniu frakcji bardzo ostro protestowałem przeciw stanowisku "Życia" wobec Brześcia. Nazwałem to moralnością "murzyńską", sprzeczną z zasadami elementarnej sprawiedliwości i humanizmu. Tomaszewski szczerze powiedział, że w zasadzie zgadza się ze mną i uważa krok ten za błędny. Natomiast Damięcki aprobował stanowisko "Życia", argumentując, że "rewolucja nie polega na podpisywaniu papierowych protestów do spółki z lokajami burżuazji, którzy wekslują gniew mas na ślepy for akcji podpisowej"; przyjdzie czas, że lud sam otworzy bramy wszystkich więzień i ustanowi sprawiedliwość własną — dyktatury proletariatu.

Po tym zebraniu miałem długą rozmowę z Damięckim, bo zauważyłem, że nasze pojęcia sprawiedliwości się różnią. Chodziliśmy nad brzegami Wisły — "szlakiem Rudego". Damięcki, w rozmowie w cztery oczy był inny, niż gdy przemawiał. W przemówieniach był skoncentrowanym, zacieklą uporem i fanatyczną wiarą; przemawiając — walczył, rozmawiając — usiłował czegoś się uczyć, badał niejako siebie i innych.

Zauważyłem, że ludzie, posiadający niejako dwie twarze, mają jednocześnie zdolność stosunkowo łatwego włączania i wyłączenia każdej twarzy w zależności od potrzeb. Ludzie tacy są już tak dwoiści, że nigdy nie bywają rozdwojeni. Są właśnie zawsze prostolinijni w działaniu, ponieważ zapasowa twarz jest jak gdyby zapasowym składem, raczej więzieniem wszelkich wątpliwości. Ludzie zaś o typie tak zwanym "hamletycznym" wikłają się w swoich wątpliwościach, gdyż one zawsze są z nimi, w ich pierwszej i jedynej "twarzy".

Damięcki przyznał mi rację, że "moralność proletariacka powinna być moralnością tolerancji i wolności myśli, a sprawiedliwość w przyszłym państwie proletariatu — sprawiedliwością dla wszystkich". Ale ja mu z kolei przyznałem rację, że "na etapie walki o władzę działanie musi być jednolite, oparte na dyscyplinie rewolucyjnej".

Dla niego, jako człowieka praktyki i działania, zawsze ważniejsze były sprawy norm praktycznych. Stąd "dyscyplina rewolucyjna" stała ponad "abstrakcyjnym pojęciem dobra", środki ponad celami. Był — i jest, jak dziś na te rzeczy patrzę — typem psychicznie stalinowskim, poruszonym przez elementy woli. A ja, jak mi się wydaje, — typem raczej bucharinowskim, kierowanym przez elementy marzenia. Nie jest przypadkiem, że wszelkie "izmy" tworzone są od imion swych twórców, bo każda ideologia, to przede wszystkim typ psychologiczny, płomień, którego barwa jest barwą duszy jego twórcy. Marksizm — leninizm — stalinizm można traktować jako jeden wyraz, bo to jest doktryna tego samego typu psychologicznego

— typu, płonącego żądzą władzy. W takich natomiast ludziach jak Trocki, Zinowjew, Bucharin, cechą dominującą była wyobraźnia, skłonność ku abstrakcyjnym formom marzenia.

Charakterystyczna w komunizmie walka Stalin-Trocki była walką typów psychicznych, nie walką systemów. (Uzupełniając te spostrzeżenia dzisiejszymi wydarzeniami: Tito wydaje mi się typem stalinowskim, uparcie i realnie dążącym do władzy, Gomułka — trockistowskim).

Manierą romantyczną uściśniliśmy sobie ręce i przyrzekli, że nigdy nie zejdziemy z linii walki rewolucyjnej o szczęście najszerzszym mas narodu polskiego. Przyrzekaliśmy niewątpliwie szczerze. I wydaje mi się, że każdy w swoim sumieniu dotrzymuje tej przysięgi. A jednak Damięcki służy Stalinowi, a ja walczę (czy wydaje mi się, we walczę) ze Stalinem... Gdzie jest ten błąd w rachunku? Po czyjej stronie?

Jedną jeszcze była szeroka płaszczyzna, która łączyła mnie z komunistami — ateizm. Mój ateizm nie był właściwie niewiarą w Boga. Uznawałem pojęcie Boga jako pewnej doskonałości moralnej (w ogóle zagadnienia etyki są dla mnie do dziś zagadnieniami dominującymi — politykę również rozpatruję pod kątem etyki). Ale chodzi o to — jakiej doskonałości? Ideał Boga mściwego, twórcy piekła, Boga opanowanego demonem władzy, każącego mordować heretyków — czcicieli złotych cielców — nie był moim ideałem. Chrystus — jest moją doskonałością. Kler w moim pojęciu najmniej nadawał się do roli proroków Chrystusowych. Już raczej... komuniści. Wstyd to powiedzieć, ale komunizm leninowski uważałem za swego rodzaju zmodernizowany chrystianizm. Dziś uważam to za bluźnierstwo, ale ponieważ podstawową cechą świętości chrystianizmu jest dla mnie tolerancja, więc nie uważam, że nie wolno bluźnić — zwłaszcza w czasie przeszłym.

Teraz, patrząc na te sprawy głębiej, widzę, że kwestia tak zwanego ateizmu powinna mnie z komunizmem najgłębiej dzielić, nie łączyć. Ja miałem swego Boga czy bogów, komuniści — nie. Komuniści właściwie nie mają ideałów, — ani Boga ani człowieka. Człowiek uważają za istotę na pół zwierzęcą, popychaną do życia bogactwami natury materialnej. Powinna mi na to otworzyć oczy nie tylko ich filozofia, ale przede wszystkim ich praktyka: komuniści za najpewniejszą drogę do zdobycia mas uważali akcje ekonomiczne. Młodzież akademicką chcieli zdobyć akcją antyopłatową. Mówiąc między nami, ta strona komunizmu akademickiego interesowała mnie najmniej. Contre coeur prowadziłem akcje antyopłatowe — z poczucia dyscypliny. Akcja ta wydawała mi się pozbawiona nawet logiki wewnętrznej, bo młodzież niezamożna była z reguły zwalniana z opłat i otrzymywała stypendia, płacili natomiast młodzi burżuę.

Teraz widzę, o co chodziło komunistom — tym starym na samej górze: nie o los niezamożnej młodzieży, ale o zubożenie, zdeorganizowanie gospodarki państwa polskiego. Czesne, wpłacone przez zamożną młodzież akademicką, stanowiło dość po-

ważną pozycję w budżecie ministerstwa oświaty. Chodziło więc o to, aby ministerstwo pozbawić tych dochodów i pośrednio wpłynąć na uszczuplenie budżetu obrony.

Jak każdy Polak, mądry jestem po szkodziu.

Będąc jeszcze w Z.P.M.D., wystąpiłem z inicjatywą stworzenia akademickiego klubu wolnomyslicielskiego. To znaczy — zdawało mi się, że ja wystąpiłem z inicjatywą — w istocie inicjatywa należała do moich przyjaciół komunistycznych. Zmontowaliśmy organizację pod nazwą Akademickie Stowarzyszenie Wolnomyslicieli. Na zebranie inauguracyjne przyszło kilkunastu lewicujących studentów socjalistycznych, potajemnie współpracujących z komunistami, jak i ja, — Dobosiewicz, Blinowski — dzisiejsi średni dygnitarze reżimu, kilkunastu sanatorów z Legionu Młodych i Z.P.M.D., sporo bezpartyjnych, sympatyzujących z komuną akademicką — przeważnie mych przyjaciół z koła polonistów jak Bieńkowski (dzisiejszy Gomułkowiec, znajdujący się w głębokiej niełasce), Szenwald, dość już głośny wówczas poeta, fenomenalnie zdolny poliglota (zginął w czasie wojny w wojsku Berlinga) i inni. Większość stanowili, oczywiście, zyciowcy.

Prezesem zarządu został Chain, którego później miałem za towarzysza na pierwszym zebraniu "ściślej" komórki komunistycznej (obecny wiceminister sprawiedliwości i członek tak zwanego Stronnictwa Demokratycznego — odkomenderowany, oczywiście). Chain w typie psychicznym przypominał Damięckiego — ostrożny, jednolity, praktyczny — mimo że pochodził z rodziny bogatego mieszczaństwa żydowskiego, a Damięcki był synem rodziny chłopskiej. Właściwości typu psychologicznego bynajmniej nie są wytworem klasowym — a może mieszczaństwo i chłopstwo to są klasy podobne, ulegające podobnym stosunkom w zakresie własności... Nie umiem rozstrzygnąć tej sprawy. Przy tym fizycznie, pod względem "Körperbau", stanowili zupełnie kontrast: Damięcki był mały, chudy, o profilu ostrym z orlim nosem; Chain — raczej tęgł, średniego wzrostu, o twarzy niewyrazistej z małym kartoflekwatym nosem. Nie podważa to, oczywiście, teorii Kretschmera: wydaje mi się, że podobne były bardzo tylko ich zewnętrzne maski charakterologiczne, nie ich charaktery.

Główną działalnością A.S.W. była organizacja szopek, ośmięszających autorytety religijne i autorytety w ogóle.

Przekonałem się wtedy, że piosenka jest bardzo poważnym elementem propagandowym. Rozżarza myśl i uczucie, wywołuje stany nienawiści do wrogów i stany kultu dla własnych idei. Głównymi autorami szopkowymi byli Szenwald, Gołomb (późniejszy trockista, przemknął się w czasie wojny przez okupację sowiecką i wyrwał z pociągu, wiozącym jeszybot wileński — dolary Żydów amerykańskich, wpłacone do Inturistu — aż do Mandżurii), Bibrowski, częściowo Bieńkowski.

Gołomb napisał antyklerykalną piosenkę-skecz, przedstawia-

jącą spotkanie księdza, popa i rabin, w której rabin m. in. mówi:

*«Ja tym wszystkim, co chcą jeść, obiecuję eden,
Pan mówisz «tak», ja mówię «siak», ale cel jest jeden».*

Szenwald z okazji konferencji w Lozannie:

*«Zjechali się do Lozanny krwawi łący złotej manny
Był pan Lilpop i pan Rau — ten od kul i ten od dział,
Był sam nuncjusz apostolski i pan Beck minister polski».*

Były również (nie w Lozannie, oczywiście) piosenki zupełnie prymitywne, bez najmniejszej formy — ledwie rymowane ulotki, ale wyznawcy nie czują śmieszności swych religijnych pieśni:

*«Chłop, inteligent staną wraz
Z proletariatem w walce klas.
W imperialistyczną krwawą rzeź
Rewolucyjną włożą treść.
Ludu pracy, broń Sowieców,
Ręce precz od Związku Rad»...*

Rad nie rad musiałem pozwalać na śpiewanie podobnych bzdur, bo cenzura komórki (o której jeszcze wówczas nie wiedziałem) uznała je za zgodne z linią generalną.

I tak walcząc z jednym fanatyzmem, zapadałem na pół świadomie w drugi. Tłukłem bohomyzy swej młodości, wymazywałem kompleksy: przerażające wizje piekła, grozę grzechu śmiertelnego, tyranię autorytetów, zakazy szóstego przykazania. Pełkały wszystkie uzdy i ponosiła mnie furia wolności. Przeżywałem typowy bunt młodzieży.

I wszystkim tym, którzy dosiadali tego czerwonego wierzchowca wydawało się tak samo. Taki na przykład Bieńkowski — zapalczywy, ugnieciony jakby z siarki i saletry, duch wiecznej Negacji w ciele satyra (był ogromnie brzydki, ale tą typową brzydota, o której się mówi, że jest "fascynująca"). Wolność była dla niego bogiem. Najulubieńszym fragmentem Żeromskiego był dla niego monolog Czarowica "Puście mnie kraty"... W czasie okupacji niemieckiej był szefem propagandy sztabu Gomułki. Niedawno gazety całego świata rozniosły wiadomość, że korzył się i biczował przed Bierutem za swoje "odchylenia nacjonalistyczne i prawicowe", ale mimo to z łask wypadł nieodwołalnie: trzymają go teraz kraty, gęstsze niż kraty więzienia Czarownica... Bieńkowskiego mi szczerze żal, bo wiem, jaki jest zdolny, wiem jaki żywy, godny Odrodzenia, umysł się zmarnował.

Taki Szenwald — najlepszy kolega, najofiarniejszy towarzysz. Żył długi czas w nędzy, bo zupełnie przestał pisać i na dzielnicy

Powisłe biegał po masówkach, łącznikował komórki jako "kadek" (członek komitetu dzielnicowego), brał baty od policji, uciekał przez płoty i tunele. Żywiłem go przez czas dłuższy. A potem ten właśnie Szenwald sławił w modlitewnych hymnach Stalina za najazd 17 września, wydawał z zimną krwią dawnych towarzyszy, którzy stali się "trockistami", w ręce N.K.W.D., mnie, gdy go doszły wiadomości o moim buncie w "Czerwonym Sztandarze", przeklął, a po moim aresztowaniu złożył jak najgorsze o mnie zeznania w N.K.W.D. Wydaje mi się, że poeta, jeśli już podda się jakiemuś fanatycznemu kultowi, to oddaje mu się całą swą poetycką bogatą duszą w uniesieniu, w ekstazie.

Fanatyzm — oto demon. Mówię o tym właśnie na marginesie wspomnień o Akademickim Stowarzyszeniu Wolnomysłicieli, którego Szenwald i Bieńkowski byli filarami. Smutne paradoksy: prezes tego stowarzyszenia — Chain — wiceminister sprawiedliwości, wsadza do więzienia, główny piewca wolności — w niewoli, inni — albo szpicle, albo więźniowie..

Jeszcze jeden okaz niewolnika, przekształconego z wolnomysłiciela — Mieczysław Bibrowski. Również pisywał obrazoburcze piosenki do moich szopek wolnomysłicielskich. Gdy groziło mu aresztowanie, ukrywałem go czas dłuższy w domu swych przyjaciół i pomogłem w nielegalnym wyjeździe do Francji (na fałszywy paszport Holendra). Było to przed samą wojną. Teraz, po wojnie, gdy znalazł się we Francji, — wygnaniec i przeciwnik polityczny, ale przecież nie wróg osobisty, — Bibrowski bał się ze mną spotkać. Wysługuje się reżimowi tak nieprzytomnie, że aż budzi śmiech u własnych towarzyszy i jest przedmiotem ogólnych drwin w kołach dyplomatycznych w Paryżu.

Bibrowski, w przeciwnieństwie do Damięckiego, jest typowym rewolucjonistą z operetki, do czego zresztą doskonale nadaje się z wyglądu. Czarny, ruchliwy, przesadny — aktor z głębokiej włoskiej prowincji. Umysł obsesjonisty, temperament sangwiniaka. Przesadny w każdym geście i słowie. Wszystko dla niego było "super". Każdy drobiazg, który wpadł w oko, urastał do znaczenia celu ostatecznego. Pokpiwano z niego w kołach młodzieży komunistycznej przed wojną, ponieważ głosił teorię, że "filmy z wampem są specjalnego rodzaju słodką trucizną, podawaną proletariatu przez burżuazję".

Piszę o tym dlatego, aby wykazać, jak różne, jak przypadkowe elementy lepiły się do komunizmu.

Rewolucja jest tą ślepą siłą, która wszystko ryczałtem stawia do góry nogami — jak powiedział mi jeden z robotników na komórcie dzielnicy mokotowskiej, którą łącznikowałem:

— Ja tam nie przeciwny rewolucji. Niech będzie rewolucja i władza robotnicza. Ale wcale nie jestem za tym, żeby nam się tu mochy pchali z mieszkadłem do rosołu. Bo w Rosji robotnikom wcale nie jest dobrze. Niejeden z naszych tam był — to wiemy i nie ma nas co trałować inteligentkiem gadaniem. Rosja jest jak flacha. Stała flacha do góry korkiem; na wierzchu był car, popy, szlachta, kupcy, a pod niemy robotnik, chłop i

na samem dnie różne bandziory, oprychy i bolszewiki. Przyszła rewolucja, postawiła flachę do góry dnem i co widziam? Na wierzchu są oprychy i bolszewiki, spodem szlachta, popy, kupcy — najgłębiej cār, bo pod ziemią, — a robotnik i chłop jak byli tak są pod batem.

Śmiechem i raczej aplauzem zostało przyjęte to porównanie przez resztę komórki. Była to komórka uliczna, złożona z młodzieży bezrobotnej i tak zwanej "rajzerskiej", dopiero co założona i nieprzeorana pługiem tresury. Po roku tresury ta sama młodzież mówiła już o Rosji — jako o "ojczyźnie proletariatu światowego" — z ogniem fanatyzmu w oczach, jak Żydzi o Palestynie.

Przekonałem się w owych czasach, że propaganda to potęga większa niż zdrowy rozsądek. We mnie samym, z natury knąbrnym i mającym raczej dominujący niż uległy charakter, wytworzył się z dnia na dzień kult dla dyscypliny, jakiś szał wiary w nieomyślność wodzów, o przede wszystkim — wodza wodzów. Moja bezgraniczna pogarda i niechęć dla wszelkich autorytetów przekształciła się w kult autorytetu. Jak? Gdyby to człowiek miał kontrolę nad procesem przemian charakterologicznych i w ogóle psychicznych, które zachodzą w nim samym... Mogę tylko w przybliżeniu przypomnieć sobie fakty, które towarzyszyły tej przemianie, ale nigdy nie przypominę sobie uczuć i myśli — były niekontrolowane, nieświadome.

Względne prawdopodobieństwo, powtarzane z bezwzględną pewnością, działa jak niezbyt mocny, ale rozgrzewający trunek, który upija stopniowo.

Ta pewność siebie, którą mają fanatycy, promieniuje równie oszałamiająco na otoczenie, fascynując je bądź podziwem bądź strachem.

Tak długo powtarzaliśmy slogany o radykalizacji inteligencji drobnomieszczańskiej, aż w końcu nie tylko sami w nie uwierzyliśmy, ale i nasi przeciwnicy zaczęli im ulegać. Nasze "komitety akcji antyopłatowej", przekształcone potem w "komitety akcji strajkowej", uwiły się po wszystkich audytoriach, nie wyłączając Teologii na Traugutta. Wydawało się ludziom, że jest nas dziesięć razy więcej niż było naprawdę. Wyprowadziliśmy — w roku 1933 — wielką demonstrację antyopłatową sprzed Placu Politechniki. Hałasowaliśmy pół dnia po mieście. Dołączał się każdy, kto miał ochotę potarrosić się z policją.

Strajk, wyznaczony na 17 marca, udał się na "terenie akademickim" bez porównania lepiej niż na "terenie robotniczym". Uniwersytet i Politechnika stały przez kilka godzin — a ani jedna fabryka nie stanęła całkowicie ani na chwilę (mimo że potem, jak się dowiedziałem, poszły do Moskwy sprawozdania o potężnej fali strajkowej w Polsce). Byłem komendantem strajku uniwersyteckiego. Pikiety nasze stały od samego rana do godziny trzeciej po południu, dopóki bojówki korporanckie, początkowo zdezorientowane naszym junactwem, nie zdecydowały

wały się na sforsowanie naszej zapory, widząc, że wciąż ta sama garstka ludzi pełni straż przed bramą na Krakowskim.

Nasi trockiści pod przewodnictwem Gorwica i Wędrychowskiego określili cały ten "strajk generalny proletariatu polskiego" jako niepoczytalne awanturnictwo.

Na zebraniu "sekcji" (kierowniczej komórki komuny akademickiej) łącznik komitetu centralnego Komunistycznego Związku Młodzieży postawił wniosek o usunięcie trockistów. Głosowałem przeciw, ponieważ byłem jeszcze tak "zgniłym inteligentem", że dopuszczałem zasadę tolerancji wobec "antypartyjnych odchyłeń". Musiałem potem zgłosić samokrytykę. Oskarżałem się ustami, ale w duchu przyznawałem sobie rację. Tak zaczęło się narastanie nowego, nieznanego mi przed tym elementu obłudy. Ta obłuda jest dla każdego, mniej więcej uczciwego komunisty, klapą bezpieczeństwa wobec konfliktu między presją dyscypliny partyjnej a własnym ludzkim mózgiem.

Jestem przekonany, że nie tylko we mnie narastał ten konflikt. Nasze młode, mimo że sfanatyzowane umysły, nie tak łatwo mogły pogodzić się z przejściem od naukowych metod obserwacji świata zewnętrznego do metod dogmatycznych — komunistycznych. Podżartowywaliśmy sobie z tepej głupoty łączników, którzy dosłownie, jak płyty gramofonowe, przenosili nastawienia i drżeli przed jakąkolwiek krytyką na komórcie. Pocięszaliśmy się, że to anomalie konspiracji, która nie sprzyja rozwojowi życia umysłowego. Łącznicy mieli zwyczaj szpikowania swych nastawień cytatami. Bienkowski drwiąc kiedyś z jakiegoś zasmarkanego łącznika, kochającego się w cytatach, odpowiedział w swojej replice: "Naprzód! jak powiedział towarzyszu Lenin!"

Na jednym z zebrań sprawozdawczych z dnia pierwszego maja łącznik podał, że w dniu tym demonstrowało w Warszawie pod sztandarami komunistycznymi 100.000 ludzi.

Popiel łagodnie wyjaśnił łącznikowi, który, jak się przyznał, nie był tego dnia w Warszawie, że demonstrowało najwyżej dwa tysiące w obu demonstracjach — na Placu Bankowym i na Placu Kazimierza Wielkiego. Łącznik twierdził, że to jest tylko pozorne, bo jeśli doliczyć tych, którzy, nie mogąc się ujawniać, musieli iść w pochodzie pod sztandarami "socjalfaszystów" (P. P.S.) i tych, którzy demonstrowali w więzieniach...

Po długiej dyskusji i zawitych obliczeniach, Popiel (dzisiejszy szef planowania gospodarczego) musiał złożyć samokrytykę, w której przyznał, że jego oceny są "defetystyczne i pomniejszające". A naprawdę, to nie wiem, czy nawet tysiąc demonstrowało. Brałem udział we wszystkich demonstracjach cały dzień i wszędzie widziałem te same twarze — przeważnie młodzieży i przeważnie z okolicy Muranowa. Chodziło jednak o to, jak później wyjaśniał mi Rudy, żeby wydusić więcej pieniędzy z Moskwy za niby to dobrą robotę.

Ten sam cel miała akcja partyjna rabowania sklepów w okresie przedświątecznym, zimą 1932. Było to żywcem przeniesione

z Niemiec, gdzie wówczas w stanie pełnego chaosu i ciągłych walk i strajków, Komunistyczna Partia Niemiec, zamiast walczyć z bojówkami Hitlera, rozpraszała nastroj bojowy proletariatu w tak zwanych "eksach"-rabunkach — i walce z socjalistami. "Eksy" te były typowe dla sekciarstwa komunistycznego. Robotnicy nie chcieli chodzić na te rabunki. Gdy na dzielnicę na masówce padał okrzyk "Na sklepy"! — robotnicy rozchodzili się ze śmiechem i gwizdami. Pozostawał sam aktywny komunistyczny, który — też z ociąganiem i contre coeur — szedł na rabunek. Brałem udział w jednym takim napadzie na Powiśle. Wpadliśmy do sklepu, wyciągnąłem na chodnik worek ze złotą kaszą jaglaną, która rozsypała się na szary, jasno oświetlony cement chodnika. Wybiegli sprzedawca w niebieskim fartuchu, nadbiegł policjant. Uciekliśmy. Obejrzałem się jeszcze i zauważyłem, że kilku robotników pomagało zbierać kaszę i wciągać wór do sklepu, a grupa bab wygrażała w naszą stronę pięściami.

W gmachu Politechniki Warszawskiej odbywał się — latem — międzynarodowy zjazd historyków. Zadanie polegało na tym, aby wejść do sal tuż przed obradami i wszystkim uczestnikom rozdać ulotki w języku francuskim, przedstawiające rezultaty "dyktatury faszystowskiej w Polsce". Jednym z gospodarzy zjazdu był komunistą Michał Szulkin. Szulkin dał nam znaczki i karty uczestników zjazdu. Z tymi znaczkami w klapach i kartami w rękach, bez trudu i bez wzbudzania podejrzeń weszliśmy do sal — woźni kłaniali się nam z szacunkiem, a my, przechodząc od ławki do ławki, rozdawaliśmy ulotki. Potem opuściliśmy spokojnie gmach Politechniki.

W kwadrans potem, jak raportował później na komóreczce Szulkin, zrobił się sądny dzień. Profesor Handelsman rwał włosy, woźni biegali i komu mogli wydzierali ulotki z rąk, co jeszcze pogłębiało chaos i zainteresowanie ulotkami. Przyjechała policja.

A ja wlokłem się ze spuszczoną głową Alejami Ujazdowskimi w stronę Wisły z Bieńkowskim i Szenwaldem. Szenwald był ożywiony i radosny. Bieńkowski milcząco.

Zbudziły się wyrzuty sumienia.

W owym czasie ruch komunistyczny odnosił najpoważniejsze sukcesy na "terenie inteligentkim". Roilo się wtedy od pism komunistycznych i komunizujących — jak "Piony", "Żagary", "Orka", "Ze Świata", "Myśl Społeczna". Był to okres tragicznej polskiej reformacji, którą kierowały obce ręce.

Tak zwany "Wydział organizacji wrogich", do którego należałem, kierował dyskretnie grupą wileńską Dembińskiego i Jędrzychowskiego, nadsyłając im materiały i instrukcje do ich pism. Z czasem ci burzyciele autorytetów przyjmować zaczęli posłuszenie "nastawienia" i instrukcje (Dembińskiego trudno było okiełznać) od ludzi, którzy stali się dla nich nowymi autorytetami. Byłem przez czas pewien łącznikiem do nich — po nastawienia przyjeżdżali sami do Warszawy. Spotykaliśmy się w

mieszkaniach konspiracyjnych, które im dostarczałem. Jędrzychowski znalazłem wcześniej ze zjazdów kół polonistów. W Jędrzychowskim, jak mi się wydało, dominował element aktorstwa.

Dziełem tego samego wydziału była słynna historia senatora Boguszewskiego w r. 1932, który na posiedzeniu senatu (należał do B.B.W.R.) złożył deklarację, że zrywa "z faszystowską praktyką B.B.W.R. i przechodzi do szeregów ciemniejszego proletariatu miast i wsi".

Z Boguszewskim, mimo niemałej różnicy wieku, serdecznie się zaprzyjaźniłem. Był człowiekiem nieskalanego, dziecięcego niemal, ufnego charakteru. Całym sercem wierzył, że komunizm to szczęście ludu. Jednak w partii nie ufano mu jako "sanatorowi" (w tym czasie rozstrzelany został w Rosji były poseł Wojewódzki, dawny piłsudczyk, pod zarzutem "prowokacji"). Na wszystkie moje propozycje, aby szerzej wykorzystać Boguszewskiego w akcjach masowych, łącznicy odpowiadali cierpkco: "My do naszych mas go nie dopuścimy".

Umarł przed samą wojną na raka.

Jego żona, Helena, w tym samym czasie również przymknęła do nas, ale raczej jako sympatyczka, zdradzająca duże wahania, niż jako zdecydowana fanatyczna komunistka.

W miarę rozwoju wypadków, zwłaszcza w okresie procesów moskiewskich, wahania były coraz częstsze i wśród najbardziej zdecydowanych komunistów. Nastroje opozycyjne zaczęły się szerzyć epidemicznie. Wówczas Komintern rozwiązał partię polską, motywując, że "do partii przekradło się wielu szpiegów Piłsudskiego, którzy rozkładali ją od wewnątrz, czego najjasnym dowodem było poparcie przez partię faszystowskiego przewrotu Piłsudskiego w r. 1926".

Komuna witała mnie kiedyś piosenką:

*«nie masz, bracie, jak w komunie,
w gronie hartowanych dusz».*

Kominternowskie kalumnie i wymysły na te "hartowane dusze" były dla mnie niemalym szokiem.

Okupacja sowiecka we Lwowie, potem więzienie, otworzyły mi oczy prawie całkowicie, ale dopiero Powstanie Warszawskie, tak cynicznie zdradzone przez Stalina, wypaliło do reszty wszelki ślad złudzeń co do tego, czy komunizm stalinowski, lub jakkolwiek w ogóle dyktatura, przynieść może szczęście ludzkości, udręczonej od wieków zmorą dyktatur.

Janusz KOWALEWSKI.

Sprawy i troski

Polacy w Afryce Wschodniej

Po zakończeniu wojny, w Afryce wschodniej znajdowało się około 19.400 uchodźców polskich.

Największą grupę, bo liczącą 18.000 osób, stanowiła ludność polska, wywieziona z Polski do Rosji sow., która następnie z Armią Gen. Andersa przybyła do Persji. Były to rodziny żołnierzy polskich, wcielonych do czynnej służby w Armii Polskiej na Wschodzie, wdowy i sieroty po poległych lub zmarłych żołnierzach WP., mężczyźni w starszym wieku nie zdolni do służby wojskowej oraz wielka ilość dzieci, które z powodu wieku nie mogły być przyjęte do założonych w Palestynie, "szkół junackich" i "młodszych ochotniczek".

Na mocy porozumienia Rządu Polskiego z Brytyjskim, ludność ta w latach 1942/44 transportami morskimi została przewieziona z Persji do Afryki wschodniej i rozlokowana w 16 specjalnie wybudowanych Osiedlach Polskich, które zorganizowano: — w Keni — 2, w Tanganyce — 5, w Ugandzie — 2, w Południowej Rodezji — 3 i Północnej Rodezji — 4.

Upřednio, w latach 1941/42, przybyła do Afryki wschodniej tak zwana "grupa cypryjska", Polacy, którzy w roku 1940 w liczbie 400 osób zostali przewiezieni z Rumunii i Turcji na Cypr, skąd następnie przez Palestynę przybyli do Południowej Rodezji. Trzecią grupę stanowili Polacy przybyli w roku 1948 z Indii; część ich, z chwilą likwidacji polskiego Osiedla VALIVADE, koło Kolhapur, wysłano do Anglii, część młodzieży do Nowej Zelandii, a pozostałe 694 osoby do Ugandy w Afryce wschodniej.

W związku z przybyciem tak wielkiej ilości Polaków, na terenie Afryki wschodniej poczęto tworzyć szereg polskich urzędów, których zadaniem była pomoc i opieka nad uchodźcami.

I tak w Nairobi (Kenya) powstał Konsulat Generalny, a Konsulaty: w Kampali (Uganda), Dar-es-Salaam (Tanganyika), Lusaka (Północna Rodezja) i Salisbury (Południowa Rodezja).

Równocześnie rozpoczęły swą działalność powstałe Delegatury: Ministerstwa Opieki Społecznej, Min. Wyznań Relig. i Oświecenia Publ., Min. Spraw Wew., Min. Skarbu, Najwyższej Izby Kontroli Państwa, Min. Propagandy, oraz mniejsze urzędy, reprezentujące wojsko, harcerstwo, PCK, Polską YMCA i War Relief Service.

Ks. Biskup Gawlina, jako Biskup Polowy i Zwierzchnik duchowieństwa na uchodźstwie, wyznaczył swego Delegata z siedzibą w Nairobi, który równocześnie był Szefem Duszpasterstwa Osiedli Polskich.

Administracja Osiedli podlegała rządowej organizacji brytyjskiej zwanej: "East Africa Refugee Administration", której podlegali terytorialni Dyrektorzy uchodźców w Keni, Ugandzie, Tanganyce i obu Rodezjach. W administracji osiedli było zatrudnionych szereg osób spośród uchodźców.

Osobny dział pracy, samodzielny i będący wyłącznie pod kierownictwem polskim, które miało wielkie pole do popisu i zdziałało wiele, to była praca nauczycielstwa polskiego, prowadzącego prace oświatową wśród 8.000 młodzieży.

Wspomnieć tylko trzeba, że w czasie największego nasilenia uchodźców, istniało:

- 12 przedszkoli dla 383 dzieci z 22 wychowawcami,
- 21 szkół powszechnych dla 5.250 dzieci z 197 nauczycielami,
- 7 szkół średnich ogólno-kształcących i liceów humanistycznych dla 1.305 uczni z 80 nauczycielami,
- 13 szkół zawodowych dla 810 uczni z 32 nauczycielami i 20 instruktorami,
- 4 szkoły i kursy muzyczne dla 263 uczni z 10 nauczycielami.

Łącznie nad wykształceniem 8.011 młodzieży pracowało 338 sił nauczycielskich i 20 instruktorów.

UNRRA, postawiła sobie w pierwszym rzędzie za zadanie repatriację uchodźców do Polski, nie uwzględniając emigracji do innych krajów. Na skutek starań UNRRY w okresie od stycznia do lipca 47 r. wyjechało do kraju 1.696 osób.

Z dniem 1. VII. 1947 agendy UNRRY przejęło IRO i sytuacja się o tyle zmieniła na lepsze, że IRO nie kładło nacisku na wyjazd do Kraju, lecz pomagało w osiedlaniu się uchodźców w krajach, do których chcieli i mieli możliwość wyjazdu.

W ten sposób pomału ilość uchodźców w Afryce wschodniej zaczęła się zmniejszać.

W związku z powołaniem do życia PKPR i obietnicą rządu brytyjskiego sprowadzenia do Anglii rodzin żołnierzy PSZ i PKPR, nastąpił wyjazd tych rodzin, który w okresie od 1. X. 47 do grudnia 1948 objął 9.500 osób.

W ciągu roku 1948, oprócz wyjazdów indywidualnych na wjazd do USA, Argentyny, Kanady i innych krajów zamorskich (około 200 osób), IRO zorganizowało pierwszy grupowy wyjazd na pracę do Francji, obejmujący 544 osoby.

Misja brytyjskiego Min. Pracy zwerbowała i wysłała do pra-

cy na terenie Wielkiej Brytanii, około 300 osób (plan Westward Ho).

W miarę zmniejszania się ilości uchodźców w Osiedlach, rozpoczęła się kolejna likwidacja Osiedli i zmniejszanie personelu administracyjnego.

Z chwilą cofnięcia uznania legalnemu Rządowi Polskiemu w roku 1945, zostały zlikwidowane wszystkie oficjalne placówki Polskie, a do chwili obecnej jedynie jeszcze działa Delegat Min. Wyznań Relig. i Ośw. Publ., który nadzoruje szkolnictwo polskie w Osiedlach Tengeru i Koja, oraz szef Duszpasterstwa, który będąc równocześnie Dyrektorem War Relief Service, prowadzi i finansuje świetlicę War Relief Service w Osiedlach i Nairobi.

Polska YMCA, PCK i TPP, z braku funduszy zaprzestały swej działalności w roku 1948.

Rozmieszczanie uchodźców z Afryki Wschodniej

W dniu 1 stycznia 1949 na terenie Afryki wschodniej znajdowały się tylko dwa Osiedla:

Osiedle Tengeru w Tanganyice, gdzie zgrupowano wszystkich pozostałych uchodźców z Tanganyiki i obu Rodezji.

Osiedle Koja, gdzie zgrupowano uchodźców z Ugandy, oraz Obóz przejściowy w English Point pod Mombasa, skąd odchodzi transporty zamorskie.

W ciągu roku 1949 następował dalszy wyjazd na wizy indywidualne, do różnych krajów. Równocześnie IRO czyniło starania o osiedlenie grupowe w Kanadzie i Australii.

W maju 1949 nastąpił długo oczekiwany wyjazd do Kanady, drogą okrężną przez Włochy i Niemcy, 147 sierot z Sierocińca z Tengeru, które przejął pod swą opiekę Episkopat Katolicki i Organizacje Polskie w Kanadzie.

W lipcu 1949 kanadyjska komisja werbunkowa zakwalifikowała na wyjazd do Kanady 316 osób. W tym 212 osób w wieku od 18 — 25 lat, zakwalifikowano do pracy, zaś 104 osoby stanowiły rodziny wyżej wymienionych, które otrzymały prawo wyjazdu razem ze swoimi żywicielami.

Wyjazdy do Polski prawie że ustały; za pośrednictwem IRO, od 1. VII. 47 do 1. X. 49 wyjechało do kraju 2.100 osób. (Od początku repatriacji do kraju wyjechało 3.800 osób).

W dniu 1 października 1949 znajdowało się jeszcze pod opieką IRO 3.238 osób, z tego przebywało na obszarze —

Tanganyika: 2.128 osób, (w osiedlu Tengeru 2.016 osób, — pracujących poza Osiedlem 112 osób),

Uganda: 1.033 osób, (w osiedlu Koja 972 osób, pracujących poza osiedlem 61 osób),

Kenya: 70 osób, które jeszcze nie uzyskały stałego prawa pobytu.

Z końcem października br. zapowiedziany jest przyjazd komisji australijskiej, która przeprowadzi werbunek na wyjazd

celem osiedlenia się w Australii. Warunki przyjęcia są dosyć ciężkie; wiek: kobiety do 35 lat, mężczyźni samotni do 45 lat, żonaci do 50 lat, przydatność do pracy fizycznej i dopiero w wypadku gdy dwie osoby z rodziny zostaną zakwalifikowane do pracy, mogą one zabrać ze sobą starszych i niezdolnych do pracy, członków rodziny.

W terminie do 1. lipca 1950 IRO postanowiło zlikwidować Osiedla polskie w Afryce wschodniej i zagadnienie uchodźstwa polskiego, pozostającego pod opieką IRO.

Wielkie nadzieje pokłada się w werbunkowej komisji australijskiej, która podobno ma wielkie pełnomocnictwa odstępstwa od ustalonych zasad werbunku i ma zabrać do Australii, wszystkich zdolnych do pracy mężczyzn, kobiety i dzieci.

Niemniej jednak wśród uchodźców są osoby starsze, sterane chorobami i wiekiem, które przebywają pod opieką lekarską w Osiedlach i w Domu starców w Tengeru. Ilość ich oblicza się na około 400 osób, a z rodzinami na 700 osób. Co z nimi się stanie, jest to problem, który do tej pory nie został rozwiązany. Istnieją plany założenia Domu starców, przy jednej z katolickich misji, lecz lokalne rządy nie zgadzają się na przejęcie odpowiedzialności za utrzymanie tych uchodźców i nie dały do tej pory swej zgody na zostawienie tej grupy uchodźców na stałe, na którymś z tut. terytoriów.

Mimo pogłosek o złym traktowaniu uchodźców w Osiedlach, gdzie jakoby przymierali z głodu i wymierali na malarię, trzeba stwierdzić, że warunki tak mieszkaniowe jak i żywnościowe w Osiedlach są więcej niż znośne, a warunki zdrowotne zupełnie dobre.

Ludność w Osiedlach otrzymuje w naturze i bezpłatnie wyżywienie, ubranie, mieszkanie, ponadto dorośli miesięcznie 10 szylingów jako "kieszonkowe". Nie ma przymusu pracy, ale aby zarobić wzgl. zaoszczędzić otrzymane pieniądze, prawie wszyscy, zdolni do pracy, są zatrudnieni w administracji osiedla, magazynach, szkolnictwie, straży osiedla itp. Średnie wynagrodzenie miesięczne wynosi 4 £. Wahania są od 2 do 10£ (nauczycielstwo).

Wyżywienie jest wystarczające. Dorosła osoba otrzymuje 2.258 kalorii, dzieci do lat 16 — 2.560 kalorii. Sześć razy tygodniowo jest wydawane mięso, dzieci otrzymują dziennie 1 pintę mleka, a dorośli ½ pinty. Rodziny mogą prowadzić kuchnię we własnym zakresie, z pobieranego prowiantu. Prowadzone są również kuchnie zbiorowe oraz jadalnia przy spółdzielni, która za małą dopłatą, przygotowuje posiłki z racji żywnościowych.

Biorąc pod uwagę wycieńczenie z sił i choroby, przebyte w Rosji sowieckiej, należy stwierdzić, że zdrowotność w Osiedlach była na poziomie zadawalającym.

W ciągu 7 lat od 1943 do 1949 urodziło się 209 dzieci i było 116 wypadków śmierci.

Osiedlenie w Afryce Wschodniej

W roku 1948 przedstawiciele IRO oraz Polski Komitet Obywatelski w Nairobi, rozpoczęli starania o przyznanie przez lokalne rządy w 5 terytoriach i krajach Afryki wschodniej, specjalnych "kwot polskich", które by umożliwiły Polakom mieszkającym w danym kraju, na statucie uchodźcy, uzyskanie stałego prawa pobytu, pozwalającego mu na pracę i zarobkowanie.

Przedstawiciel IRO na Afrykę Brig. H. Lush odwiedzał kolejno rządy wszystkich krajów Afryki wsch. i uzyskał przyznanie tych kwot, lecz tylko w niektórych krajach:

I tak Kenya przyznała 300 miejsc, Tanganyika 250, Północna Rodezja 350, Południowa Rodezja 150.

Uganda, jako protektorat, nie zgodziła się na przyznanie kwot; tak samo odniosła się do zagadnienia polskiego Południowa Afryka i Kongo Belgijskie, stając na stanowisku, że uchodźców polskich winny obowiązywać identyczne przepisy emigracyjne jak inne narodowości.

Podstawowym warunkiem dopuszczenia emigrantów, nie tylko uchodźców wojennych, jest posiadanie przez nich kontraktu pracy, który by gwarantował warunki utrzymania godne białego człowieka, oraz złożenia pewnej kwoty jako kaucji gwarantującej, że w wypadku gdy dany emigrant straci pracę, nie będzie ciężarem lokalnej władzy.

Kaucja ta wynosi różnie (od 50 do 200 £ w Kenii, Tanganyice i obu Rodezjach, 50.000 franków belgijskich w Kongo).

Podania o przyznanie prawa pobytu, były składane indywidualnie do "Principal Immigration Officer" danych krajów, który następnie opierał się na opinii "IRO Advisory Committee", czy danej osobie przyznać prawo pobytu, na jaki okres i w jakiej wysokości kaucja jest potrzebna.

W pierwszym rządzie brano pod uwagę kwalifikacje moralne i fachowe, następnie obciążenie rodziną, no i posiadane środki na utrzymanie.

Każdy z petentów musiał się wykazać kontraktem pracy, względnie obietnicą utrzymania pracy, oraz złożyć ustaloną kaucję, która w razie przyznania prawa pobytu, po roku nienaganego prowadzenia się, zasadniczo jest zwracana petentowi. W praktyce żaden z Polaków, ani też innych cudzoziemców, nie otrzymał tej kaucji z powrotem.

Po dzień 1. X. br., z przyznaných kwot polskich otrzymało stałe prawo pobytu:

W Kenii — 300 osób. Na zapasowej liście jest już zgłoszonych 90 osób, które czekają na swoją kolejkę, by w wypadku gdy któraś z osób zrezygnuje z przyznanego prawa pobytu, zajmując jej miejsce. (Podania spoza Kenii, np. z Wielkiej Brytanii o wjazd do Kenii, musiały też przejść przez IRO i otrzymać aprobatę oraz zgodę na zajęcie numeru porządkowego na liście polskiej).

Dotychczas przyjechało z W. Brytanii na kwotę polską 10 osób.

Obecnie kwota polska jest w zupełności wykorzystana.

Wspomina się o podniesieniu tej kwoty do 500 osób i o przyznaniu rocznej kwoty emigracyjnej dla 20 osób.

W Tanganyice: — 230 osób. W tym kilku lekarzy posiadających prawo praktyki ze względu na ukończone studia w uczelniach nie polskich; szereg osób jest zatrudnionych na fermach, lecz duża ilość osób przebywa jeszcze w Osiedlu Tengeru, zatrudniona w tamtejszej administracji osiedla.

Północna Rodezja: — 340 osób,

Południowa Rodezja: — 120 osób,

Uganda, obiecała przyznać 60 miejsc, lecz do tej pory nikt stałego prawa pobytu nie otrzymał.

Największą przeszkodą w otrzymaniu prawa pobytu w jednym z wyżej wym. krajów, była i jest nieznamość języka angielskiego. Przebywając przez 7 lat w zamkniętych osiedlach polskich, gdzie stale i jedynie mówiono po polsku, bardzo niewiele osób i to przeważnie z młodzieży skorzystało z nauki angielskiego. I mimo posiadania fachu, tak poszukiwani w Afryce rzemieślnicy i wyrobnicy, nie znając języka, nie mogli dostać pracy.

Władze IRO spróbowały eksperymentu (który się udał) stworzenia polskiego zespołu złożonego wyłącznie z polskich rzemieślników, zatrudnionych w Departamencie robót publicznych, którzy pracują pod nadzorem polskiego technika, będącego równocześnie i kierownikiem tego zespołu i tłumaczem żądań tych robotników wobec władz. Rzemieślnicy ci, w liczbie 20 osób, otrzymali grunta w miejscu, gdzie postawili sobie domy (z materiału rządowego) i tworzą osobną polską kolonię P.W.D. Pozwolono im sprowadzić rodziny z osiedli, otrzymali prawo pobytu na 4 lata, po tym okresie automatycznie staną się rezydentami Kenii. Z pracy ich władze fachowe są bardzo zadowolone.

Chciano stworzyć jeszcze 2 takie zespoły, lecz nie znaleziono chętnych i wykwalifikowanych pracowników.

Gdzie Polacy mogli znaleźć zatrudnienie? — wszędzie gdzie tylko było zapotrzebowanie i jeżeli posiadali znajomość jakiegoś fachu.

Do tej pory, nie obowiązują w Kenii zarządzenia kontroli pracy, zaś związki zawodowe są bardzo słabo reprezentowane.

Najwyższą rzeczą jest i było znalezienie pracy. 2 architektów znalazło zatrudnienie w przemyśle budowlanym i dziś majątek ich oblicza się już na tysiące funtów. Jest kilku samodzielnych przedsiębiorców. 4 byłych wojskowych polskich posiada piękne, dobrze zagospodarowane farmy. Kilku inżynierów i kreślarzy znalazło pracę w P.W.D. 10 osób pracuje w hotelarstwie jako zarządcy hoteli oraz gospodynie. Kilka pań pracuje w domach angielskich opiekując się dziećmi i prowadząc gospodarstwo. Duża grupa — bo około 20 osób — to pa-

nie zatrudnione w wojskowych biurach jako urzędniczki i maszynistki. W szpitalach zatrudnionych jest około 20 siostr szpitalnych. W handlu i przemyśle pracuje około 20 osób, w biurach lub jako ekspedienci.

Trudno wyliczyć wszystkie zawody. Faktem jest, że każdy z posiadaczy prawa pobytu otrzymał pracę.

Wynagrodzenie waha się od 25 do 50 £ miesięcznie, przy czym kobiety są płatne według niższej stawki (przeciętnie 20 — 30 £ miesięcznie).

Gdy się weźmie pod uwagę, że utrzymanie i mieszkanie kosztuje, przeciętnie, miesięcznie około 15 £ od osoby, należy stwierdzić, że warunki życia i zarobków są zupełnie znośne i lepsze niż w Anglii.

Nie ma natomiast zorganizowanej opieki społecznej i leczenie musi się odbywać na własny koszt.

Podatek dochodowy, jest obliczany w stosunku 2 szylingów od funta, powyżej pierwszych 250 £ wolnych od podatku. Na zonę przypada wolnych od podatku 350 £.

Największą bolączką osób mieszkających w Nairobi, gdzie grupuje się prawie całe społeczeństwo polskie, jest brak mieszkań i konieczność mieszkania w hotelach. Osoby zamożne mogą sobie pozwolić na kupno domu, których ceny wahają się od 2.000 — 5.000 £, więc są wyższe niż w Anglii.

Stały napływ nowych emigrantów z Anglii stwarza większą konkurencję i trudności w uzyskaniu dobrej pracy, która jak zawsze i wszędzie, w pierwszym rzędzie jest zarezerwowana dla brytyjczyków, nad czym bardzo czuwa "British Legion", organizacja byłych wojskowych.

Przyszłość tej kolonii polskiej nie wygląda więc różowo.

Codziennie warunki życia są łatwiejsze niż na kontynencie i w Anglii, ale ustabilizowanie się jest trudne. Zwłaszcza dla osób bez zasobów gotówki, zdanych wyłącznie na swą pracę zarobkową.

Życie społeczne i towarzyskie jest bardzo ospałe: — wielkie odległości, brak tanich i dogodnych środków lokomocji, zmęczenie pracą codzienną — wszystko to wpływa hamująco na organizowanie zebrań towarzyskich, a świetlica War Relief Service, utrzymywana jeszcze dzięki finansowej pomocy ze Stanów Zjednoczonych, świeci pustkami.

W miesiącu październiku zorganizowano Koła SPK w Tengeru, Koją i Nairobi i być może, że w ramach tej organizacji uda się zorganizować imprezy oświatowe i towarzyskie.

Nairobi, 27 paźdz. 1949.

R. KRÓLIKOWSKI.

Kronika kulturalna

Polacy pod cedrami libańskimi

Życie wygnańców polskich pod cedrami Libanu, nie różni się chyba zbyt od życia ośrodków innych emigracji polskiej, poza naturalnie życiem DPisów w Niemczech. Polacy w Libanie żyją we względnej wolności, której granice określone są granicami republiki libańskiej. Już wydostanie się z obrębu tych granic, stanowi dla każdego tutejszego Polaka problem nie do rozwiązania i przynosi smutną refleksję, że każda wolność ma swoje granice. Ale jeśli chodzi o teren samego Libanu, Polacy cieszą się zupełną swobodą ruchów, znowu ograniczoną jedynie, nie przez przepisy jakoweś, broń Boże, lecz przez możliwości finansowe kusej sakiewki wygnańczej. Zasiłek bowiem IRO, wypłacany na pierwszego, pozwala jedynie i zaledwie na vegetację, zaś o dorobieniu sobie trochę forsy wysiłkiem własnych rąk czy mózgu — szkoda gadać! — i tylko nieliczni utrzymują się na posadkach quasi-polskich w miejscowym urzędzie IRO i jego dependence'ach w rodzaju szpitali, szkółek itp. instytucji. Poza tym jest trochę stanowisk w urzędach i instytucjach czysto polskich, takich jak Poselstwo R.P. i Konsulat R.P. lub filia londyńskiego T.P.P., czy Komitet Uchodźców Polskich. Są to jednak małe rzeczy. Na ogół poziom możliwości finansowych miejscowego społeczeństwa uchodźczego — jest b. niski, co tu mówić — wegetatywny.

Podkreśliłem ten fakt specjalnie, ponieważ od niego w prostej linii zależy szereg b. ważnych dla życia duchowego emigracji dziedzin, takich jak zaspokajanie potrzeb kulturalnych, a w pierwszym rzędzie czytelnictwa. Niemożność zaspokojenia tych potrzeb — powoduje najczęściej, gdy się doda do tego przymusowe bezrobocie — najwięcej schorzeń życia emigracyjnego. Szczególnie, jeśli chodzi o jednostki twórcze na emigracji, które produkują pewne wartości kulturalne, a w najgorszym razie reprezentują tylko te wartości wobec obcych — problem jest ciężki i grozi niepowetowanymi stratami, nie tylko dla emi-

gracji, ale dla kultury polskiej. Problem ten był niedoceniany przez całe 10 lat naszego wychodźstwa przez rządy poprzednie i choć sży ogromne po prostu sumy na tak zw. wydziały prasowe cywilne i wojskowe, na agendy i akcje Ministerstwa Informacji, na Fundusze Kultury Narodowej — planu, myśli przewodniej, troski mądrej o los naszych instytucji kulturalnych w rodzaju zbiorów i bibliotek, Instytutów Naukowych, poszczególnych uczonych, pisarzy, artystów — nie było. Była temu winna niewątpliwie nieszczęśliwa obsada personalna tych placówek, które się miały o los kultury polskiej troszczyć. Nie wiem jak było gdzie indziej, ale na Sr. Wschodzie, gdzie przebywam od r. 1941-go, sprawy te stały źle. Napiszę o tym kiedyś obszernie, po prostu gwoli przestrogi na przyszłość.

To nieszczęśliwe dziedzictwo lat minionych zaważyło niewątpliwie nad stanem obecnym życia kulturalnego w Libanie. Dziś już nie ma na życie kulturalne pieniędzy, bo kasa rządowa pusta, a emigracja libańska biedna jak mysz kościelna. Są tam jeszcze jakieś mizerne resztki funduszów publicznych na cele kulturalne, którymi dysponuje częściowo Poseł R.P. Zawadowski, częściowo b. "doradca polski" Tyszkiewicz, a częściowo Instytut wydawniczy "Reduta" — ale to są na prawdę resztki. Nawet los tak zasłużonej komórki pracy kulturalnej, jakim jest prowadzony przez prof. Kościakowskiego Instytut Polski — jest zagrożony poważnie, to zn. ma on ulec likwidacji z powodu braku funduszy, a jego biblioteka i zbiory rozproszony. Nawet najlepsza wola Posła Zawadowskiego, który niewątpliwie docenia i ma zrozumienie dla spraw kulturalnych, nie wiele tu może zdziałać, tym bardziej, że poza wszystkimi innymi potrzebami kulturalnymi, ma on jeszcze do opłacenia dość wysokie czesne na tut. uniwersytetach, za studiujących na nich 22 studentów Polaków, kończących studia za rok.

Poza tym uchodźstwo polskie w Libanie jest w stanie zupełnej likwidacji. Jeszcze przed dwoma laty było tu około 7 tysięcy Polaków, dziś jest zaledwie 1000, a po projektowanym przez IRO przesiedleniu do Australii resztki młodych i zdrowych — nie wiem czy pozostanie 500 osób. Ale właśnie w tej resztkce — co jest paradoksem — pozostaną niemal wszystkie jednostki twórcze kulturalnie, które rządy państw imigracyjnych pogardliwie odrzucają jako szmelc ludzki "stary" i "chory". Do tego "szmelcu" należą, przebywający stale w Libanie jako emigranci, m. in. zasłużony profesor Uniwersytetu S. Batorego w Wilnie, **St. Kościakowski**, historyk i kierownik Instytutu Polskiego w Libanie, b. prezes wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, specjalista od zagadnień kultury XVIII w., autor licznych prac naukowych, następnie **ks. prof. Kamil Kantak**, teolog, historyk, ostatnio przed wojną wykładowca na katedrze historii Kościoła i języków greckiego i hebrajskiego w Seminarium Duchownym w Pińsku, autor b. licznych, wydanych jeszcze w Polsce prac z zakresu teologii, literatury i historii z których czterotomowe

dzieło pt. "Dzieje Kościoła w Polsce" (Poznań 1912) należy do kapitalnych prac w tym zakresie, **Włodzimierz Bączkowski**, jedyny obok Ryszarda Wragi nasz specjalista od zagadnień sowieckich, autor znakomitej książki "Rosja wczoraj i dziś", wydanej po polsku, po angielsku a ostatnio po arabsku i po turecku, **Wiktor Turek**, autor kilku prac z zakresu prawa międzynarodowego. Do tego szmelcu należy również kilku malarzy z prawdziwego zdarzenia, takich jak **Bolesław Baake**, uczeń Tadeusza Pruszkowskiego i jeden z założycieli słynnego w Warszawie "Bractwa Św. Łukasza", niezwykle utalentowany i kulturalny portrecista i marynista, lub **Van Hardt-Brodnicki**, samotny rewolucjonista, którego zeszłoroczna wystawa w Bejrucie poruszyła libańskie sfery kulturalne i prasę, zyskując mu zarówno gorących wielbicieli i wyznawców jak i nieprzejednanych wrogów, którzy odmawiają mu prawa nazywania się malarzem. Z malarzy przebywających w Bejrucie wymienić należy nadto **Henryka Czernego** oraz **Marię Sznajdrową**. Jest też i kilku poważnych muzyków jak np. pani **L. Herchenreder**, pianistka, która prowadzi w miejscowej Akademii Sztuki klasę fortepianową, rzadko jednak koncertując sama i występując publicznie, lub **Juliusz Leo**, muzyk i kompozytor, b. asystent na katedrze muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz autor wydanego już na emigracji przez Min. Oświaty w Londynie "Zbioru pieśni polskich". Jest też kilka piór początkujących, jak małżeństwo **Władysław i Ludmiła Błotnicy**, próbujący zdobyć ostrogi piarskie, on na polu dociekań historycznych, ona w literaturze pięknej.

Wszyscy ci wyżej wymienieni, nie wyłączając **H. Ordonówny-Tyszkiewiczowej**, której stan zdrowia nie pozwala na kontynuowanie swojej sztuki deklamatorsko-pieśniarskiej, próbuje więc wyładować swoje talenty w malarstwie i literaturze, wszyscy wymienieni więc stanowią doskonale drożdże dla zamieszenia i wyrośnięcia dobrego ciasta kulturalnego, tylko że mąki jest za mało i nie zawsze w najlepszym gatunku. Ostatnio daje się zaobserwować niemal zupełne zanikanie przejawów życia kulturalnego wobec gorączki wyjazdowej do krajów "osiedlenia". Nie ma już ani odczytów, czy wieczorów dyskusyjnych, urządzanych swego czasu w Instytucie Polskim, a cieszących się powodzeniem, ani możliwości usłyszenia muzyki czy pieśni polskiej, albo recytacji poezji, co umożliwiała urządzone na terenie Bratniaka "podwieczorki przy mikrofonie". Nad polskim Libanem zaczyna się rozpościerać wielka pustynia duchowa i kulturalna.

Ostatnio odbyła się uroczystość ku czci Słowackiego w stulecie jego śmierci, urządzona w Ghazirze pod Bejrutem. Inicjatorem tych uroczystości był Poseł R.P. Zawadowski, który nie szczędził ani trudu ani pieniędzy, aby wypadły one jak najlepiej.

Jeżeli dłużej zatrzymałem się nad stronami negatywnymi ży-

cia kulturalnego Polaków w Libanie, to nie w celu, broń Boże, dokuczenia komuś, a jedynie, aby wykazać jak trudno jest w klimacie mało przychylnym, gdzie każda rzecz i inicjatywa najeżona jest trudnościami nieprzewidywanymi, a przede wszystkim brakiem dość silnego rezonansu w społeczeństwie, jak trudno jest pracować pozytywnie dla podniesienia poziomu życia kulturalnego. Natomiast w dziedzinie, w której od pracy zespołowej przechodzi się do pracy indywidualnej — rezultaty są zupełnie inne, pozytywne i doniosłe dla kultury polskiej.

Mam na myśli w pierwszym rzędzie pracę prof. Kościółkowskiego, który z niezwykłą pieczołowitością zbierał odpowiednie materiały do ułożenia wykazu poloników libańskich, irańskich, irackich i indyjskich i to, nie tylko z okresu ostatniego dziesięciolecia lecz i dawniejszych i częściowo już je ogłosił drukiem w książce "Polacy a Syria i Liban w toku dziejowym" oraz w zeszytach I-szym "Teki Bejruckiej", a reszta już jest w druku i ukaże się niebawem w 2-gim zeszycie tejże "Teki". Polonica ta obejmą teren całego Środkowego Wschodu, z wyjątkiem Palestyny.

Skoro już mowa o polonikach palestyńskich, których jest bez porównania więcej niż we wszystkich krajach Śr. Wschodu razem wziętych, to pracę nad zbieraniem i układaniem ich wykazu, wykonuje już od siedmiu co najmniej lat Czesław Horein, niestrudzony, niezmordowany fanatyk tej pracy, przez nikogo nie subwencjonowany, głodujący aby odłożyć z zasiłku uchodźczego kilka groszy potrzebnych na kupno jakiegoś drobiazgu, w rodzaju pudełka z kartoteką, spinacza czy po prostu papieru do pisania. Od lat całych mieszka jak anachoreta w piwnicach Casa Nova w Jerozolimie, gdzie Franciszkanie udzieliłi mu za parę groszy półciemnego locum. Szpera on po wszystkich księgach parafialnych kościołów na całej Ziemi Świętej, dociera do skrytych archiwów klasztornych, odwiedza i męczy każdego, kto tylko może mu coś na temat jakiegoś pielgrzyma polskiego powiedzieć, jakąś datę lub szczegół biograficzny podać. Nawet wojna arabsko-żydowska, nawet bomby i pociski żydowskie, padające gęsto na Stare Miasto, gdzie się mieści Casa Nova — nie zmusiły go do porzucenia niezakończonych jeszcze pracy i pozostał do dnia dzisiejszego w Jerozolimie, gdzie nadal pracuje. Jego kartoteka, obejmuje około 16 tysięcy nazwisk pielgrzymów polskich, którzy byli w Ziemi Świętej od w. XV poczynając, jego polonica bibliograficzne przekroczyły już liczbę kilkunastu tysięcy pozycji. I pomyśleć tylko, że takiemu Horeinowi nie pomógł nigdy żaden polski urząd, za czasów, gdy pieniądze się przelewały. A obecnie IRO cofnęło mu nawet zasiłek uchodźczy, z tego powodu, że nie chciał on opuścić Jerozolimy i swoich pielgrzymów polskich.

Ale wróćmy do Libanu. Poza prof. Kościółkowskim bardzo owocnie pracuje Wł. Bączkowski, który pogłębia w dalszym

ciągu swe studia nad zagadnieniem Rosji i Wschodu, współpracuje z szeregiem poważnych czasopism angielskich i amerykańskich, zamieszczając w nich swoje prace, i przygotowuje nowy tom do druku. Jeśli chodzi o ks. Kantaka, to na ogół poza jednym odczytem na temat religijności Słowackiego, nie ogłosił on nic ostatnimi czasy, możliwe, że przygotowuje większą jakąś pracę, w swym odosobnieniu klasztornym u ss. Szarytek, gdzie mieszka.

Niżej podpisany uruchomił w czerwcu br. wydawnictwo periodyczne, poświęcone sprawom literatury i kultury, pn. "Cedry", które na ogół spotkało się z b. pozytywnym przyjęciem zarówno w prasie jak i w społeczeństwie. Cóż jednak, kiedy po dwóch numerach musiałem, chwilowo, czasopismo zawiesić ze względów finansowych. Istnieje jednak nadzieja, że czasopismo zostanie wznowione w najbliższym czasie.

Jeśli chodzi o malarzy, to pracują oni jak mi wiadomo w zaciszu swych pracowni dość intensywnie, lecz nie występują od zeszłego roku publicznie. Była projektowana zbiorowa wystawa malarzy polskich, ale jakoś nie mogła dojść do skutku. Najgorzej jednak sprawa przedstawia się jeśli chodzi o muzykę. Polacy libańscy są jej pozbawieni zupełnie. Koncerty przyjezdnych artystów, które od czasu do czasu mają miejsce w Libanie, — są ze względu na wysokie ceny biletów po prostu niedostępne dla Polaków. Teatru swojego Liban nie posiada, dość często jednak odwiedzają go zespoły teatrów paryskich, np. Komedii Francuskiej — lecz niestety i te imprezy są za drogie, a przez to niedostępne dla nas.

Pozostaje czytelnictwo. Lecz i ono mocno szwankuje, mimo że pęd do czytania istnieje wśród Polaków i głód polskiego drukowanego słowa, dobrej książki i czasopisma jest duży. Niestety, brak jest dobrej organizacji zaspakajania tego głodu. Instytut Polski, który posiada największy księgozbiór w Bejrucie, nie jest w stanie dla braku pieniędzy sprowadzać ukazujących się w Londynie czy w Paryżu nowości wydawniczych ani prenumerować czasopism. Poszczególne numery "Kultury" czy "Wiadomości" londyńskich, których niewiele dociera do Libanu, są w stałym obiegu i wracają do ich właścicieli w prosku.

Gdy się zastanawiam nad wszystkimi tymi niedomaganiem życia kulturalnego Polaków libańskich, które moim skromnym zdaniem dałyby się łatwo usunąć przy dobrej woli wszystkich nas, to wydaje mi się, że źródło tych niedomagań leży w wieloletnim rozkładaniu masy uchodźczej, przez dziwne praktyki mah-jongistów politycznych. Przez szereg lat dysponując funduszami publicznymi i głosząc hasła demokratyczne, uczyli oni masę uchodźczą tej prawdy, że sprawy kulturalne stanowią margines życia narodu, a jego treść istotną — ich mah-jongowe rozgrywki. Literatura, sztuka, wiedza, talent tylko wówczas są coś warte, gdy służą im jako narzędzie w tych rozgrywkach. I ten pogardliwy i lekceważący stosunek do war-

tości kulturalnych, podbudowany finansowym popieraniem różnych miernot i szmiry, a zwalczaniem ludzi talentu i myśli — wydał wreszcie swe zatrute owoce. Masa uchodźcza, której istotną więzią z narodem jest jego kultura, literatura, sztuka, język, styl życia, obyczaje i tradycja, a nie ta czy inna partia polityczna lub takie czy inne hasło lub slogan quasi-patriotyczne — ta masa uchodźcza została zdezorientowana, zachwiana w swej wierze w wartości istotne, oduczyła się myśleć samodzielnie i niezależnie, słowem, sprowadzona została do poziomu bezwolnego tłumu. A przecież nie zapominajmy, że w polowie co najmniej masę tę tworzyła inteligencja, a więc ludzie umiejący myśleć i mający obowiązek myśleć.

Proces przywracania uznania dla wartości istotnych zarówno umysłowych jak i duchowych Polaka na emigracji, już się rozpoczął. Mah-jongiści z chwilą utraty najważniejszego atutu ogłupiania ludzi, tzn. pieniędzy, tracą grunt pod nogami i schodzą ze sceny historii na którą wdarli się korzystając z zamętu wojennego, odgrywając na niej jakąś ponurą groteskę. Jeszcze jakieś zgrane postacie próbują wyczyniać jakieś zawile piruety. Ale to już ostatni akt. Publiczność emigracyjna opuszcza znużona i zawiedziona te smutne widowisko i zabiera się do codziennej, konstruktywnej pracy samodzielnego przemyslenia zasadniczych zagadnień polskich: odzyskania niepodległości państwa polskiego, zadań jakie ma do spełnienia emigracja, przebudowy moralnej Polaka, określenia swego stanowiska do otaczającej rzeczywistości i ustalenia hierarchii celów, ku którym zmierzamy w swym marszu ku wolnej Polsce.

Powyzsze uwagi ogólne, nie dotyczą libańskiego ośrodka emigracyjnego, po prostu choćby dlatego, że jest to ośrodek będący w stanie zupełnej likwidacji. Wszelkie poczynania kulturalne są więc na tutejszym terenie, napiętnowane cechą tymczasowości i przypadkowości, wobec kończących się wszelkich rezerwuarów zarówno ludzkich jak i pieniężnych.

Xawery GLINKA.

Przypisy do przewodnika dla piszących Polaków

Oddźwięk, z jakim spotkał się pomysł podręcznika dla piszących Polaków, którzy chcieliby próbować wszczęście na gruncie, płacącym honoraria w dolarach (numer 3/20 "Kultury") skłania mnie do uzupełnienia go kilku pożytecznymi przypisami na dalszy użytek P.T. piszących kolegów.

Zacznę je od uzupełnienia zawartego w moim przewodniku opisu poloników "powodzeniowych".

Otóż przypomnieć trzeba w ich rzędzie "Sól Ziemi" Józefa Wittlina, która to powieść wydana została w Ameryce pt. "Salt of the Earth" w r. 1941, już po ukazaniu się jej nakładem Methuena w Anglii. Żadna książka polskiego autora od czasu "Chłopów" nie była chyba tak gorąco przyjęta przez krytykę — pisał o niej m. in. Tomasz Mann, wielkie na gruncie Stanów nazwisko i autorytet literacki bez konkurencji.

W r. 1943, Józef Wittlin, jako pierwszy Polak, otrzymał nagrodę "Art & Letters Grant" za "Salt of the Earth" i można śmiało powiedzieć, że gdyby nie fakt, że "Sól Ziemi" jest właściwie tylko początkiem cyklu powieściowego, a Amerykanie parcelowanych powieści nie lubią, książka Wittlina miała wyjątkową szansę na stanie się jednym z miesięcznych wyborów "Book-of-the-Month-Club". O pisarskiej działalności Wittlina na terenie Ameryki wypada jeszcze powiedzieć, że z wszystkich naszych pisarzy jest on najczęściej reprezentowany w wielkich amerykańskich antologiach, a tym samym stosunkowo najbardziej tutaj znany.

Tyle na temat pozycji już osiągniętych. Obecnie nakładem wydawnictwa Simon & Schuster ukazał się "Chopin" Kazimierza Wierzyńskiego. Tak z uwagi na temat, na firmę wydawniczą, jedną z pierwszych w Stanach, jak na przedmowę Artura Rubinsteina, książka ta, owoc dwuletniej pracy Wierzyńskiego, doskonale odpowiadająca potrzebie chwili, zdobyła wielki sukces. I to sukces tym większy, że w tym samym okresie ukazały się jeszcze trzy książki o Chopinie, w tym tłumaczenie Gide'a "Note sur Chopin" (bezlitośnie skrytykowane w dodatku tygodn. "New York Times'a" przez Artura Rubinsteina. Bezlitośnie i bardzo sprawiedliwie).

Pożytecznym uzupełnieniem orientacyjnym do uwag mojego przewodnika może stać się krótkie omówienie zjawiska best-sellerów, czyli książek najlepiej się sprzedających, a zestawianych jako coś w rodzaju biuletynu giełdowego na użytek zarówno czytelników, jak bibliotek i księgarzy. Biuletyny te (choć atakowane niedawno w "Saturday Review of Literature" za nieścisłości i kombinacje wydawców, używających różnych sztuk, aby swoje książki w nich umieścić) są jednak dość trafnym barometrem gustów i potrzeb publiczności, kupującej książki. Zestawiane są

na podstawie raportów kilkudziesięciu najważniejszych księgarń w Stanach, a pojawiają się na łamach tygodniowych dodatków "New York Times'a" i "New York Herald Tribune".

Analiza jednej z niedawnych list daje następujący obraz: na 16 powieści tylko jedna jest dziełem nie Amerykanina, ale nie jest tłumaczeniem, wyróżnione bowiem dzieło napisane jest przez Angielkę (Pilgrim's Inn by Elisabeth Goudge). Lista zawiera osiem powieści historycznych, z tych pięć mających do czynienia z historią amerykańską. Tylko jedna dotyczy tematu ostatniej wojny. Każda, w tej czy innej formie, mówi o miłości — traktowanie tego tematu jest albo romantyczne albo sensacyjne, w większości jednak romantyczne. Niemal każda z książek na liście ma ponad 300 stron, jedna z nich ponad tysiąc. Wniosek z tego, że czytelnik tutaj woli raczej książkę grubą niż cienką.

Każda lista best-sellerów dzieli się na dwa działy: fiction (czyli literatura powieściowa, "wyobraźniowa", wymyślona) i nonfiction (czyli rzeczowa, praktyczna, dokumentarna, dotycząca problemów współczesnych, podręcznikowa względnie przewodnikowa).

Gdyby sądzić Amerykę według tytułów mających największe wzięcie w tym drugim dziale, można by powiedzieć, że jest ona opanowana newrozem lęku, albo niepewności. Szuka bowiem odpowiedzi i sposobu na przewyciężenie swoich kompleksów w tej właśnie dziedzinie. Szuka upewnień, rad jak wybrnąć z piętrzących się gróźb, trwóg i napięć, potrzebuje wskazówek jak je opanować, albo nauk pokrzepiających serca pokazaniem jakie były drogi wyjścia z podobnych trudności w dziejach przeszłych. Każda z książek mających powodzenie w tym dziale posiada inteligentny charakter popularyzacyjny, tzn. ułatwiający laikom zbliżenie do tematu lub zagadnienia jakiejś nauki. Psychologia, religia, historia, socjologia, polityka i wszystkie kombinacje tych problemów w możliwie praktycznym a nawet dydaktycznym ujęciu, składają się na tematy tych książek. Na pierwszym miejscu listy non-fiction utrzymywała się np. przez długi czas książka rabina Joshua Loth Liebmana pt. "Peace of mind", co można przetłumaczyć jako "Spokój Myśli", Umysłu a względnie Ducha". Należy ona do książek, które przemysł wydawniczy zalicza do gatunku "how to" czyli właściwie "jak?", tzn. mówiąca o tym jak się powinno działać i postępować, aby osiągnąć dany wynik lub cel.

Ten typ literatury cieszy się znaczną poczytnością wśród Amerykanów, zawsze pragnących się czegoś nauczyć i będących w stałym poszukiwaniu praktycznych rozwiązań dla toczących ich życie problemów.

Książka rabiego Liebmana np. jest więc próbą poddania czytelnikowi sposobu osiągania spokoju ducha (!). Jest złożona z prostych, szczerych i pogłębionych doświadczeniem długiego życia rad oraz wskazówek, łączących psychiatrię nowoczesną z religijnym podejściem do zagadnień codzienności. Innym tego

typu dziełem jest nowa książka autora słynnego "How to win friends and influence people" Dale Carnegie (3 miliony egzemplarzy), który dał jej ostatnio uzupełnienie pt. "How to stop worrying and start living?" (Jak przestać kłopotać się i zacząć żyć?). Automatycznie niejako książka ta skoczyła od razu na listę best-sellerów. W tym samym dziale obok raportu Kinsey'a spotkamy np. książki Arnolda Toynbee, pamiętniki Churchilla i Eisenhowera, Sherwooda "Roosevelt and Hopkins" etc.

Powiedziałem już w innym miejscu, że największym wzięciem cieszą się w Ameryce tematy religii i seksu. Uzupełnia to oświadczenie ostatni numer "Life"u, mówiący, że dla czytelników tego reprezentacyjnego dla mentalności tutejszej tygodnika, najbardziej podniecającym przedmiotem zainteresowań jest — sądząc z ilości otrzymywanej korespondencji — temat (kolejność podana przez "Life"): kotów, Boga i zdrowia.

Przypis niniejszy zakończyć pragnę receptą na napisanie best-sellera powieściowego na rynek amerykański, według autentycznego jej brzmienia, podanego w jednym z magazynów tutejszych. Od siebie dodam jedynie, że z polskich powieści ostatnich lat najbardziej obiecującą na tutejszym rynku pozycją wydaje mi się "Republika Atomowa" Z. Bohusza-Szysko.

A oto owa recepta:

1) daj czytelnikowi historię romantyczną (albo wręcz seksualną) w kostiumach, o ile to możliwe. (W tym miejscu konieczne wyjaśnienie: powieść historyczna w Ameryce w języku businessu wydawniczego jest synonimem tego, co można by nazwać "powieścią kostiumową". Autor przebiera swoich bohaterów w stroje innej epoki, daje im egzotyczne tło innego czasu, możliwie zresztą błyskotliwego i pełnego barwy, trochę tak jak Hollywood, produkujący swoje historyczne szmiry w technicolorze, chociaż problemy, sposób mówienia i zachowania ludzi nie odbiega wcale od dzisiejszości).

2) dostarcz w książce elementów na "podniesienie ducha" — powieść historyczna na przykład powinna przypomnieć czytelnikowi że kraj nasz (tj. Ameryka) jest produktem dzielności i odwagi — staraj się utożsamić czytelnika z bohaterami utworu (dać mu poczucie przeżywania ich przygód, romansów, odczuć i tęsknot, jakby to były jego własne) i to bez względu na to, czy ci bohaterowie byli prawdziwi czy są wymyśleni.

Lecz nade wszystko 3) daj czytelnikom możliwość ucieczki (escape!), wyrwania się z codzienności, odsunięcia i przeniesienia jego myśli i wyobraźni w inny świat. Pamiętaj że każda popularna powieść, umierając na rynku księgarskim, zmartwychwstaje na filmie — w Hollywood.

Uzupełnienie tego jakże ogólnego i jakże powierzchownego przepisu na powodzenie brzmi, że większość produktów pisarskich znajdujących swoje miejsce na liście best-sellerowej jest gatunku co się zowie przeciętnego (mediocre), ale że zrobione są bez wyjątku z doskonałą znajomością techniki pióra.

Aleksander JANTA.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}
C.C.P. 4955-03

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy

Bibliografia

Polonica niemieckie od 1.IX. 1939 do 31. XII. 1948 roku

Praca niniejsza jest w pierwszym rzędzie próbą ujęcia dorobku wydawniczego Polaków w Niemczech za czas od roku 1943 do grudnia roku 1948 włącznie. W miarę możliwości uwzględniła ona również książkowe polonica niemieckie, oraz inne obcojęzyczne, wydane na terenie b. Rzeszy w latach od września 1939 do grudnia 1948. Braki przy określaniu niektórych pozycji bibliograficznych, oraz fakt, że autor nie wyczerpał tematu, nie są wyłącznie jego winą. Wypełnieniu tego zadania stały na przeszkodzie specjalne trudności, że wymienimy tylko anonimowość ogromnej większości druków, spowodowaną zarządzeniami władz okupacyjnych i władz organizacji, opiekujących się wysiedleńcami, oraz akcje repatriacyjno-emigracyjne, czy przymusowe przesiedlanie ośrodków, niszczące dorobek kulturalny skupisk polskich. Ujemnie zaciążył na pracy niniejszej również fakt, że brak jest na terenie Niemiec jakiegokolwiek instytucji naukowej publicznej czy prywatnej, która by od początku zajęła się skompletowaniem wydawniczego wysiłku polskiego uchodźstwa w Niemczech.

W toku prac korzystał autor niejednokrotnie z notatek bibliograficznych Jerzego Klukowskiego, ze zbiorów Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Eppstein, a przede wszystkim z prywatnych polskich bibliotek, oraz z niemieckich bibliotek naukowych instytucji, i z archiwów niemieckich firm wydawniczych. Im, a także Wydawcom Polskim w Niemczech, oraz inicjatywie Wielebnego Duchowieństwa Polskiego w Niemczech, z Jego Eks. Wikariuszem Generalnym, Ks. Prałatem Lubowieckim na czele, składa autor na tym miejscu serdeczne podziękowania.

Wobec niepewności jutra polskich wysiedleńców w Niemczech uważa autor odwołanie niniejszej publikacji za niewskazane. Oddaje ją zatem do druku, z tym, że pozycje brakujące uzupełni, w suplementcie.

W pracy niniejszej, poza kilku specjalnie ważnymi wyjątkami

mi, pominięto rozmyślnie prasę polską w Niemczech która sama dla siebie stanowi dział obejmujący przeszło 300 pozycji. Przedmiot ten opracowuje oddzielnie Stefan Koper. Praca jego ukaże się niedługo w «Kulturze».

Steinatal, 1949 r.

A B C (Elementarz) I. (Część). Bad Harzburg, czerwiec 1945 r. Str. 16. II. (Część). Str. 16. (Jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy w ogóle, elementarz polski na ziemi niemieckiej.)

Album Pierwszej Dywizji Pancерnej. (Siedem barwnych, całostronnicowych karykatur. Rysował Geców Henryk). Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 14 nlb.

Album 10 go Pułku Strzelców Konnych. Niemcy na okupacji. Wydawca 10 P.S.K. 1946. Str. 111.

ANCAN, ANDRZEJ. *Hodowla i żywienie inwentarza*. (Skrypt) Nakładem Sekcji Szkolnictwa Zawodowego Polskiej Rady Zawodowej. Regensburg 1947. Str. 40.

ANDRASZ, J. Ks. TJ. *Wspólnie z kapłanem*. Tekst mszalny do zbiorowego odmawiania. Wydawn. Ks. Ign. Rabsztyna, Schwäbisch Gmünd-Lorch/Württ. 1948 czerwiec. Str. 40. (Nakład 5.000 egzemplarzy).

ANIK-NIKONCZUK, ALEKSANDER I OKUŁOWA, HALINA. *Dwanaście miesięcy Polaków w Fuldzie*. Wydawn. Stow. Kulturalno-Oświatowego w Fuldzie pod redakcją... Fulda 1946. Str. 121+3 nlb. (Nakład 5.000 ekz.)

ANKOWSKA, MIROŚLAWA. As. Nakładem autorki. Monachium 1947. Str. 15+3 nlb. (Nakład 2.000 egz.)

ANKOWSKA, MIROŚLAWA. *Imieniny Janka*. Nakładem autorki. Monachium 1947. Str. 2 nlb. +15+3 nlb. (Nakład 2.000 egz.)

ANKOWSKA, MIROŚLAWA. *Paweł i Angela*. Nakładem autorki. Monachium 1947. Str. 20. (Nakład 2.000 egz.)

Apel. Z przedmową Andrzeja POMIANA. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 29+4 nlb. (Przedruk z wydania londyńskiego).

APÓŁ, JÓZEF, Ks. *Maty Katechizm*. Obóz Polski Wasendorf 1945. Str. 64.

ARCHUTOWSKI, ROMAN, Ks. *Historia Kościoła Katolickiego w zarysie*. Wydanie XII. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 192.

Arytmetyka kupiecka. Tłumaczyli z niemieckiego Inż. T. Šejdler, Inż. J. Gabler. Wydano na praw. rękop. staraniem Komit. Wydawn. przy Biurze Rej. Specj. P.S.W. we Frankfurcie n. M. 1946. Str. VIII+96. (Nakład 8.000 egz.)

AUERBACH, M. i DĄBROWSKI, K. *Disce Latine*. Podręcznik do nauki łaciny dla II klasy gimnazjalnej. Zjednoczenie Polskie na strefę brytyjską, 1948. Str. 76.

Ausstellung «Die polnische Arbeit im Ausland». Wydawn. Zrzeszenia Ośrodków Polskich w Bawarii Połudn. i Szwabii. Monachium 1947. Str. 15. (Nakł. 1.000 egz.)

B-N., A. *Co każdy bezwzględnie powinien znać po angielsku*. (Wydano w Str. Ameryk. Niemiec) 1945. Str. 19+1 nlb.

Bajka o dziadku, babie i kurce żwawej. (Książka dla dzieci z barwn. ilustracjami). Monachium 1946. Str. 20.

BALAŃDOWA, NATALIA. *Poradnik gospodarstwa domowego*. Przedruk z wydawnictwa «Kalendarz Pani Domu na wsi i w mieście». Z. ZALESKIEJ i W. ŁADZINY. Uzupełniła przepisami «Kuchnia Polska»... Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze. Referat P.W.S.K. Hanower 1947. Str. 100+IV.

BARANOWSKI, WALERIAN. *Dokąd ludzkość dąży?* (W tym znaku zwyciężycie). Hamburg-Bruksela 1946. Str. 152.

BARANOWSKI, Z. Ks. Dr. i KOWALSKI, S. Ks. Dr. *Nauka w:ary i obyczajów*. Wydanie drugie. Inspektorat Nauki Religii, Badbergen - R.S.F.P. 1947. Str. 2 nlb. +100. (Przedruk londyński).

BATKOWSKI, Ks. *Polski Ośrodek Dziecięcy w Deggendorfie*. Wydanie Komitetu Polskiego Deggendorf-Elisabethenheim, 1947. Str. 40.

BERGER, HUGO. *Podręcznik języka niemieckiego z kluczem*. Kurs elementarny. Hanower 1947. Str. 123+1 nlb.

BERGER, HUGO. *Podręcznik języka niemieckiego z kluczem*. Kurs elementarny. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanower 1947. *Wydanie drugie*. Str. 123+1 nlb.

BERWICK SAYERS, W.C. *James Duff Brown*. Skrócony przekład z angielskiego Maurycji z Goczałkowskich Skarżyńskiej. Fundacja Popierania Bibliotekoznawstwa Im. Maurycji Goczałkowskiej. Wyd. Nr. 7. Frankfurt/M. 1946. Wyd. II. Str. 7+1 nlb.

BELZA, WŁADYSŁAW. *Katechizm polskiego dziecka*. Wydawnictwo: Agencja Prasowa. Monachium 1946. Str. 32+1 nlb. (Nakład 5.000 egz.)

BELZA, WŁADYSŁAW. *Katechizm polskiego dziecka*. Wydawnictwo Książek Polskich Hamburg, 1945. Str. 31+1 nlb.

BELZA, WŁADYSŁAW. *Katechizm polskiego dziecka*. Nakład Wydawn. Polskie R. Wegnera w Norymberdze. Frankfurt 1946.

BETARI, JÓZEF. *Pieskie rozważań'a*. Wydawnictwo «Słowo Polskie» w Monachium-Dillingen, 1946. Str. 80. (Nakł. 5.000 egz.)

BETARI, JÓZEF. *Repatriacja na księżyc*. Nakład. Polsk. Komitetu b. Więźniów Politycznych Obozów Koncentracyjnych Dachau-Allach. Wydawnictwo «Słowa Polskiego» Monachium 1945. Str. 75+1 nlb. + 8 tabl. z fotografiami. (Nakł. 7.500 egz.)

BETARI, JÓZEF. *Repatriacja na księżyc*. Wydawn. «Słowo Polskie» w Monachium-Dillingen 1946. *Wydanie drugie*. (Nakład 5 000 egz.).

BIELSKI, KAZIMIERZ, Inż. *Technolog. Prawidła wykonywania rysunków maszynowych podług polskich norm kreślenia technicznego*. Wyd.: Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 14+2 nlb.

BIEŃKOWSKI, Z(YGMUNT), WITYMIR. *Szlak tęsknoty*. Wydawnictwo «Strażnica» Celle 1947. Str. 62+2 nlb.

BIRKENMAJER, JÓZEF. *Jak ci się podobam?* (Książka dla dzieci z 9 wielobarwnie ilustr. tablicami). Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Norymberdze 1945. Str. 24.

BIRKENMAJER, JÓZEF. *Moi przyjaciele*. (Książka dla dzieci z 9 wielobarwnie ilustr. tablicami). Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Norymberdze 1945. Str. 24.

BIRKENMAJER, JÓZEF. *Naokoło roku*. (Książka dla dzieci z 17 wielobarwnie ilustr. tablicami). Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Norymberdze 1945. Str. 20.

BIRKENMAJER, JÓZEF. *Przyjaciele*. (Książka dla dzieci z 9 wielobarwnie ilustr. tablicami). Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Norymberdze 1945. Str. 24.

BIRKENMAJER, JÓZEF. *Wesołe dni*. (Książka dla dzieci z 9 wielobarwnie ilustr. tablicami). Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Norymberdze 1945. Str. 24.

BIRKENMAJER, JÓZEF. *Wesołe rachunki*. (Książka dla dzieci z 9 wielobarwnie ilustr. tablicami, i 8 ilustr. jednobarwn.). Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Norymberdze 1945. Str. 26.

BOBER. *Czytanka dla dzieci polskich*. Wydała UNRRA, Welfare Division E.R.O. w październiku 1945. Str. 31+1 nlb

BOBKOWSKI, STANISŁAW. *Metoda racjonalnego rozwiązywania zagadnień społeczno-gospodarczych*. Nakładem autora. Lubeka 1947. Str. 40.

BOGUSŁAWSKA, A. *Ludzie walczącej Warszawy*. Zachodnie Niemcy 1947. Str. 183+1 nlb.

«Bomba atomowa». Wydawn. «Jutra Pracy», Köln-Mülheim 1946. Str. 24. (Powielacz).

BORNHOLTZ, TADEUSZ. *Historia Polski do wieku siedemnastego z uwzględnieniem Historii Powszechnej*. Wymawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Str. 112.

BOROWICZ, Ks. *Życie Jezusa Chrystusa*. Wyboru tekstu do-

końca. . . Wydawn. Polskie R. Wegner w Norymberdze, Frankfurt 1948. Str. 64.

BOROWSKI STANISŁAW. *Filozofia meterii*. Nakładem autora. Hanower 1946. Str. 112.

BOROWSKI, STANISŁAW. *Filozofia materii*. *Wydanie drugie*. Nakładem autora. Hanower 1946. Str. 112.

BOROWSKI, STANISŁAW. *Odrodzenie*. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 6 nlb. +263 + 3 nlb.

BOROWSKI, TADEUSZ. *Imiona nurtu*. (Poezje). Oficyna Warszawska, Monachium 1945. Str. 6 nlb. + 36. (Nakł. 3025 egz. numerowanych).

Boże Ciało. Pieśni i nieszpory polskie. Wydawnictwo I Obozu Polskiego w Osnabrück 1946. (Powielacz).

BRZOZA, ST. *Polska w niewoli*. Niemcy 1946. Str. 58.

BRZÓSKO, STANISŁAW. *Praktyczne pszczelnictwo*. Z 72 rycinami. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1947. Str. 79+1 nlb.

Budownictwo. Część I. Tłumaczyli z niemieckiego Inż. M. Wesołowski. Wydano na prawach rękopisu staraniem Komit. Wydawn. przy Biurze Specj. P.S.W. we Frankfurcie n. M. 1946. Str. 168. (Z 218 rycinami w tekście). (Nakł. 5000 egz.).

Budownictwo. Część II. Tłumaczyli z niemieckiego Inż. M. Kaczmarek, W. Wojteżak, Inż. T. Eubig. Wydano na prawach rękopisu staraniem Kom. Wydawn. w oparciu o Wszczęśw. Kom. Zw. Młodź. Chrześc. Frankfurt-Hoechst 1947. Str. 200. (Z 190 rycinami w tekście). (Nakł. 5000 egz.).

Budownictwo. Część III. Tłumaczyli z niemieckiego Inż. M. Kaczmarek, S. Józefowicz. Wydano na prawach rękopisu staraniem Komit. Wydawn. przy Biurze Rej. Specj. P.S.W. we Frankfurcie n. M. 1946. Str. 144. (Z 138 rycinami w tekście). (Nakł. 5000 egz.).

Budowa dróg, miernictwo i gospodarka wodna. Część I. Tłumaczyli z niemieckiego Inż. J. Skiba, Inż. St. J. Krzyżanowski, Inż. Fr. Domański, Inż. R. Szuman. Wydano na prawach rękopisu staraniem Komitetu Wydawn. w oparciu o Wszczęśw. Komit. Zw. Młodź. Chrześc. Wetzlar 1948. Str. 136 + 4 nlb.

Budowa dróg, miernictwo i gospodarka wodna. Część II. Tłumaczyli z niemieckiego Inż. W. Piechulek, Inż. Skiba, Inż. Fr. Domański, A. Kegel, Inż. E. Buczkowski. Wydano na prawach rękopisu staraniem Kom. Wydawn. w oparciu o Wszczęśw. Komit. Zw. Młodź. Chrześc. Wetzlar 1948. Str. 203 + 5 nlb.

(D.c.n.)

Jan KOWALIK.



Listy do Redakcji

Do Redaktora «Kultury»,

Przekazano mi treść listu p. Tadeusza Nowakowskiego, który w dyskusji na temat artykułów zamieszczonych w „Kulturze”, wyraził się w sposób następujący: «...to co Florezak napisał w jednym artykule, usiłował przekreślić w innym, to co Bobkowski napisał w jednej essay-noweli, zaciemnił w ciągu dalszym, to co Janta, (który w ogóle się nie liczy, bo jest z tej trójki nie-bezinteresowny, są na to dowody; to dziennikarz, któremu milsze są dolary od prawdy, człowiek który za nic nie umrze) na wstępie próbował sformować, w końcu zdeformował, tezy stały się protezami!».

Otrzymałszy wiadomość o wyrażonej przez p. Tadeusza Nowakowskiego opinii na temat istniejących dowodów mojej „niebezinteresowności”, i powiedzenia na tej podstawie, że jako człowiek, któremu milsze są dolary od prawdy, w ogóle się nie liczę, zwróciłem się do niego listem prywatnym, prosząc go, aby wskazał mi na jakich dowodach oparte są te zarzuty.

List mój, wysłany pocztą lotniczą dnia 5-go października 1949 pozostał dotąd bez odpowiedzi.

Wobec tego zmuszony jestem publicznie wezwać p. Tadeusza Nowakowskiego do wyjaśnienia na czym opiera on wyrażone powyżej opinie i formułuje zarzuty, tak szczególnie ciężkie i dotkliwe w naszych warunkach, a mające na celu zdyskredytowanie mnie jako pisarza niezależnego w oczach polskiej opinii.

Aleksander JANTA

256 North Street,
Buffalo, N.Y., U.S.A.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)
Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)
Dépôt légal: 4^e trimestre 1949.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempli pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: «GRYF» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.	200 lir.	1200 lir.	2000 lir.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3, Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: Wojciech Zaleski, (44 a) Heilbronn, Polish Camp Schwabenhof	2,50 DM	15 DM.	25 DM.
SZWAJCARIA: Dr Mieczysław Sangowicz, Fribourg 1, case 155.	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont., tel. ME 0609	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Przedstawiciel na Stan New York — S. Dziarczykowski, 414 Prospect Ave. Brooklyn 15, N. Y. Na pozostałe Stany — M. K. Dziewanowski, 9, Oxford Street, Cambridge 38, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA: Marie Christ, Janta-Polczyńska, 24 Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles.	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydeham, Johannesburg	3 sh.	16 sh.	30 sh.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia Barcińska, C. Postal 4528, Rio de Janeiro.	15 cruz	90 cruz	150 cruz

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.,

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach



"Kultura" Paryż
9, 2, 52r.

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

- ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA
- HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY
- STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE
- JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI
- LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA
- PAWEŁ HOSTOWIEC
DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC
- STANISŁAWA KUSZELEWSKA
KOBIETY
- JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ
- SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZEŻ JA W OKNO...
- TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA
- WAĆLAW SIEROSZEWSKI
BENIOWSKI
- ARTHUR KOESTLER
KRUCJATA BEZ KRZYŻA
- ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)
W OCZACH PISARZY
- BOLESŁAW MICIŃSKI
PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE
- JAN BIELATOWICZ
BRYGADA KARPACKA
PASSEGGIATA
- STANISŁAW GRYZIEWICZ
SRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ
- WERONIKA HORT
TUŁACZE DZIECI
- JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI
- MELCHIOR WANKOWICZ
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA
- MARIAN KUKIEL
KSIĄŻĘ ADAM